

Rozliczenia z pandemią ■ Niewyspani Polacy ■ Tośka i bunt biskupów
Powrót jeleni ■ Femenatyw na Dzień Kobiet ■ Być jak Jodie Foster

Kraków 6-12 marca 2024 nr 10 (3896)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

JUSTYNA
GOTKOWSKA,
ekspertka ds.
bezpieczeństwa:

NATO
silne jak nigdy

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



**Wierzimy,
że świat
da się naprawić.
Zróbmy to wspólnie**

1,5%



Inne sposoby na wsparcie:
powstanie.net/dar

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Przekaż 1,5% podatku
Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o suwerenność i rozwój
„Tygodnika Powszechnego”.**

» KRS 0000 125 605

KS. ADAM

Boniecki: Z jednej planety

PISANIE DZIŚ O PANDEMII MA SENS. NIE TYLKO dlatego, że rocznica. Sprawa bynajmniej nie jest załatwiona raz na zawsze. Warto wrócić do początków i podsumować wiedzę o nas, jaką z niej wynieśliśmy.

Artykuł Łukasza Lamży jest wnikliwą analizą naszych doświadczeń. Możemy z wielu rzeczy być dumni, a jednocześnie dziś widzimy, że można było w różnych sprawach inaczej rzecz ustawiać. Ale kto wtedy to wiedział? Artykuł pomaga sobie uświadomić, że wciąż jesteśmy zaskakiwani nowymi sytuacjami. Wniosek jest pewny i mało pocieszający, że znów przy nowych problemach będziemy popełniać błędy. A nowe problemy z pewnością się pojawiają.

Pierwszym doświadczeniem, które rzuca się w oczy, są fałszywe informacje, od których zaroiło się w internecie. Najbardziej bzdurne były te, które, niestety, zbierały spore żniwo, bo dotyczyły szczepień. Informacje te donosiły, że żadnego zagrożenia nie ma. Nawoływały do odmawiania szczepień i uspokajały ludzi. Dziś są one przeszłością. Wiadomo (choć nie dokładnie), ile osób odeszło ze świata w wyniku zarażenia, wiadomo, że faktom nie da się zaprzeczyć, i tylko pozostaje zdziwienie, że tak wielu ludzi dało się oszukać. Dziś wiemy dobrze, że pandemia była i jest niezaprzeczalnym faktem. Wiemy także, w jakim stopniu szczepienia nas zabezpieczają.

Doświadczeniem, które z trudem znosiliśmy, były wszelkie nakazy i zakazy. Pomijając nawet ich moc prawną, zapakowały nas gruntownie do domów. Było to doświadczenie ważne nie tylko dla samej pandemii, ale ważne życiowo. Wytrąciło nas z rytmu, który uważaliśmy za normalny i konieczny. Czegoś ważnego jednak się mogliśmy nauczyć. Nagle okazało się, że życie towarzyskie, debaty, konsultacje i nawet obecność w pracy mogą przybierać zupełnie inne formy. Pandemia zakwestionowała oczywistość czy może stan niepoddawany dotąd refleksji.



Artykuł Lamży zaskoczy przede wszystkim czytelników takich jak ja, czyli zwykłych zjadaczy chleba, którzy nie śledzimy postępów nauki. My nie jesteśmy świadomi wszystkiego, co się stało choćby w świecie informatyki, sztucznej inteligencji, neurologii itd. Już dziś zaskakuje nas np. masowy udział dronów w walkach w Ukrainie. Zaskoczą nas też efekty zmian klimatycznych, które uporczywie, acz niekoniecznie spektakularnie, następują. Zaskoczą nas, jednym słowem, zarówno środki używane w nowo-

czesnej wojnie, jak i zmiany w świecie przyrody, do których się przyczynialiśmy, nie zdając sobie sprawy z zamieszania, jakie sami wprowadzamy. W konkluzjach artykułu Lamży jest mowa o naszej zwiększającej się świadomości w dziedzinie walki z epidemią. To ważne, ciekawe i symptomatyczne, ale powiedzmy szczerze, mowa tu o jednym odcinku rzeczywistości. Być może w zwalczaniu przyszłych pandemii będziemy mądrzejsi. Nawet jeśli będziemy mądrzejsi w wielu innych sprawach, to czy będziemy przygotowani na to, co się zdarzy? Czy jesteśmy przygotowani na koniec? Po prostu.

Nie chcę tu twierdzić, że zbliża się koniec świata, jednak jakiś koniec wydaje się dziś całkiem prawdopodobny. Sprawa klimatu wydaje się szczególnie dobrym przykładem. O wysychaniu wielkich obszarów, rosnącej temperaturze oceanów, topieniu się lodowców, nowych zjawiskach klimatycznych itd. wie każde dziecko. Możemy co najwyżej przyjmować w lepszej strefie klimatycznej uciekinierów ze strefy nienadającej się już do życia. Inne próby powstrzymania zmian okazują się mało skuteczne, również dlatego, że tak urządziliśmy sobie świat i jego ekonomię.

Mówi się, że „koniec świata” był już wielokrotnie przewidywany. To prawda. Tylko że któreś z tych przewidywań może się okazać trafne. W końcu chodzi tylko o jedną niewielką planetę w nieskończonym kosmosie. © P

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**CZYTAJ
I ROŚNIJ
Z NAMI**

Tu kobiety opowiadają świat

Patrycja Bukalska
SZKOCJA

Anna
Łabuszewska
ROSJA

Antonina Palarczyk
UKRAINA



22 NATO wraca z dalekiej podróży

ROZMOWA Z JUSTYNĄ GOTKOWSKĄ, WICEDYREKTORKĄ OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH:
Dla Kremla NATO nigdy nie przestało być wrogiem numer jeden. To Zachód w pewnym momencie polubił wizję, że Rosja mu już nie zagraża.

34 Dlaczego uciekłam z bidula

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Mieszkańki domu dziecka w Wojcieszowie oskarżają kadrę o przemoc, łamanie ich praw oraz liczne zaniedbania. Na przykładzie dolnośląskiej placówki można pokazać systemową patologię polskiej pieczy zastępczej.



38 Siła bezbronnej

ARTUR SPORNIAK

Czy protest kilku biskupów po próbie zakłamania przez abp. Andrzeja Dzięgę prawdziwych przyczyn złożenia rezygnacji z urzędu zapowiada przełom w polskim Kościele?



46 Bliski Wschód coraz bliższy

KRZYSZTOF STRACHOTA

Wybuch konfliktu wokół Gazy i jego charakter stały się tlenem dla innych ognisk zapalnych na Bliskim Wschodzie. Narysujmy ich „mapę”.



76 Dwa złote do szczęścia

ROZMOWA Z MACIEJEM JAKUBOWIAKIEM, PISARZEM:

Czy istnieje jakieś lepsze życie i jakieś gorsze życie? Jedni są godni szacunku, a drudzy nie? Chyba nie jestem człowiekiem awansu. Nie chcę, żeby ktokolwiek musiał awansować.

90 Chirurżki ze Szczecbrzeszyna

ROZMOWA Z MACIEJEM MAKSELODEM, JĘZYKOZNAWCĄ:

Dzieci naturalnie korzystają z feminatywów, bo podążają za logiką języka. Nikt nie uważa, że ulegają wpływom feministek i lewaków.



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Wojownik mimo woli
ARTUR SPORNIAK

8-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

20-21 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

22 NATO wraca z dalekiej podróży
ROZMOWA Z JUSTYNĄ GOTKOWSKĄ

26 Wojna na dole
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Kwietniowe wybory samorządowe staną się też dogrywką jesiennej starcia ze słabnącym PiS*

29 Niewyspani Polacy
JERZY DZIEKOŃSKI: *W Polsce działają dwie publiczne poradnie leczenia zaburzeń snu – jedna dla dorosłych i jedna dla dzieci – na 38 mln obywateli*

■ ■ REPORTAŻ

34 Dlaczego uciekałam z biduła
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ WIARA

38 Siła bezbronnej
ARTUR SPORNIAK

42 Nie tylko dla chłopaków
ROZMOWA Z LISĄ AMMAN
Z ORGANIZACJI DISCERNING DEACONS:
Wstrząsem dla mnie było, gdy moja sześcioletnia córka odkryła, że aktywne bycie na mszy w kościele nie jest dla niej

■ ■ ŚWIAT

46 Bliski Wschód coraz bliższy
KRZYSZTOF STRACHOTA

50 Jak Brytyjczyk z jeleniem
PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ
BRYTANII: *Za sensacyjnym newsem, że populacja jeleni wymknęła się spod kontroli, kryje się historia – i tych zwierząt, i ludzi*

TEMAT TYGODNIKA

12 Rozliczenia z pandemią

ŁUKASZ ŁAMŻA

Opowieści o pandemii nie da się zamknąć w prostym schemacie o „dobrych” i „złych”. Minęły właśnie cztery lata od jej ogłoszenia. Porozmawiajmy o tym, jakie błędy popełniliśmy „my dobrzy”.

MAREK M. BEREZOWSKI / REPORTER



■ DODATEK SPECJALNY ■

64 WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

■ FELIETONY ■

32 TOMASZ STAWISZYŃSKI
45 ZUZANNA RADZIK 63 ELIZA KĄCKA
88 OLGA DRENDRA 89 PAWEŁ BRAVO
94 STANISŁAW MANCEWICZ
94 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:

JUSTYNA GOTKOWSKA,
WARSZAWA, 29 LUTEGO 2024 R.

FOTOGRAFIA: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

Redaktorka prowadząca:
ANNA GOC

53 W alternatywnej rzeczywistości

KAMIL FRYMARK: *Nie tylko AfD może dużo namieszać w niemieckiej polityce*

■ ■ HISTORIA

56 Podhale w płomieniach
BARTEK DOBROCH
o filmie „Biała odwaga”

■ ■ NAUKA

60 Las utracony
MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI:
Jeszcze 8 tysięcy lat temu wiewiórka mogła, skacząc z drzewa na drzewo, przejść z terenu dzisiejszej Lizbony do Moskwy, ani razu nie dotykając ziemi. Potem zjawili się rolnicy

■ ■ KULTURA

76 Dwa złote do szczęścia
ROZMOWA Z MACIEJEM
JAKUBOWIAKIEM

80 Zniewolona przez biografię
MACIEJ MIŁKOWSKI:
Spod powikłanego życiorysu Lucii Berlin czas wydobyć jej dzieło

82 Rola życia
MONIKA OCHĘDOWSKA:
Jodie Foster w tym tygodniu ma szansę na trzeciego Oscara, może najważniejszego w karierze

86 Na chłopski rozum
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Tyle co nic” w reż. Grzegorza Dębowskiego*

87 Król i malarz
LEKTOR *o książce „Stale obawiam się jakiejś katastrofy... Korespondencja Stanisława Augusta z Marcellem Bacciarellim”*

■ ■ ZMYŚŁY

90 Chirurżki ze Szczepreszyna
ROZMOWA Z MACIEJEM
MAKSELONEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Polska ma najwięcej srebra na świecie

Pod względem zasobności w rudę srebra nasz kraj wyprzedził Chiny, Australię i Peru. Czy wykorzystamy ten potencjał – zastanawia się **MAREK RABIJ** | powszech.net/srebro

➔ Jak zostać czarnym pisarzem [Co obejrzeć w weekend]

W czasach, kiedy słowa „reprezentacja” i „dywersyfikacja” stały się fetyszami politycznej poprawności, „Amerykańska fikcja” podejmuje z nimi grę – pisze **ANITA PIOTROWSKA** | tygodnikpowszechny.pl/weekend

Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



WOJOWNIK MIMO WOLI

NA ZAKOŃCZENIE PEŁNIENIA URZĘDU przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski złożył w czwartek kurtuazyjną wizytę nuncjuszowi apostolskiemu w Polsce. 13 i 14 marca w Warszawie biskupi wybiorą nowe władze Episkopatu.

Wśród polskich biskupów abp Gądecki cieszy się niekwestionowanym autorytetem – gdyby statut KEP przewidywał dla przewodniczącego trzecią kadencję, najprawdopodobniej znowu zostałby wybrany. W ciągu tych dwóch pięcioletnich kadencji obserwowaliśmy spektakularną przemianę: od propagatora dialogu, inicjatora Dnia Judaizmu w polskim Kościele, do nieformalnego przywódcy światowych katolickich konserwatystów, który jedną

W momencie wyboru uważany za opcję umiarkowaną, dziś uchodzi za jednego z najważniejszych przeciwników Franciszka. Abp Stanisław Gądecki przestaje prowadzić polskiemu Kościołowi.

ARTUR SPORNIAK

POWYŻEJ:
Abp Stanisław Gądecki.
Jasna Góra, 3 marca 2023 r.

skargą jest w stanie zmienić postępowanie Watykanu (zobacz tekst „Siła bezbronnej” na s. 41). Co ciekawe, według najbliższych współpracowników metropolity poznańskiego, on wcale nie zabiegał o taką karierę. To raczej splót różnych okoliczności wyniósł abp. Gądeckiego na taką pozycję.

Urodził się w 1949 r. w Strzelnie w Wielkopolsce (w październiku osiągnie wiek emerytalny i złoży rezygnację z pełnienia urzędu arcybiskupa poznańskiego). Święcenia kapłańskie otrzymał w 1973 r. Jest świetnie wykształconym biblistą – studiował w Rzymie i Jerozolimie. Włada angielskim, włoskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim. Gnieźnieńskim biskupem pomocniczym został w 1992 r. W 2002 r. Jan Paweł II mia-

nował go arcybiskupem poznańskim. W 2014 r. został wybrany przewodniczącym Konferencji Episkopatu. Jego wybór traktowany był wtedy jako „opcja umiarkowana”. Jak dowiedział się wówczas „Tygodnik”, konkurentami Gądeckiego byli uznawani za „liberała” kard. Kazimierz Nycz i „twardogłowy” metropolita częstochowski abp Wacław Depo.

Międzynarodowa pozycja Gądeckiego szybko wzrosła podczas dwóch odsłon synodu biskupów poświęconego rodzinie w latach 2014 i 2015, na którym dyskutowany był m.in. postulat komunii dla osób rozwiedzionych żyjących w ponownych związkach. Abp Gądecki twar do stanął w obronie nauczania Jana Pawła II, dopuszczającego rozwodników do komunii pod warunkiem całkowitej wstrzeźliwości seksualnej. Stanowisko polskiego hierarchy wzbudziło entuzjazm zwłaszcza wśród wpływowych amerykańskich konserwatystów.

Tymczasem, jak przekonywał na tych łamach w 2021 r. bliski współpracownik poznańskiego metropolity ks. Mirosław Tykfer, Gądecki przed synodem nie miał sprecyzowanego zdania – po prostu wypytał teologów moralistów, co sądzą na ten temat. Gdy Franciszek w posynodalnej adhortacji „Amoris laetitia” z 2016 r. dopuścił komunię dla rozwodników, zachodnie media wykreowały Gądeckiego na jednego z głównych przeciwników papieża, choć on sam nie dążył do konfrontacji. Pokazują to dzieje wytycznych, do których opracowania papieska adhortacja zobowiązywała lokalne Kościoły. Wiele z nich wsparło komunię dla rozwodników. Entuzjazm konserwatywnych portali wzrósł, gdy do mediów przeciekły w 2017 r. bardzo tradycyjnie brzmiące fragmenty rzekomo opracowywanego przez polskich biskupów dokumentu. Najprawdopodobniej wtedy zakulisowo interweniował Watykan. Dokument, który lada moment miał być głosowany, zdjęto z obrad kilku zebrań Episkopatu. Polskie wytyczne ukazały się dopiero w 2018 r., a ich wymowa była zdumiewająco harmonijna z „Amoris laetitia”. Mowa jest w nich o szczegółowych warunkach podejmowania niespre-

cyzowanej „decyzji”, tak jakby autorzy bali się wprost mówić o komunii dla rozwodników. Niewątpliwie za takim „salomonowym” rozwiązaniem stał autorytet abp. Gądeckiego.

Niektóre wypowiedzi poznańskiego arcybiskupa zakwalifikować można jako zaskakujące gafy. Szerokim echem odbił się jego list z 22 lutego 2022 r. do niemieckich biskupów, w którym bez pardonowo lał ich za reformy Drogi Synodalnej. Biorąc pod uwagę, kto jest adresatem, autor listu chyba nie do końca zdawał sobie sprawę, że przestrzeganie przed naukami społecznymi poprzez przypominanie ich flirtu z amerykańskim rasizmem sprzed stu lat musi wzbudzać konsternację.

Z kolei podczas krakowskiego ingresu abp. Marka Jędraszewskiego w 2017 r. abp Gądecki w homilii cytował fragment pism Grzegorza Wielkiego, brzmiący obraźliwie wobec świeckich: „Nie wypada być ty, biskup, który jesteś głową, na czyją zgubę słuchał ogona, czyli zbuntowanego człowieka świeckiego, skoro ty masz słuchać tylko Boga”. Kłóci się to z faktem, że archidiecezja poznańska należy do czołówki diecezji, jeśli chodzi o zaangażowanie świeckich.

I najbardziej bulwersująca wypowiedź (po watykańskim spotkaniu przewodniczących episkopatów w sprawie ochrony dzieci w lutym 2019 r.), brzmiąca jak usprawiedliwianie pedofilów: „Z jednej strony ogromny przemysł, który pompuje seksualność. A z drugiej strony od razu pałą w głowę tych, którzy poddają się temu przestępstwu”. Tymczasem to Gądecki stwarza przestrzeń do działania abp. Wojciechowi Polakowi jako delegatowi Episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży, mimo silnej opozycji wielu biskupów.

Co zostawia po sobie Gądecki? Jakiego przywództwa potrzebuje teraz polski Kościół? Image wojownika sprawił, że autorytet poznańskiego metropolity był wśród hierarchów mocny. To powodowało, że w doraźnych sprawach Gądecki był skuteczny. Dzisiaj jednak, w szybko zmieniającym się świecie, potrzebny jest przywódca o podobnie silnym autorytecie, ale patrzący w przód – nie wstecz. ©



Nie milczą

PIOTR ŚMIŁOWICZ

SCEPTYCZNIE OCENIAŁEM SZANSE NA POWODZENIE trzech powołanych w Sejmie komisji śledczych – ds. wyborów kopertowych, afery wizowej oraz wykorzystywania programu Pegasus. Podejrzewałem, że staną się przede wszystkim erupcją politycznych spektakli, z których niewiele wyniknie poza autopromocją członków komisji w mediach, a kolejne posiedzenia będą polegać głównie na tym, że to posłowie będą mówić, a świadkowie milczeć.

Ubiegły tydzień tych obaw nie potwierdził. Zarówno opowieść Edgara Kobosa przed komisją ds. afery wizowej, jak i zeznania dwóch prokuratorów przed komisją ds. wyborów kopertowych posunęły wiedzę opinii publicznej o obu aferach. Przesłuchania te odsłoniły kolejne mechanizmy zorganizowanego psucia państwa przez PiS, a posłowie partii Jarosława Kaczyńskiego nie byli w stanie podważyć ich wiarygodności. Jeśli kolejne zeznania przyniosą podobną wiedzę, komisje okażą się sukcesem. Najmniej dowiemy się zapewne o tej ds. Pegasus, z uwagi na specyfikę afery, która zmusza do tego, by duża część zgromadzonych faktów pozostała ukryta.

Nie jest tak, że nie można się przyczepić do żadnego aspektu prac komisji. Nieco groteskowa sytuacja miała miejsce podczas przesłuchania prokurator Ewy Wrzosek i prokurator Edyty Dudzińskiej (to ona już po trzech godzinach od wszczęcia umorzyła śledztwo w sprawie wyborów) przed komisją kopertową, gdy na wniosek pierwszej wykluczony został czasowo z prac poseł Michał Wójcik z PiS, a na wniosek drugiej – przewodniczący Dariusz Joński z KO.

Posłowie popełniają błąd, iż wobec świadków nie stanowią monolitu, który na sali zapomina o politycznej przynależności.

Tak robiła np. komisja ds. Rywina, skutecznie broniąc się przed wykluczeniem kolejnych członków na życzenie świadków i z czasem zniechęcając ich do składania podobnych wniosków.

Dzisiaj oczywiście mamy inny polityczny klimat niż 20 lat temu; znacznie głębsze są polityczne podziały. Gdyby jednak członkowie wszystkich komisji śledczych przynajmniej w tej jednej sprawie – braku zgody na manipulowanie składem przez świadków – potrafili się porozumieć, byłoby to z korzyścią dla jakości i wiarygodności prac. ©



Wolni w zniewolonym kraju

ANNA ŁABUSZEWSKA

1 MARCA ODBYŁ SIĘ POGRZEB zamordowanego przez reżim Putina opozycjonisty Aleksieja Nawalnego. Nawet po śmierci Kreml traktuje go jak wroga: nie ludzki szantaż wobec rodziny, zastraszanie tych, którzy chcieli wziąć udział w pogrzebie, utrudnienia w jego organizacji. Społeczeństwo ma pamiętać o Nawalnym i skupić się na uwielbianiu prezydenta-uzurpatora, który właśnie zamierza zacząć kolejną kadencję i kontynuować wojnę.

Przed organizatorami pogrzebu piętrzone trudności. W całej Moskwie nie znalazło się ani jedno pomieszczenie, w którym można byłoby zorganizować świecką ceremonię pożegnania. Nabożeństwo żałobne odprawiono w cerkwi Ikony Matki Bożej „Ukój Moje Troski” w Marjino – blokowisku poza centrum Moskwy – a na miejsce pochówku wyznaczono pobliski cmentarz Borisowski. W ostatniej drodze Nawalnemu towarzyszyło ponad 16 tys. osób. Zważywszy na zapowiadane represje wobec uczestników, to znacząca liczba. W następnych dniach grób przekształcił się w kwiecisty kurhan: przy-

szły kolejne tysiące, by pożegnać „Tego, o Którym Putin Każe Zapomnieć”. W zastraszonej społeczności zaskakuje skala tej demonstracji.

Oficjalne media nie informowały o pogrzebie. Preparowały za to doniesienia, z jakim to entuzjazmem ludzie rzekomo chłonęli orędzie Putina, wygłoszone w przeddzień pogrzebu. Uzurpator obiecywał wspaniały rozwój kraju, nie zapomniał pogrozić Zachodowi bronią jądrową i zapowiedział tworzenie nowej elity z tych, którzy przelewają krew za ojczyznę. Było to przywołanie do porządku członków bliskiego otoczenia: niech pamiętają, że miotła może ich wymieść. Idą nowe czasy, czasy lojalności, w elicie mają zostać tylko ludzie zawdzięczający wszystko Putinowi. Czy to zapowiedź nowego etapu podziału własności?

Do nowej elity Putin na pewno nie zaliczy 18-letniej Darii Kozyriewej z Petersburga. W drugą rocznicę inwazji na Ukrainę Daria nakleiła na pomniku ukraińskiego poety Tarasa Szewczenki kartkę z fragmentem jego wiersza. Została aresztowana. ©

Matka Nawalnego Ludmiła (w ciemnych okularach) i teściowa Ałła (z prawej) na grobie Aleksieja dzień po jego pogrzebie. Cmentarz Borisowski, 2 marca 2024 r.



OLGA MALTEVA / AFP / EAST NEWS

STEFAN RUDIK / MATERIAŁY PRASOWE KWK



**ROBERT KONIECZNY,
ARCHITEKT:**

Odbudowa Pałacu Saskiego ma sens. Trzeba jednak zrobić to mądrze

JACEK TARAN: Co z Pałacem Saskim? Odbudowywać?

ROBERT KONIECZNY: Kiedyś myślałem, że tylko projektowanie w sposób maksymalnie współczesny ma sens, bo architektura powinna być znakiem czasów, w których powstaje. Dziś nie jestem tak radykalny. Podstawowym warunkiem udanej realizacji czegoś, co ma współgrać z historią, muszą być działania bardzo przemyślane, przedyskutowane. To nie mogą być projekty robione na chybkę, jak stało się np. po pożarze katedry Notre Dame. Powstało wówczas wiele propozycji zupełnie absurdalnych, które ośmieszały współczesną architekturę. Odbudowa Pałacu Saskiego ma sens z punktu widzenia urbanistyki. Jego powstanie może uporządkować chaos, który jest w tym miejscu, i zmienić krajobraz miasta, ale to powinno być zrobione mądrze.

Czyli jak?

To nie powinna być architektura w całości historyzująca. Najlepiej byłoby nawiązać do historii, ale współcześnie. Receptą są konkursy, które dają architektom szeroką swobodę w interpretacji tematu. Konkurs, który się odbył, mocno postawił warunek, że to musi być architektura historyczna, co zamknęło wiele dróg, którymi mogli podążać architekci. Zwolennicy odbudowy Pałacu Saskiego w historycznym kształcie powołują się na przykład odbudowy zamku w Berlinie, ale to nie jest dobry trop. O wiele lepszym przykładem jest niemiecki Reichstag, który został odbudowany według projektu Normana Fostera. Nawiązuje do historii, ale jest na wskroś współczesny i symboliczny.

Po wojnie jednak odbudowano historyczną część Warszawy.

Ważny jest też kontekst historyczno-społeczny. Wtedy to był patriotyczny odruch serca, istotny również dla odbudowy całego społeczeństwa. Dziś jest inny czas, możemy spojrzeć na to chłodno, zmieniły się też bardzo technologie. Mamy rekonstruować XVII-wieczne cegły? ©©

ROBERT KONIECZNY jest architektem, twórcą pracowni KWK Promes. Od 2017 r. członek francuskiej Akademii Architektury, od 2022 r. honorowy członek Stowarzyszenia Architektów Republiki Czeskiej. Finalista nagrody im. Miesa van der Rohego 2024.

NA PUNKTY

OCENZUROWANY

Onet ujawnia treść rozmów Daniela Obajtka, nagranych w ramach operacji CBA prowadzonej przeciwko jednemu z jego współpracowników. Podczas którejś z nich b. prezes Orlenu skarży się, że b. wicepremier Jacek Sasin chce go wykończyć, i że „trzeba zrobić tak, żeby go za*****, k****”.

OFENSYWNY

Wykończyć się nie da z pewnością Jarosław Kaczyński, który wbrew wcześniejszym zapowiedziom (i sugestiom części doradców) nie odda władzy w PiS: „Jestem przekonany, że jeszcze przez jakiś czas mogę skutecznie działać. Mam siły, mam plan polityczny. Nie chcę też, by ktoś mi zarzucał, że jestem dezerterskim, że zostawiam partię i całe nasze środowisko w tak trudnym momencie, w starciu z tak brutalnym, nieliczącym się z niczym przeciwnikiem” – powiedział w wywiadzie dla „Sieci”.

ODWIEZIONY

Funkcjonariusze Służby Ochrony Państwa nie liczyli się z przepisami ruchu drogowego, na sygnale dowożąc marszałka Sejmu Szymona Hołownię na partyjny wiec w Nowej Hucie: trasę, która normalnemu kierowcy zajmuje cztery godziny, pokonali w niecałe dwie i pół. ©©



Ile Rosji w pszenicy

KRZYSZTOF STORY

29 LUTEGO DO STOŁU Z PROTESTUJĄCYMI rolnikami usiadło kierownictwo Ministerstwa Rolnictwa wraz z premierem. Donald Tusk dużo zwał na Brukselę, obiecywał rozmowy z Ukrainą (już trwają), dalsze negocjacje w sprawie Zielonego Ładu oraz pakiety pomocy dla rolników (bez konkretnych).

Przełomu nie było. Źródło problemów polskich rolników nie leży w Kancelarii Premiera, tylko na europejskiej giełdzie MATIF. Dzień przed „okrągłym stołem” cena pszenicy spadła poniżej psychologicznej granicy 200 euro za tonę.

Przyczyną nie jest ani Zielony Ład, bo jego ograniczenia nawet nie zdążyły wejść w życie, ani też import z Ukrainy, bo od prawie roku mamy embargo, zaś tropienie go coraz bardziej przypomina polowanie na czarownicę. Nie jest nią także, równie mocno rozdmuchany przez stronę ukraińską, import z Rosji. A przynajmniej nie import do Unii.

Gloбалną przyczynę protestów potwierdza ich globalny zasięg – od Andaluzji, gdzie hiszpańscy farmerzy atakują transporty z Maroka, po Delhi, gdzie zjeżdżają tysiące rolników. W Polsce

głośno mówi się o 9 mln ton zbóż w przepełnionych magazynach i skupach, które odsyłają rolników z kwitkiem. Dla portalu farmer.pl skomentowała to Monika Piątkowska (na zdjęciu), prezeska Izby Zbożowo-Paszowej. Według niej powtarzana wszędzie liczba to stan na dzisiaj, a nie nadwyżka, która

zostanie nam na koniec sezonu w czerwcu. Wtedy będzie to około 4 mln ton.

W całej UE mamy około 30 mln ton zbożowej nadwyżki. A z popytem jest ogromny problem, bo na światowych rynkach króluje Rosja, która swoje zbiory (zapewne w części

zrabowane w Ukrainie) wyprzedaje za pół darmo. „Nie chodzi o UE, bo tutaj ta sprzedaż jest mimo wszystko marginalna. Chodzi o odbieranie przez nich rynków największych importerów z Afryki Północnej i Azji. Wszystko wskazuje na to, że udział Rosji w światowym eksporcie pszenicy po raz pierwszy przekroczy 30 proc.” – mówi Monika Piątkowska.

Rosja robi to, by szukać nowych rynków zbytu i destabilizować sytuację w przyfrontowych państwach. Na razie – boleśnie skutecznie. ©©



MATERIAŁY PRASOWE IZ-P



Lepiej zapobiegać, niż leczyć

MACIEJ MÜLLER

PONAD 9 MLN POLAKÓW zmaga się z otyłością – oszacowała Najwyższa Izba Kontroli. Na naszą kondycję fatalnie wpłynęła pandemia: w trakcie jej trwania przytyło (średnio o niemal 6 kg) ponad 40 proc. z nas. Odsetek ludzi z nadwagą i otyłością w niektórych województwach sięga 70 proc. Otyłość jest chorobą przewlekłą i powoduje wiele powikłań, m.in. cukrzycę, choroby serca i krążenia, choroby stawów, nowotwory i depresję.

Opublikowany ostatnio raport NIK podaje, że w latach 2020-2022 u lekarzy pierwszego kontaktu i specjalistów z powodu otyłości leczono prawie 800 tys. pacjentów, a ich liczba w tym czasie zwiększyła się o połowę.

To wyzwanie nie tylko dla systemu ochrony zdrowia, ale i gospodarki. Koszty ZUS w latach 2012-2022 związane z niezdolnością do pracy z powodu rozpoznania otyłości wzrosły z 22 mln zł do 31 mln zł. Przez

dekadę liczba dni na zwolnieniu z tego powodu zwiększyła się o cały rząd wartości: z ok. 28 tys. do prawie 206 tys.

Tymczasem – punktuje NIK – Ministerstwo Zdrowia nie opracowało kompleksowego planu profilaktyki i leczenia otyłości, nie zgromadzono nawet potrzebnych do tego danych. Zaniedbania kontrolerzy wytykają na każdym poziomie systemu, w tym najniższym – u lekarzy POZ, z których wielu zaniedbuje np. regularne waże-

nie pacjentów. Lekarze rodzinni wskazywali jednak, że w okresie pandemii skupiali się na covidzie, zgłaszali też swój brak kompetencji do wykrywania i leczenia otyłości. Pacjentów odsyłali do specjalistów zajmujących się leczeniem powikłań – diabetologów, kardiologów czy endokrynologów. W okresie badanym przez NIK kolejki do diabetologów wydłużyły się z 1,4 do 5,3 tys. osób.

Otyłość – choroba otoczona tabu, o której rozmawia się trudno (zob. raport nt. agresji słownej w gabinetach lekarzy: powszech.net/fatfobia) – stała się jednym z najpoważniejszych problemów zdrowia publicznego. ©©

Z jezuickiego archiwum w szeroki świat

HOLOKAUST ■ Dokumenty dotyczące Zagłady, przechowywane w archiwum kurii generalnej jezuitów, zostaną zdigitalizowane i udostępnione publicznie. 27 lutego zakon podpisał umowę o współpracy z amerykańskim Muzeum Pamięci Holokaustu, którego pracownicy wykonają cyfrowe kopie materiałów – będzie można z nich korzystać w czytelniach w Waszyngtonie i Rzymie.

Jezuicki zbiór poświęcony tej tematyce szacowany jest na kilkaset tysięcy archiwalnych jednostek. Z dokumentów zebranych w kurii generalnej (m.in. listów i raportów przysyłanych z domów zakonnych całego świata) można odtworzyć obraz narastającej wrogości wobec Żydów oraz postaw Kościoła wobec rozpoczynających się prześladowań. Są wśród nich spisy osób, którym udzielono pomocy materialnej i urzędowej (umożliwiającej w pierwszym okresie emigrację do bezpiecznych miejsc, a w późniejszym schronienie w klasztorach, co oznaczało ratunek przed deportacją i śmiercią) oraz relacje naocznych świadków Zagłady (m.in. list o Jana Wojciechowskiego opisujący likwidację getta w Otwocku).

Do tej pory materiały archiwum jezuitów znane były niewielu osobom. Wprawdzie po decyzji papieża o odtajnieniu zasobów z czasu pontyfikatu Piusa XII zakon udostępnił historykom także tę część zbiorów, ale można z niej było korzystać jedynie w formie tradycyjnej – prosząc w siedzibie archiwum o wydanie oryginałów. Dzięki digitalizacji dostęp do dokumentów będzie łatwiejszy i możliwy dla wielu badaczy jednocześnie.

Zachary Levine, dyrektor ds. archiwalnych waszyngtońskiego muzeum, ma nadzieję, że za przykładem jezuitów pójdzie też archiwum watykańskie, które – jak na razie – udostępnia historykom jedynie papierowe oryginały (co ogranicza ich badanie – po czterech latach od otwarcia zasobów ukazała się tylko jedna praca opisująca całościowo pontyfikat Piusa XII w świetle nowych dokumentów). Oraz że z oferty współpracy skorzystają także inne zakony.

Wspomniana decyzja Franciszka z 1 marca 2020 r. dotyczyła *stricte* archiwów watykańskich, podczas gdy ogromna część dokumentów znajduje się poza Stolicą Apostolską. Większość ocalałych Żydów ukrywała się w rzymskich klasztorach, można więc się spodziewać, że właśnie w archiwach zakonnych znajdują się wciąż nieznane materiały, które pozwolą ustalić losy wielu osób (co jest najważniejszą częścią misji Muzeum Pamięci Holokaustu) oraz poszerzyć stan wiedzy o postawach urzędów i ludzi Kościoła wobec Zagłady. Bo, jak mawiają historycy, dopóki choć jedno archiwum jest zamknięte, wszystko pozostaje otwarte.

© © EDWARD AUGUSTYN

Co zyskamy dzięki KPO

UE ■ Zablokowanie przez Brukselę wypłaty pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy przesłoniło na kilka lat cele tego programu. Dziś, gdy Unia zapowiada zdjęcie blokady, warto je przypomnieć.

Z wynegocjowanych przez Warszawę pieniędzy aż 24 mld euro to bezzwrotna pomoc. Resztę, czyli około 11 mld euro stanowią pożyczki zaciągnięte na preferencyjnych warunkach, od których do 2027 r. Polska spłacać będzie jedynie odsetki. Kapitał zostanie nam rozłożony na raty do spłaty aż do końca 2058 r. Komisja Europejska oczekuje, że 37 proc. nakładów finansowanych z KPO musi sprzyjać ochronie klimatu, w kolejnych 20 proc. ma wspomagać rozwój gospodarki cyfrowej.

Pierwsza transza w wysokości ok. 3,1 mld zł – jak jeszcze w grudniu zapewniła szefowa ministerstwa funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz – pójdzie na inwestycje w infrastrukturę na obszarach, gdzie dotychczas nie opłacało się przeprowadzać ich na zasadach komercyjnych. Chodzi głównie o dostęp do szerokopasmowego internetu o przepustowości minimum 100 megabitów na sekundę. Pieniądze z KPO umożliwią dostarczenie go ok. 930 tys. gospodarstw domowych. W ramach tej części inwestycji planowane jest także uruchomienie ogólnopolskiego systemu e-rejestracji do lekarzy specjalistów.

W dalszej części polski KPO wraz z odblokowanymi środkami z fun-

duszu spójności (łącznie ponad 137 mld euro) pozwoli m.in. na budowę nowych złobków, zwiększenie liczby miejsc w istniejących placówkach publicznych oraz tworzenie oddziałów geriatrycznych w szpitalach. W planach jest również stworzenie ogólnokrajowej platformy internetowej wspomagającej nauczanie na poziomie przedшкоlnym, wyposażenie 16 tys. polskich szkół w laboratoria do praktycznej nauki fizyki, chemii i informatyki. A także modernizacja rolnictwa i rybołówstwa, wymiana co najmniej 800 tys. pieców węglowych na niskoemisyjne źródła ciepła (100 tys. bloków mieszkalnych i budynków użyteczności publicznej przejdzie zarazem termomodernizację) oraz budowa 20 tys. mieszkań na wynajem, dostępnych dla osób o niskich dochodach.

KPO pozwoli na uruchomienie dotacji dla samorządów, które przeznaczone zostaną na utworzenie 4,5 tys. nowych połączeń komunikacyjnych obsługiwanych przez pojazdy elektryczne. W ramach tego samego programu modernizację przejdzie ok. 500 km torów kolejowych, z których część ma być przystosowana do obsługi składów poruszających się z prędkością ponad 300 km/h.

Są też i mniej przyjemne wieści. Z KPO rząd chce także finansować rozwiązania mające zniechęcać nas do wjeżdżania samochodami do centrów miast.

© © MAREK RABIJ



Ministra Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz podczas konferencji prasowej poświęconej planom inwestycyjnym KPO. Warszawa, 22 grudnia 2023 r.

Dwa plus dwa to już nie wzorzec rodziny

SPOŁECZEŃSTWO ■ Pytani o wzorcową liczbę potomstwa ludzie na całym świecie często wskazują na dwójkę. Taka liczba dzieci pozwala na osiągnięcie stanu zastępowalności pokoleń, dlatego także przez demografów rodziny z dwójką dzieci są przedstawiane jako modelowe. Arnstein Aasve i współpracownicy doszli jednak do wniosku, że współczesne badania tego, jak ludzie wyobrażają sobie idealną rodzinę, powinny brać pod uwagę większą liczbę czynników.

W badaniu opisanym w „PNAS” wzięło udział ok. 22 tys. osób z ośmiu różnorodnych kulturowo krajów o niskim współczynniku dzietności (około jednego dziecka na kobietę): Chin, Japonii, Korei Południowej, Singapuru,

USA, Włoch, Hiszpanii i Norwegii. Ankietowani mieli określać, jak bardzo spełnione są różne opisane rodziny.

Wyniki sugerują, że w społeczeństwach uprzemysłowionych liczba dzieci nie jest już czynnikiem decydującym o ocenie sukcesu rodziny. Sam fakt posiadania potomstwa zbliża rodzinę do ideału, jednak pojawianie się kolejnych dzieci nie wpływa na poprawę jej postrzegania. Choć pomiędzy krajami zdarzały się rozbieżności, w dobrym świetle rodzinę stawiały przede wszystkim: skuteczna komunikacja pomię-

dzy jej członkami, częste kontakty z dalszymi krewnymi czy szacunek wśród społeczności, a w przypadku rodzin z dziećmi – także odkładanie funduszy na ich przyszłość.

Czynnikiem, który najbardziej obniżał reputację rodziny, okazał się rozwód rodziców. Osobom z dziećmi do pewnego stopnia wybaczano natomiast konflikt obowiązków zawodowych z rodzinnymi – co może wskazywać na akceptację kompromisów postrzeganych jako niezbędne dla zapewnienia potomkom dobrej przyszłości. Ceniony jest także równy

podział obowiązków i co najmniej średnie dochody (w kilku krajach ich dalszy wzrost nie miał większego znaczenia).

Autorzy badania uważają, że współcześnie większą wagę przywiązuje się do samorealizacji jednostki i jakości życia, a posiadanie potomstwa jest postrzegane przez pryzmat potrzeb, celów i ograniczeń. Zrozumienie przekonań dotyczących ideału rodziny może przełożyć się na trafniejsze regulacje prawne zmierzające do podniesienia wskaźnika dzietności.

© KATARZYNA DZIADOWICZ



W Parku Śląskim w Chorzowie, luty 2019 r.

TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

Brazylijska żaba najmniejszym kręgowcem

PRZYRODA ■ Kilkanaście lat temu ten rekord należał do rybek. W styczniu 2006 r. Maurice Kottelat i współpracownicy ogłosili w czasopiśmie Royal Society, że najmniejszym kręgowcem jest nowo odkryta indonezyjska ryba z rodziny karpowatych – *P. progenetica*. Dorosłe samice osiągają długość 7,9 mm, samce przekraczają centymetr. Już wkrótce ten rekord zaczął być kwestionowany. W 2008 r. badacze płazów, Edgar Lehr i Luis Coloma, przedstawili zestawienie 40 gatunków żab o długości ciała poniżej 15 mm. Była wśród nich złota żaba spod Rio de Janeiro, *B. didactylus*, której wymiary kilka dekad wcześniej opisano jako 8-9 mm, ale autor odkrycia zmierzył tylko trzy osobniki – a to zbyt mało, by wnioskować o całym



Brachycephalus pulex – wielkość naturalna

gatunku. Jednak w ciągu kilku lat tabele batrachologów wzbogaciły się o kolejne gatunki miniaturowych żab: *P. verrucosa* z Papui-Nowej Gwinei (samce mierzą średnio 8,5 mm, a samice 8,8 mm) i *P. amauensis*, którego samce mają zaledwie 7,7 mm. Ten ostatni gatunek był już reklamowany jako najmniejszy kręgowiec, mimo że odkrywczy nie podali informacji o rozmiarach samic.

Gatunek, który właśnie zdetronizował *P. amauensis*, także odkryto przeszło dekadę temu, ale dopiero teraz inny zespół przedsta-

wił jej pomiary. *B. pulex*, zwana też brazylijską ropuchą pchłą, jest blisko spokrewniona z brazylijską złotą żabą (w taksonomii nie ma ścisłego rozróżnienia na żaby i ropuchy), ale zamieszkuje tereny wysunięte dalej na północ, w górskich tropikalnych lasach stanu Bahia. Jak wykazała Wendy Bolaños ze współpracownikami, samce osiągają 7,1 mm, a samice są dłuższe o milimetr (większe samice płodzą więcej potomstwa). Dobrze rozwinięte kończyny pozwalają osobnikom tego gatunku wykonywać długie skoki, w czym przypominają pchły, co wcale nie jest oczywiste u zminiaturyzowanych żab. Część z nich mniejsze rozmiary ciała – dzięki którym szybciej wypromiowują ciepło – okupuje deformacjami, które ograniczają ich lokomocję.

Rekordy są jednak nie tylko nietrwałe, ale i podatne na interpretacje. Bo jeśli będziemy pod uwagę nie długość ciała, lecz objętość czy wagę, to owalne żabki i tak okazały się większe od dłuższych, ale spłaszczonych i smukłych rybek.

© ŁUKASZ KWIATEK

RENATO GAIGA / FLICKR

ROZLICZENIA Z PANDEMIA

Opowieści o pandemii nie da się zamknąć w prostym schemacie o „dobrych” i „złych”. Minęły właśnie cztery lata od jej ogłoszenia. Porozmawiajmy o tym, jakie błędy popełniliśmy „my dobrzy”.

ŁUKASZ LAMŻA



O PANDEMII PEWNIENIE NAJCIEŃNIEJ byśmy zapomnieli, ale to raczej niemożliwe i byłoby błędem. Już trwają dyskusje o potencjalnej następnej pandemii, a czas na rozmowę o tej niedawnej jest idealny – wreszcie spływają wyniki solidnych badań naukowych. A wywołujący się z nich obraz tej choroby i – zwłaszcza! – naszej reakcji na nią bywa nieoczywisty.

Debatę publiczną zdominował temat „tych złych”, którzy bagatelizowali koronawirusa, protestowali przeciwko szczepionkom oraz oskarżali rządy i koncerny o spiskowanie.

Opowieść o pandemii nie daje się jednak zamknąć w tak prostym schemacie. Co więcej, najbardziej pobudzające pytania pojawiają się wtedy, gdy przyglądamy się, jakie błędy popełnili „ci dobrzy”.

Zadajmy więc pytanie tak: co my, „ci dobrzy”, zrobiliśmy źle?

Apokalipsa czy katar

Istnieje skala Richtera, Międzynarodowa Skala Zdarzeń Jądrowych i Radiologicznych INES, skala Saffira-Simpsona do opisu siły huraganów, a nawet skala Torino do oceny zagrożeń z kosmosu; nie ma jednak skali powagi pandemii. O covidzie słyszy się tymczasem opinie tak rozstrzelone, jakbyśmy jedną burzę opisywali naprzemiennie jako letni deszcz czyk oraz morderczy tajfun.

Kiedy Donald Trump opisywał covid-19 jako „po prostu grype” albo „katar”, „Time” określał pandemię jako „kryzys egzystencjalny”. W Polsce też słyszeliśmy o „silniejszym przeziębieniu” i „zwykłej wirusówce”. Z drugiej strony np. polski „Forbes” we wrześniu 2020 r. nazwał covid „potencjalnym zagrożeniem istnienia naszego gatunku”, a dr Paweł Grzesiowski, ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej ds. zagrożeń epidemicznych, twierdził, że covid-19 „dewastuje ludzki gatunek”.

Obie formy przesady są tymczasem szkodliwe. Pojawiły się badania pokazujące, że osoby o szczególnie niskim poziomie lęku oraz postrzegające covid jako małe zagrożenie są też mniej skłonne do zachowań „prozdrowotnych” – to koszt bagatelizowania wirusa. Z drugiej strony, czy naprawdę chcemy wywoływać „wysoki poziom lęku”? Istnieje już cała bateria badań pokazujących poważne szkody psychiczne wyrządzane przez katastroficzny język oraz drastyczne obrazy covidu: zwiększona częstość obsesyjno-kompulsywnego mycia rąk, stanów lękowych i depresyjnych czy myśli samobójczych.

Autorzy tych negatywnych komunikatów uznawali pewnie, że straszenie jest słuszne – gdy nastraszymy ludzi, zachowają się odpowiedzialnie. „New York Times” napisał wprost: „Nasze komunikaty na temat wirusa powinny ukazać – w drastyczny sposób – prawdziwe koszty złapania wirusa”; tytuł tego artykułu brzmiał „Już czas przestraszyć ludzi covidem”. Dr Grzesiowski twierdził, że „perswazja przez strach jest skuteczna na krótką metę”, powątpiewając, czy działa długofalowo. Pytanie brzmi zaś: czy działa w ogóle.

Psychologowie od dekad nie potrafią tego ustalić. Do dziś cytowany jest klasyczny eksperyment Janisa i Feshbacha z 1953 r., w którym wykazano, że im bardziej drastyczny jest opis niedbania o zęby, tym mniej jest skuteczny. Strach wywołuje silną reakcję emocjonalną, ale słabo wpływa na postawy i zachowania. Są już badania ilustrujące podobne zjawiska w kontekście covidu. Opisano np., że podkreślanie w komunikatach medialnych, jak groźny jest koronawirus, może prowadzić do utraty u czytelników nadziei, że możemy zrobić cokolwiek, by sobie z nim poradzić – a ostatecznie do demotywacji i objawów depresyjnych.

Nieskuteczność „narracji strachu” została też opisana w innych dziedzinach. Edukacja antynarkotykowa opierająca się na straszeniu i przesadzie („marihuana jest jak heroina”) najprawdopodobniej jest nieskuteczna, a niektórzy uważają, że wręcz zachęca młodzież do zażywania narkotyków. Niedawno w „Nature” ukazał się raport ze sporego badania Madaliny Vlasceanu i współpracowników →

Punkt szczepień w galerii handlowej. Kraków, 20 listopada 2021 r.

→ na temat skuteczności komunikacji perswazyjnej o zmianach klimatu. Na próbie 60 tys. uczestników z 63 krajów przetestowano 11 strategii komunikacyjnych, w tym taką opartą na negatywnych, drastycznych obrazach (zatopione miasta, umierające niedźwiedzie polarne). Ta metoda miała praktycznie zerową skuteczność, gdy chodzi o zmianę poglądów i poparcie dla polityki proklimatycznej, a także najgorszy z wszystkich 11 metod wpływ na faktyczną gotowość do działania: uczestnicy potraktowani takimi komunikatami byli mniej skłonni do wysiłku na rzecz klimatu niż osoby z grupy kontrolnej!

Ile warte są szczepionki

Żaden aspekt pandemii nie wywołał chyba tylu emocji, co szczepienia. Co możemy bezpiecznie powiedzieć o nich z perspektywy trzech lat?

Po pierwsze, były skuteczne i znacząco pomogły w opanowaniu pandemii – spływające z całego świata dane wyraźnie to potwierdzają. Po drugie, wywoływały mniej więcej tyle skutków ubocznych, ile powinniśmy się spodziewać po szczepionkach – względnie niewiele. Z perspektywy czysto medycznej sytuacja jest więc jasna.

Od strony komunikacyjnej popełniono jednak sporo błędów. Co istotne, winą nie da się całkowicie obciążyć „antyszczepionkowców” dystrybuujących fake newsy i teorie spiskowe”. Istnieją dobre powody, by przynajmniej częścią winy za chaos w komunikacji – i „sceptycyzm szczepionkowy” – obarczyć „tych dobrych”, których głównym grzechem była przesada i bagatelizowanie rozsądnych wątpliwości.

Zacznijmy od liczb. Jak skuteczna była szczepionka na covid? W 2023 r. w „The Lancet” ukazało się podsumowanie wyników 68 badań skuteczności szczepionek, czyli tzw. metaanaliza. Po uśrednieniu po wszystkich typach szczepionek (różnice były niewielkie) ich skuteczność po dwóch tygodniach od zaszczepienia to 80-86 proc. (dla ryzyka zachorowania), 88-94 proc. (ryzyko hospitalizacji) i 85-95 proc. (ryzyko śmierci). Podany zakres to tzw. przedział ufności – rzeczywisty wynik „niemal na pewno” (na 95 proc.) mieści się w podanym zakresie. Z czasem ochrona spada i po dwóch miesiącach osiąga poziom ok. 60 proc.

Zachwycamy się kolektywną inteligencją i instynktowną umiejętnością reagowania na zagrożenia w mrowisku albo ławicy ryb.

Ale jakoś nie dowierzamy, że na to samo stać

Homo sapiens.

Jak stracić zaufanie

ODETTE WEGWARTH I WSPÓŁ-

PRACOWNICY zbadali, jakie błędy w komunikacji publicznej skłoniły Niemców do nieufności wobec szczepionek. Oto ich niektóre wnioski przedstawione w styczniu 2024 r.:

„**PANDEMIA COVID-19** ujawniła, że asymetria informacji pomiędzy ekspertami i zwykłymi obywatelami skurczyła się, za to wzrosło ryzyko utraty zaufania. Wiedza, do której kiedyś mieli dostęp tylko eksperci, dziś jest powszechnie dostępna online, a obywatele mogą z łatwością sprawdzać tezy ekspertów u źródeł. Niedokładności oraz przemilczenia mogą więc zostać z łatwością wykryte i upublicznione, co skutkuje utratą zaufania do instytucji zdrowia publicznego”.

„**NIE UWAŻAMY**, aby przedstawiciele zdrowia publicznego mieli trudności z komunikowaniem niepewności albo nie rozumieli naukowych podstaw szczepień. Problem pojawił się raczej, gdy celowo nie przedstawiali uczciwie swojego faktycznego stanu wiedzy w publicznych komunikatach, chcąc raczej przekonywać niż informować”.

„**FUNDAMENTALNE PYTANIE BRZMI**, czy naukowcy i politycy powinni formułować swoje komunikaty tak, aby przekonywać ludzi do zachowań prozdrowotnych, czy tylko precyzyjnie i transparentnie informować o tym, co wiedzą i czego nie wiedzą. Zasady komunikacji opartej na wiedzy głoszą tymczasem, że konieczna jest pełna jawność na temat korzyści i szkód interwencji medycznych [...]. Standardy te rzadko są przestrzegane”. ©& Ł

(dla ryzyka zachorowania). Rzecz w tym, że podczas gdy „ci źli” twierdzili, że szczepionki w ogóle nie działają (albo zabijają), „ci dobrzy” często przedstawiali je jako znacznie skuteczniejsze, mimo że ich entuzjazmu nie potwierdzały solidne dane.

Posłużmy się przykładem szczepionki Pfizera/BioNTech. Na przełomie 2020 i 2021 r. utarło się, że jej skuteczność to 95 proc. w zapobieganiu zachorowaniu, choć – o czym pisałem w „Tygodniku” już w styczniu 2021 r. – było to raczej hasło reklamowe Pfizera niż fakt naukowy. W oficjalnym badaniu tej szczepionki, które upubliczniono w grudniu 2020 r., podano bardziej realistycznie, że jej skuteczność to 90-97 proc., a rzeczywisty wynik wg metaanalizy z „The Lancet”, i tak naprawdę dobry, to 81-89 proc. Co więcej, początkowo ze względu na skromny rozmiar próby i czas badania nie dało się, przykładowo, w ogóle wiarygodnie wyznaczyć skuteczności dla osób w wieku powyżej 75 lat.

Zakres ufności

W doniesieniach z tego okresu próżno szukać śladu po takich subtelnościach: dominował dziarski optymizm. W grudniu 2020 r. prof. Andrzej Horban, główny doradca premiera ds. covid-19, zapytany przez dziennikarzy, „czy zaszczepieni będą dalej zarażali”, odpowiedział jednoznacznie, że nie: zaszczepieni nie zarażają, nie będą więc zarażać – *de facto* głosząc więc stuprocentową skuteczność szczepień. W lutym 2021 r. ogłaszał, że szczepionka AstraZeneca ma stuprocentową skuteczność w zapobieganiu ciężkiemu przebiegowi choroby (rzeczywista wartość to ok. 92 proc.). O stuprocentowej skuteczności donosił też choćby CNN, a „Bloomberg”, opierając się na wyjątkowo kreatywnej matematyce, podawał „99,999 proc.”. Standardem było „95 proc.”, przy czym praktycznie nikt nie informował, że liczba ta jest niepewna. W 2023 r. w „Nature Human Behavior” opisano analizę 2,5 tys. zaleceń medycznych organizacji rządowych i pozarządowych – tylko w 3 proc. wprost podano poziom niepewności naukowców.

Ta sama nonszalancja panowała często w temacie skutków ubocznych („niepożądanych odczynów”). 21 grudnia 2020 r. dr Grzesiowski donosił, że choć podano już niemal 2 mln dawek, to „poza kilkoma osobami z anafilaksją, brak doniesień o poważnych efektach ubocznych”



MAREK M. BEREZOWSKI / REPORTER

Szpital powiatowy w Dąbrowie Tarnowskiej przekształcony w całości w szpital covidowy, 6 kwietnia 2021 r.

Cena jednego życia

EKONOMIŚCI

PRZELICZAJĄ zwykłe korzyści i koszty lockdownów albo na pieniądze, albo na lata życia. Przykładowo, już w listopadzie 2020 r. Dimitri Christakis i współpracownicy przeliczyli straconą szansę edukacyjną amerykańskich dzieci na stracone lata życia, powołując się na znane statystyki wiążące osiągnięty poziom edukacji z późniejszym stanem zdrowia i długością życia. Ich zdaniem zamknięcie szkół tylko w 2020 r. kosztowało amerykańską populację 13,8 mln straconych lat życia, podczas gdy ocaliło tylko 4,4 mln lat życia.

PODOBNE ANALIZY można przeprowadzić dla innych strat, np. ekonomicznych. Prosty przykład: lockdown zwiększa poziom bezrobocia, to zaś zwiększa prawdopodobieństwo samobójstwa. W sierpniu 2020 r. Roger McIntyre i współpracownicy oszacowali w ten sposób liczbę samobójstw wynikających z ekonomicznych skutków lockdownu, w samej tylko Kanadzie, na 418-4127 „nadmiarowych” śmierci. Nie każde życie ma w ekonomii identyczną wartość. Zespół Lisy Robinson przedstawił w lipcu 2020 r., ku rozwadze rządzących, jeden z popularnych przeliczników dotyczących wieku.

Jedno życie osoby w wieku 15-14 lat jest w nim warte 13 mln dolarów; osoby w wieku 45-54 lata – 9,2 mln; a osoby w wieku powyżej 85 lat – 2 mln.

DOUGLAS ALLEN,

opierając się na podobnych wyliczeniach, przedstawił w sierpniu 2021 r. łączną analizę zysków-strat przeprowadzoną dla Kanady. Jego zdaniem stosunek kosztów do korzyści wynosi 141: koszt lockdownów był 141-krotnie wyższy od korzyści, którą dzięki nim odnieśliśmy! Jego wniosek: „lockdowny prawdopodobnie przejdą do historii jako jedna z największych współczesnych porażek z obszaru polityki publicznej”. © EŁ

– „najlepszy dowód na bezpieczne szczepienia”. To jednak nieprawda. Nawet w samym oficjalnym badaniu Pfizera, które było już wówczas publicznie dostępne, stwierdzono 240 „poważnych” skutków ubocznych szczepienia, prawie dwa razy więcej niż w grupie placebo (i 21 reakcji „zagrożających życiu”). Po bliższej analizie wybranych przypadków poważnych cztery z nich określono wprost jako spowodowane przez szczepienie (żadne z nich nie było reakcją anafilaktyczną).

I znów – 240 przypadków poważnych (czyli 1,1 proc. spośród wszystkich osób zaszczepionych) to przecież niezły wynik! Ba, nawet wartość skorygowana później przez niezależne źródło, czyli 1,5 proc. ogłoszone przez czasopismo medyczne „NEJM”, jest wciąż OK. Czy więc naprawdę trzeba było przekonywać, że poważne skutki uboczne nie zdarzają się nigdy?

Można by uznać, że nieznaczące podkreślanie skuteczności szczepień lub zamiatanie pod dywan ich skutków ubocz-

nych to drobne grzeszki, i to w dobrej wierze. Ale czy – pomijając nawet pryncypia – jest to skuteczne? Nauka mówi, że niekoniecznie. W jednym z dużych badań eksperymentalnych na ten temat Michael Petersen i współpracownicy przedstawili na łamach „PNAS” ciekawy, pogłębiony obraz sytuacji. Komunikacja szczerza i zniuansowana na krótką metę rzeczywiście zniechęca do szczepień, ale za to długofalowo podnosi poziom zaufania do lekarzy. Komunikacja ogólnikowa i uspokajająca ma zaś trzy poważne wady: wcale nie zwiększa poziomu akceptacji szczepień, obniża poziom zaufania i... zwiększa skłonność do myślenia spiskowego („oni coś ukrywają”).

Wszędzie te spiski

Jest tu jeszcze jedna „subtelność”: najbardziej entuzjastyczne dane pochodziły niemal zawsze wprost od firm farmaceutycznych – i mało kto je kwestionował (tak było właśnie z wartością „95 proc.”). Nie wybrzmiał fakt, że szczepionki są produktami medycznymi, a ich producenci mają oczywisty interes, by nas zwodzić w sprawie ich skuteczności i bezpieczeństwa. Skuteczność szczepionki Pfizera została ogłoszona 9 listopada 2020 r. w ich własnym komunikacie prasowym. Miesiąc później, gdy liczbę „95 proc.” powtórzono już tysiące razy, ukazało się wspomniane oficjalne badanie opisujące rozmaite subtelności – a i ono powinno być przecież czytane krytycznie. I rzeczywiście, jest dziś niemal pewne, że Pfizer przeszacował w nim skuteczność swojego produktu (ich zdaniem: 90-97 proc., późniejsza metaanaliza z „The Lancet” mówiła o 81-89 proc.) oraz niedoszacował częstości występowania poważnych skutków ubocznych (ich zdaniem: 1,1 proc.; wg późniejszej analizy z „NEJM”: 1,5 proc.). Powtórzę: oba wyniki są dobre, a różnica mogła wynikać z ograniczonej liczby danych w pierwszych badaniach. Trudno jednak przejść obojętnie wobec faktu, że w obu przypadkach różnica działała na korzyść produktu. Gdyby chodziło o każdy inny produkt, uznalibyśmy, że producentowi trzeba zadać pewne pytania. W przypadku szczepionek temat ten trudno poruszyć bez narażania się na zarzuty o myślenie spiskowe.

Doszło do tego, że samo kwestionowanie dobrych intencji firm farmaceutycznych stało się podejrzane. ➔

SKUTKI NEGATYWNE LOCKDOWNÓW



nazwa badania



metoda badawcza



wnioski

Szkody psychologiczne dla dzieci i młodzieży

U. Panchal i in., 2023, *European Child & Adolescent Psychiatry*

metaanaliza 61 raportów badawczych z 21 krajów świata, w których zbadano stan psychiczny łącznie 55 tysięcy dzieci w wieku 1-19 lat (średnia: 11 lat), porównując stan przed lockdownem i w trakcie

wzrost częstości stanów lękowych, zespołu szoku pourazowego, zaburzeń depresyjnych, myśli samobójczych, planowania samobójstw, liczby prób samobójczych

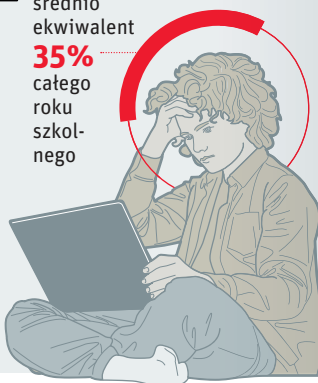


Stracona szansa edukacyjna

B. Betthäuser i in., 2023, *Nature Human Behavior*

metaanaliza 42 raportów badawczych, w których porównano osiągnięcia edukacyjne dzieci uzyskane poprzez nauczanie zdalne z poziomem edukacji bezpośrednio w szkołach

uczniowie utracili średnio ekwiwalent 35% całego roku szkolnego

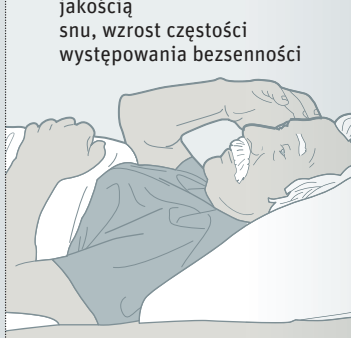


Spadek jakości snu

F. Limongi i in., 2023, *Frontiers in Psychiatry*

metaanaliza 63 raportów badawczych, w których porównano jakość snu przed lockdownem i w jego trakcie

wzrost o 40% liczby osób z niską jakością snu, wzrost częstości występowania bezsenności



Różne szkody zdrowotne

T. Rubio-Tomas i in., 2022, *International Journal of Environmental Research and Public Health*

metaanaliza 111 raportów badawczych, łącznie obejmujących 400 tys. osób

obniżenie poziomu aktywności fizycznej, zwiększone spożycie alkoholu, tytoniu i marihuany, częstsze spożywanie niezdrowych posiłków



→ W październiku 2020 r. media polskie obieżyły wyniki raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego i socjologów z Uniwersytetu Jagiellońskiego, w których pośród „pandemicznych teorii spiskowych” wymieniono tezę o „wylobryzmianiu rozmiarów epidemii przez firmy farmaceutyczne”. Coś, co jest nie tylko logiczne, ale i udokumentowane – że firmy te inwestują w kampanie medialne wylobryzmiające problemy zdrowotne, przeciwko którym oferują produkty – zaszufladkowano jako teorię spiskową. Podobnie w popularnej skali psychologicznej do pomiaru „koronawirusowych poglądów spiskowych” (tzw. badanie OCEANS) wymienia się pogląd, że „firmy farmaceutyczne ukrywają skutki uboczne szczepionek” albo że „jesteśmy zwodzeni w temacie skuteczności szczepionek”. Firmy farmaceutyczne mają tymczasem długą historię robienia właśnie tego.

Ot, w 2012 r. redakcja prestiżowego pisma medycznego „BMJ” opublikowała list otwarty do giganta farmaceutycznego Roche, wypominając mu celowe, uprzedzone ukrywanie danych na temat skuteczności ich leku Tamiflu przeciwko grypie. Co ciekawe, „BMJ” ujawnił też, że naukowcy przygotowujący dla WHO plany na wypadek pandemii przyjmowali nieujawnione

korzyści majątkowe od firm farmaceutycznych, a ich zalecenia dla WHO mogły przynosić tym firmom korzyść. „BMJ” ubolewało wówczas, że WHO, broniąc się przed tymi zarzutami, zbagatelizowała je jako... teorie spiskowe.

To ślepa plamka, o której musimy koniecznie pamiętać. Ograniczone zaufanie wobec danych od producentów albo podejrzewanie niejawnych, nieetycznych ustaleń na linii biznes-władza to nie myślenie spiskowe, lecz elementarny sceptycyzm. Stawianie go na jednej linii z poglądami naprawdę absurdalnymi poważnie utrudnia krytyczną debatę publiczną. Tymczasem w badaniu OCEANS o „poglądach spiskowych” świadczyła w tym samym stopniu wątpliwość co do szczerości firm farmaceutycznych, co przekonanie, że „Bill Gates stworzył wirusa, aby zredukować globalną populację”.

Czy da się zamknąć świat

Popularna narracja na temat lockdownów głosi, że są „bolesne, ale konieczne”. Dziś w końcu mamy solidną bazę naukową, żeby to omówić.

W zamieszczonej powyżej infografice zestawiliśmy niektóre szkody wyrządzone przez lockdowny (definiowane w badaniach jako interwencje rządowe, takie

jak zamknięcie szkół, „niekluczowych” przedsiębiorstw, np. restauracji, oraz zakaz opuszczania domu z wyjątkiem zaspokajania podstawowych potrzeb). Niektóre wyniki: lockdowny zwiększyły u dzieci i młodzieży częstość stanów lękowych, zaburzeń depresyjnych i myśli samobójczych. Dorośli częściej spożywali alkohol i inne używki, gorzej spali i gorzej się odżywiali, a w rezultacie przytyli (średnio o 1,6 kg). Nauczanie zdalne było mniej efektywne – szacuje się, że przeciętny uczeń trwale stracił ekwiwalent ok. 3 miesięcy edukacji. Uważa się też, że ok. połowa przypadków bezrobocia za czasów pandemii wynikała właśnie z lockdownów.

Wszystko to kontrowano stwierdzeniem, że lockdowny ratują ludzkie życie i zdrowie, trzeba więc zaciśnąć zęby i dzielnie znieść wszelkie niedogodności. W kwietniu 2020 r. WHO ogłosiło, że złagodzenie lockdownów może doprowadzić do „śmiertelnego nawrotu”. W maju 2020 r. aż 90 proc. rządów światowych wprowadziło jakieś formy lockdownu, sądząc najwyraźniej, że są one konieczne. Dr Grzesiowski w marcu 2021 r. nazwał kolejny lockdown „jedyną możliwą decyzją”. Łukasz Szumowski, który jako minister zdrowia odpowiadał za wprowadzenie w Polsce pierwszych obostrzeń, jesz-

Przyrost masy ciała

🔍 D. Bakaloudi i in., 2022, *Clinical Nutrition*

⚙️ metaanaliza 36 raportów badawczych

📄 tzw. pierwszy lockdown (marzec-maj 2020) wywołał średni wzrost masy ciała o 1,6 kg, co odpowiada wzrostowi BMI o **0,3**

niedowaga  nadwaga

prawidłowe BMI
18,5-24,9



Straty ekonomiczne

🔍 Miles i in., 2020, *National Institute Economic Review* No. 253

⚙️ synteza różnych oszacowań i danych ekonomicznych

📄 lockdowny odpowiadają za spadek PKB Wielkiej Brytanii o **9-15%**, co odpowiada ok. 200-330 mld funtów



w USA lockdowny odpowiadają za ok. **10 mln** dodatkowych przypadków bezrobocia, głównie z powodu obniżonej konsumpcji



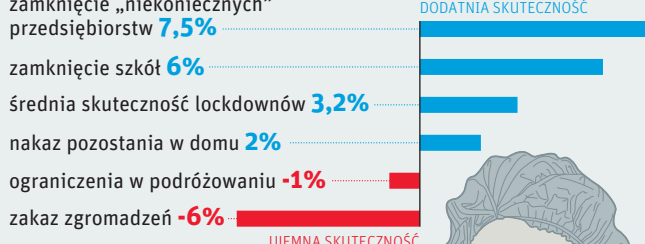
KORZYŚCI Z LOCKDOWNÓW

Zmniejszenie liczby zachorowań i śmiertelności

🔍 J. Herby i in., 2022, *Studies in Applied Economics*

⚙️ metaanaliza 22 raportów badawczych na temat wpływu lockdownów na śmiertelność wskutek covid-19

📄 rządowe nakazy lub zakazy miały następującą skuteczność w ograniczaniu śmiertelności:



liczba unikniętych śmierci podczas „pierwszego lockdownu” (do 30 VI 2020 r.)

w Polsce **53**
w Europie **6000**
globalnie **17 500**



cze w maju 2022 r. twierdził, że lockdown „był brutalny, owszem, ale ustrzegł nas przed pierwszą falą”.

Można by przypuszczać, że lockdowny wręcz muszą działać, i tak właśnie uważali swego czasu niektórzy naukowcy. W marcu 2020 r. grupa brytyjskich badaczy pod kierownictwem Neila Fergusona oszacowała, że skuteczność lockdownu powinna wynieść nawet 99 proc., a ich wprowadzenie ocali 400 tys. Brytyjczyków od śmierci. Badania te obieżyły media i zdaniem dziennikarzy „Guardiana” stanowiły kluczową inspirację dla koronawirusowej polityki rządu brytyjskiego. Dotarły też do Polski: badania Fergusona i ich wpływ na decyzje polskich rządzących omawiali choćby dziennikarze „Gazety Wyborczej” i „Newsweeka”, a także my sami. Rzecz w tym, że jego przypuszczenia oparte były na wątpliwych podstawach – o czym niżej – a obserwacje po prostu ich nie potwierdziły.

Szkodliwe, za to nieskuteczne

Choć realną skuteczność lockdownów nie jest łatwo zmierzyć, regularnie ukazują się dziś próby oszacowania tego parametru – który należy rozumieć jako odpowiedź na pytanie, o ile spadła liczba zachorowań (albo śmierci) ściśle d z i ę k i

lockdownom (a nie, przykładowo, tylko w tym czasie, gdy je ogłoszono). Rozrzut wyników jest spory, jednak oszacowania najczęściej wypadają w okolicach... zera.

Przykładowo, w kwietniu 2022 r. grupa ekonomistów (Phil Kerpen i współpracownicy) przeanalizowała skutki lockdownów w 50 stanach USA. Nie stwierdzono żadnych istotnych związków pomiędzy typem i czasem trwania lockdownu a skutkami zdrowotnymi. W 2022 r. ukazała się metaanaliza (Jonas Herby i współpracownicy) podsumowująca 22 badania na temat skuteczności lockdownów od marca 2020 do marca 2022 r. Choć przyjętą przez autorów metodę można podważać – artykuł ten wywołał zresztą mnóstwo głosów krytycznych – same wyniki (zob. infografika) dość dobrze zgadzają się z tym, co można przeczytać i w innych źródłach. Uśredniona skuteczność lockdownu jako takiego – w porównaniu z hipotetycznym brakiem jakiegokolwiek reakcji ze strony rządu – została tam oszacowana na 3,2 proc.

Z czego może wynikać ten efekt? Nieintuicyjny, bo przecież zakaz kontaktów międzyludzkich teoretycznie powinien bardzo ograniczać rozprzestrzenianie się wirusa. Otóż po pierw-

sze, nakazy rządowe najwyraźniej słabo działają na ludzi. Ba, czasem łamiemy je na złość politykom, co mogłoby tłumaczyć np. stwierdzaną czasem u j e m n ą skuteczność niektórych zakazów (np. zakazu zgromadzeń w badaniu Herby'ego). Choć więc same zalecenia mogą być sensowne i skuteczne – jak utrzymywanie dystansu i noszenie maseczek – ludzie podejmują się ich nie ze względu na wydane przez rząd nakazy. We wrześniu 2021 r. Maryam Farboodi i współpracownicy wykazali na podstawie danych geolokalizacyjnych, że Amerykanie i Europejczycy z własnej inicjatywy dopasowują swoje zwyczaje do rytmu pandemii, spędzając np. mniej czasu w miejscach publicznych, a więcej w domu – na długo zanim władza im zakaze. Jest sporo podobnych badań.

Dane rysują obraz „dobrowolnego lockdownu” wynikającego z połączenia egoizmu (unikamy ludzi dla własnego dobra) i altruizmu (robimy to dla ich dobra). Szacuje się, że jeżeli wszystkie nasze działania antypandemiczne podzieli się analitycznie na te dokonywane z własnej woli i te wymuszone nakazami rządowymi, to otrzyma się proporcje 90 proc. – 10 proc. Co najistotniejsze, ludzki rój działa szybciej niż rządowe

→ procesy decyzyjne. W sierpniu 2023 r. Stefanie Schurer i współpracownicy zbadałi reakcje Australijczyków na zmieniające się statystyki zachorowań. Okazuje się, że pierwsza zawsze była spontaniczna reakcja ludzi, a oficjalne obostrzenia spływały, gdy słupki zakażeń zaczynały już maleć.

W przestrzeni publicznej dominował jednak inny głos: pandemia została opóźniona, gdyby tylko ludzie przestrzegali obostrzeń. Prezes Warszawskich Lekarzy Rodzinnych dr Michał Sutkowski mówił w marcu 2021 r.: „Nie może być tak, że władza i eksperci wydają rekomendacje, które nie są respektowane przez część społeczeństwa”. Następca ministra Szumowskiego, Adam Niedzielski, choć z czasem wycofał się z rekomendowania lockdownów, tłumaczył to głównie nieposłuszeństwem obywateli: w listopadzie 2021 r. wciąż twierdził, że pierwsze restrykcje działały, ponieważ „społeczeństwo na nie reagowało, było bardziej zdyscyplinowane”. Badania tymczasem sugerują, iż wymagania rządów mogą być tak wygórowane, że okazują się irracjonalne, zaś społeczeństwo samodzielnie hamuje rozwój epidemii, i to całkiem umiejętnie (a rządy ledwie za tym procesem nadążają).

Zachwycamy się kolektywną inteligencją i instynktowną umiejętnością reagowania na zagrożenia w mrowisku albo ławicy ryb. Ale jakoś nie dowierzamy, że na to samo stać *Homo sapiens*. To zresztą było fałszywe założenie ukryte w modelu matematycznym Fergusona: że ludzie

Nakazy rządowe słabo działają na ludzi. Ba, czasem łamiemy je na złość politykom, co mogłoby tłumaczyć np. stwierdzaną czasem **ujemną skuteczność** niektórych zakazów.

nie zmieniają swojego zachowania w trakcie epidemii.

Herby stwierdza: „Nasze badania pokazują, że lockdowny miały niski lub zerowy wpływ na spadek śmiertelności na covid-19”. I stawia sprawę ostro: „lockdowny powinny zostać od ręki odrzucone jako instrument polityki pandemicznej”. To nie jest jednak aż tak oczywiste. Przecież w końcu nawet mała skuteczność to zawsze coś: a może korzyści z lockdownów mimo wszystko przewyższają straty? Czy da się to w ogóle policzyć?

Bezduszne rachunki

Punktem wyjścia dla tego typu analiz jest dziś ekonomia zdrowia. To ta symptomatyczna dziedzina wiedzy, która w cywilizowanych krajach dostarcza decydującym argumentów, czy np. lepiej jest wydać 1000 dolarów na ocalenie życia 5-latka, czy na przedłużenie życia o rok

dziesięciu 70-latkom. Konkretnie liczby w tego typu analizach są z gruntu podejrzane, a często brzmią bezdusznie. A jednak musimy o nich porozmawiać, jeżeli chcemy racjonalnie odpowiedzieć na pytanie, jak się mają do siebie ocalone dzięki lockdownom życia do, przykładowo, 76 milionów uczniów na terenie całej Unii Europejskiej, którzy stracili średnio ok. 3 miesiące edukacji.

Wstępna, choć z każdym miesiącem wygłaszana coraz śmielej opinia ekonomistów (zob. ramkę obok) jest taka, że koszty lockdownów znacznie przewyższyły korzyści. W pierwszym przybliżeniu wynika to z dwóch przyczyn. Pierwsza z nich to niska skuteczność lockdownów: zapobiegły one niewielu chorobom i śmierciom, miały więc niewielu beneficjentów. Koszty lockdownów, jak straty edukacyjne, bezrobocie czy szkody psychiczne i zdrowotne zamknięcia w czterech ścianach, dotyczą zaś praktycznie wszystkich. Druga przyczyna w pełni wprowadza nas w trudny świat ekonomii zdrowia: ponieważ covid-19 szkodzi znacznie silniej osobom starszym i chorym, uniknięcie go przynosi względnie niewiele „lat życia w zdrowiu”. Średni wiek ofiary covidu to 73 lata i szacuje się, że osoba umierająca nań straciła średnio 16 lat życia (w Polsce: 13 lat). Prosto i brutalnie: przeciętne życie uratowane przez lockdowny to życie krótkie i w chorobie. Na drugiejsi szali są zaś miliony 10-latków, którzy całe swoje życie przeżyją z rozproszonymi i „miękkimi”,

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalewski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocui, Michał Okoński, Marek Rabin, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardys, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bieł, Katarzyna Domin, Sylwia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kačka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomałowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kačka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET GRUPA TOŻA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

ale bardzo realnymi skutkami utraconego kontaktu z rówieśnikami, zdalnej edukacji czy gorszej sytuacji psychicznej i finansowej rodziców.

Tak przynajmniej mówi ekonomia, której nie musimy jednak przecież wierzyć na ślepo. Nawet samo przeprowadzenie tego typu analizy – tylko po to, by ją odrzucić jak drabinę, uprzednio po niej się wspiawszy – jest pożytecznym ćwiczeniem. Uczy nas, że decyzji wpływających na życie milionów (i miliardów!) ludzi nie musimy podejmować kierując się zdroworozsądkowymi przekonaniami na temat tego, które skutki tych decyzji są dla ludzi najbardziej dotkliwe oraz co jest w ich życiu najważniejsze. Jeśli komuś nie odpowiada suchy język ekonomii, rozmowę tę można też – i trzeba – prowadzić na gruncie wartości.

Porozmawiajmy więc. Co jest dla Ciebie ważniejsze: zdrowie i życie czy może wolność przemieszczania się i prowadzenia biznesu? Czy godzisz się na ryzyko zarażenia covidem podczas spotkania na ulicy z osobą zarażoną w zamian za swobodę spacerowania? Opublikowane ostatnio badanie wykazało, że prawdopodobieństwo zachorowania na covid po 15-minutowym kontakcie (w odległości poniżej 1 metra) z chora, zarażającą akurat osobą wynosi ok. 0,5 proc.: mniej więcej jeden tego typu kontakt na 200 spowoduje zarażenie. Porozmawiajmy więc i o tej liczbie: czy byłbyś gotów ponieść tak zdefiniowane ryzyko?

Nie możemy dalej w przyszłości zakładać, że istnieje uniwersalne porozumienie co do „obowiązującego” systemu wartości albo poziomu skłonności do ryzyka.

Jak dorośli

Gdy podsumuje się wyniki nawet tak pośpiesznego przeglądu, wyłania się ciekawy zestaw rekomendacji przed ową następną pandemią: opracujmy jakąś racjonalną skalę powagi chorób zakaźnych i ani ich nie bagatelizujmy, ani nie dramatyzujmy. Nie straszmy, tylko informujmy. Nie zamiatajmy pod dywan niewygodnych faktów i nie bójmy się mówić o niepewności nauki. Nie dajmy się naiwnym narracjom o „złych” i „dobrych”. Nie dajmy się przekonać, że rozsądne wątpliwości to teorie spiskowe. Mówmy otwarcie o swoich wartościach.

Krótko mówiąc, rozmawiajmy ze sobą jak dorośli.

© PŁUKASZ ŁAMŻA



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

Mamy się czym pochwalić:
od piętnastu lat współorganizujemy
Conrad Festival i od dziesięciu – **Copernicus Festival**. Wyprodukowaliśmy dwa filmy dokumentalne: „xABo: Ksiądz Boniecki” i „Ukos światła”. Prowadzimy akcję „Lekcje czytania” i pomagamy rozwijać „Podkast Tygodnika Powszechnego”.

Nasz nowoczesny projekt technologiczny **rE-medium** wspiera suwerenność wydawniczą „Tygodnika Powszechnego”, a niedługo będzie wspomagać inne niezależne polskie media.

**Wspólnie z Tobą chcemy
krok po kroku zmieniać
świat na lepsze. Naprawdę**

**PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
FUNDACJI
TYGODNIKA POWSZECHNEGO
» KRS 0000 125 605**

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Jak przeciąć kamień*



TOCZENIE PO UMIESZCZENIU MIĘDZY drewnianymi dyskami, sunięcie po drewnianych balach, przewożenie na saniach po zwilżonym piasku, co zmniejsza tarcie – te hipotezy dotyczące transportu kamiennych bloków do budowy piramidy mają ręce i nogi. Podnoszenie – od kilku do kilkudziesięciu ton! – za pomocą dźwigni z odpowiednim punktem podparcia też jest do wyobrażenia. „A czym tak precyzyjne przycinano kamienne bloki?” – nie daje za wygraną zwolennik teorii o kosmicznym pochodzeniu technologii użytych do wzniesienia piramidy Cheopsa. (Nie wiem: obsydianowym ostrzem? Ale skoro pytasz rabinę...) „Może Egipcjanie też mieli szamira?” Co to jest szamir?

W Biblii to słowo występuje trzy razy, wyłącznie w księgach prorockich. Tłumacząc Jeremiasza i Ezechiela, rabin Cyłkow oddaje je jako diament, zaś u Zachariasza jako polski odpowiednik proponuje całe wyrażenie: twardy jak diament (zob. Jr 17, 1 i Ez 3, 9 oraz Za 7, 12). Tymczasem tradycja postbiblijna utrzymuje, że szamir był robaczkiem wielkości ziarna jęczmienia, zdolnym przeciąć nawet najtwardszy materiał. Owiniętego w gąbczaste kłęбки wełny, przechowywano go w ołowianej skrzynce wypełnionej otrębami jęczmiennymi.

Bez szamira niemożliwe byłoby wykonanie niektórych części stroju arcykapłana. Część efodu stanowiły dwa kamienie onyksowe, na których należało umieścić imiona dwunastu plemion Izraela: „Robotą rytowników na kamieniu, rzeźbą pieczętarską, wyrzjesz na obu kamieniach imiona synów Izraela” (Wj 28, 11; Cyłkow). Także „napierśnik wyroczny” (Biblia Tysiąclecia: „pektorał do zasięgania wyroczni”) ozdobiono drogimi kamieniami: „A kamieni tych ma być, podług imion synów Izraela, dwanaście, podług imion ich; rzeźbą pieczętarską każdy z imieniem swoim, niechaj będzie dla dwunastu pokoleń” (wers 21). Po napisaniu imion barwnikiem na kamieniach potrzymanie nad nimi szamira sprawiło, że napis został wyryty. Także ołtarz w Przybytku miał zostać wykonany bez użycia ostrych narzędzi: „A jeżeli ofiarnicę kamienną wystawisz Mi, nie stawiaj jej z ciosu; bo jeżeliś topór twój podniósł na nią, znieważyles ją” (Wj 20, 22). I tutaj nie obeszło się bez szamira.

Wedle Talmudu robaczek ów został stworzony jako siódmy spośród dziesięciu fenomenów, które pojawiły się na ziemi w szóstym dniu, o zmierzchu tuż przed pierwszym szabatem. Zniknął natomiast podczas zburzenia Pierwszej Świątyni. Swoje nazwisko na Szamir zmienił Icchak Jaziernicki, siódmy premier Izraela, po imigracji z międzywojennej Polski. Wy tłumaczył żonie zmianę – zostało to skrętnie odnotowane – chęcią bycia jak szamir. Jego słowami „szamir oznacza ciernie, który kłuje, i kamień, który może ciąć stal”. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Niedziela radości. Serio?*



LITURGIA CZWARTEJ NIEDZIELI WIELKIEGO Postu zaczyna się od antyfony: „Raduj się, Jerozolimo, zbierzcie się wszyscy, którzy ją kochacie. Cieszcie się wy, którzy byliście smutni, weselcie się i nasycajcie u źródła waszej pociechy”. Podobnie w trzecią niedzielę Adwentu słyszymy: „Radujcie się zawsze w Panu, raz jeszcze powiadam: radujcie się, Pan jest blisko”. Obydwie nazywa się niedzielami radości. Jak dla kogo. Wystarczy pomyśleć o wojnie na Ukrainie, żeby prysł czar radości. Kto więc za taki stan rzeczy odpowiada? Powiedzenie, że wszyscy, wcale nie znaczy, że nikt nie odpowiada.

Trudno przychodzi nam pogodzić się z perspektywą, że pomoc Ukrainie sprawi, iż w naszych domach może być chłodniej, że do pracy trzeba będzie pojechać tramwajem, na wakacje się nie pojedzie, a na obiad w piątek zamiast dorsza będą leniwe, słowem: trzeba będzie zacisnąć pasa. Czas wrócić do Ewangelii i przypomnieć o Jezusowej biednej wdowie wrzucającej do świątynnej skarbony wszystko, co miała na utrzymanie. Dzisiaj kto inny oddaje nam, w rzeczywistości za nas, nieskończenie więcej, bo swoje życie – Ukraińcy i ci, którzy wspomagają ich na froncie. Zabijani, znikają nam z oczu, ale tak nie jest. Zostają, stoją przed nami w cierpieniu ich rodziców, żon, mężów, dzieci, przyjaciół. Kiedyś jednak „czas nienawiści, czas wojny” ustanie i nastanie „czas miłości i czas pokoju”. Jak wtedy spojrzymy im w oczy?

Pięknie, ale co ja, nic nieznaczący trybik w tej maszyni dziejów świata, mogę zrobić? Nie ja rządę światem. Nieprawda! Ta bezsilność to nic innego jak jeszcze jedna z wielu sztuczek, które pozwalają nam na eleganckie wyzbycie się odpowiedzialności za los bliźnich. To też sposób na przerzucanie na Boga naszych obowiązków: „Boże, Ty się tym zajmij”. Po dwu latach wojny warto przypomnieć, jak to nie oglądając się na najwyższe władze polityczne i religijne, pomijając wszystkie zaszczości, utworzyliśmy uchodźcom z Ukrainy wszelkie granice. Niestety, dla uchodźców z białoruskiej granicy serca już nam nie starczyło. A co się tyczy polityki i polityków, to nie kto inny, ale my, obywatele, głosząc za, przeciw czy wcale, daliśmy im władzę. Tym samym bez względu na to, czy jesteśmy przy władzy, czy w opozycji, wzięliśmy odpowiedzialność za ich poczynania. W rezultacie na własne życzenie mamy to, na co zasłużyliśmy. Ktoś już kiedyś powiedział, że to polityka powinna kłaniać się etyce, a nie odwrotnie.

Pierwsza światowa wojna rozegrała się w rajskim Edenie. W jej rezultacie jesteśmy potomkami Kaina, dlatego pytanie Boga, zadane Kainowi: „Gdzie jest twój brat Abel?”, również nas dotyczy. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Ojcostwo

*Drogą ku poznaniu
jest wolność
od namiętności i pokora.
Bez nich nikt
nie dostrzeże Boga.*

HEZYCHIUSZ Z SYNAJU



*Nic nie jest bardziej obce
zdobywaniu wiedzy
niż wysokie mniemanie
o sobie.*

ZENON Z KATION



DWA RAZY NIEDAWNO usłyszeliśmy wezwanie do świętości na kształt ojcostwa. Najpierw słyszeliśmy je w zapisie Mateuszowym: „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski” (zob. Mt 5, 48); a następnie w wersji zapamiętanej i uwiecznionej przez św. Łukasza: „Bądźcie miłosierni, jak Ojciec wasz jest miłosierny” (zob. Łk 6, 36). Co to znaczy, że w dążeniu do świętości podstawowym punktem odniesienia dla nas winno być ojcostwo/macierzyństwo? Szukacie doskonałości? Bądźcie ojcami/matkami!

Odpowiedź, być może, jest taka, że świętość nie jest jakąś abstrakcyjną doskonałością – nie jest jakimś wsobnym, indywidualistycznie pojętym perfekcjonizmem (ja i zestaw cnót). Świętość/doskonałość/dojrzałość ukazuje się nie w odniesieniu do jakiegoś abstrakcyjnego wzorca czy ideału. Nie! Ukazuje się (wychodzi na jaw) w relacjach z innymi ludźmi – w szczególności zaś w relacjach z tymi, którzy w jakiejś mierze „narodzili się z nas” (fizycznie, duchowo, naukowo itd...). Stali się tymi, kim są, jakoś dzięki nam – wzrastali w jakiejś zależności od nas: w pojmowaniu świata, w przeżywaniu wiary, w zdobywaniu wiedzy – w rozumieniu siebie samych.

Mamy takich ludzi wokół siebie? W swoim życiu? Czy wewnątrz siebie odkrywamy poczucie odpowiedzialności za takich – konkretnych – ludzi? Odpowiedzialności, z której nie sposób się

zwolnić czy uznać za już nieaktualną? Wszak ojcostwo i macierzyństwo – jako relacja – nigdy się nie kończy; oczywiście zmienia się z upływem czasu: inaczej wygląda w odniesieniu do niemowląt, inaczej w odniesieniu do dorosłych dzieci; pozostaje wszakże na zawsze ojcostwem i macierzyństwem.

Czy jesteśmy na tyle dojrzałi/„doskonali”, że można nam zawierzyć (i zaufano nam) innych? I to właśnie: nie na moment – na jedną chwilę – ale na całe życie? W trwałej relacji – z której się nigdy nie wycofamy, nie zwolnimy, nie zdezerterujemy?

I kiedy ta relacja ojcostwa/macierzyństwa faktycznie okazuje się miarą „doskonałości”? Otóż wtedy, gdy zderza się ze złem i niewdzięcznością swoich „dzieci”. Jezus mówi: „Bądźcie jak Ojciec, który sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi i dobrymi – jak Ten, który zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” (Mt 5, 45).

Kiedy Twoje „dzieci” staną się dla Ciebie „nieprzyjaciółmi” i „prześladowcami” (por. w. 44), wtedy zobaczysz rzeczywistość pełną prawdę o swoim rodzicielstwie – o tym, czy jesteś skupiony/zorientowany w swoim życiu na nich, czy na sobie? Zależy Ci na nich czy na sobie? Czy Twoja miłość do „dzieci” jest miłosierna (zapis św. Łukasza)? Czy potrafi przekroczyć granice sprawiedliwości? Czy jest wierna? Czy jest gotowa rodzić na nowo?

A może woli wyrzucić z domu? Wykluczyć z domowej wspólnoty? Zerwać kontakt na znak „świętego” oburzenia? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (10-17 III)

4. niedziela Wielkiego Postu: 2 Krn 36, 14-16.
19-23; Ps 137; Ef 2, 4-10; J 3, 14-21;
Poniedziałek: Iz 65, 17-21; Ps 30; J 4, 43-54;
Wtorek: Ez 47, 1-9. 12; Ps 46; J 5, 1-16;
Środa: Iz 49, 8-15; Ps 145; J 5, 17-30;

Czwartek: Wj 32, 7-14; Ps 106; J 5, 31-47;
Piątek: Mdr 2, 1a. 12-22; Ps 34; J 7, 1-2. 10. 25-30;
Sobota: Jr 11, 18-20; Ps 7; J 7, 40-53;
5. niedziela Wielkiego Postu: Jr 31, 31-34;
Ps 51; Hbr 5, 7-9; J 12, 20-33.

Wybrał PIOTR SIKORA

NATO WRACA Z DALEKIEJ PODRÓŻY

JUSTYNA GOTKOWSKA, WICEDYREKTORKA OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH:

Dla Kremla NATO nigdy nie przestało być wrogiem numer jeden.
To Zachód w pewnym momencie polubił wizję,
że Rosja mu już nie zagraża.

MAREK RABIJ: Rozmawiamy w chwili, gdy z NATO wita się Szwecja. Liczba członków sojuszu wzrosła do 32, z czego już 18 deklaruje, że w tym roku osiągnie lub przekroczy uzgodniony próg wydatków na obronność w wysokości 2 proc. PKB. Z kolejnych stolic płyną zapewnienia o solidarności sojuszniczej. A Donald Trump mówi, że NATO się kończy.

JUSTYNA GOTKOWSKA: Mamy rzeczywistość rozchcianą dyskusję o przyszłości NATO i bezpieczeństwie wschodniej flanki. Rozpatrujemy scenariusze, kiedy i jak Rosja nas zaatakuje. Emocje są duże i w Polsce, i w Europie.

A co naprawdę się za nimi kryje?

Uważam, że obecnie NATO skutecznie powstrzymuje Rosję od agresywnych działań wobec swoich członków. Sojusz wrócił na ścieżkę obrony i odstraszenia. Ten proces zaczął się jeszcze w 2014 r., po aneksji Krymu, ale po 24 lutego 2022 r. cała aktywność NATO skupiła się już wokół wzmacniania obrony zbiorowej. Mamy powrót do regionalnych planów obronnych, trwa reforma struktur sił sojuszniczych i dowodzenia. Na wschodniej flance już teraz stacjonuje blisko 20 tysięcy natowskich i amerykańskich żołnierzy. Nigdy nie było ich tutaj więcej. Poza

tym nadal mamy silną współpracę transatlantycką i jedność sojuszu. Oczywiście, borykamy się z masą problemów, część krajów nadal nie wydaje na obronność tyle, ile powinna, ale z naszej środkowo-europejskiej perspektywy najważniejsza jest zmiana kierunku myślenia wewnątrz sojuszu. NATO nazwało wreszcie po imieniu największe zagrożenie, jakim jest dla niego Rosja.

Przecież w czasach zimnej wojny nie budziło to wątpliwości.

Ale po jej zakończeniu kraje członkowskie uwierzyły, że z Rosją da się ułożyć co najmniej poprawne stosunki sąsiedzkie. Pojawiały się nawet postulaty włączenia jej w struktury sojusznicze. NATO powróciło więc z dalekiej podróży, bo dziś nazywa Rosję autokracją, która stanowi zagrożenie, zwłaszcza dla krajów wschodniej flanki. Za tym idą konkretne działania. Dopóki sojusz zwiększa swój potencjał wojskowy i stanowi jedność politycznie, Rosja nie odważy się zaryzykować z nim konfliktu.

Nie mówimy o odstraszeniu, które na razie sprowadza się wyłącznie do deklaracji? Sojusznicy zobowiązali się np. do stworzenia korpusu obrony zbiorowej, na który składałoby się do 100 brygad wojsk lądowych,

*Manewry wojsk NATO w Żaganiu.
18 czerwca 2015 r.*

SEAN GALLUP / GETTY IMAGES



**1500 samolotów i 250 okrętów.
To duże siły.**

Tak. 300 tysięcy żołnierzy gotowych do działania w ciągu miesiąca i kolejne pół miliona do zmobilizowania w ciągu półrocza.

Głównie na papierze.

I tak, i nie. To cel, który sobie postawiliśmy zaledwie dwa lata temu, podczas szczytu w Madrycie. W skład tych sił wejdą więc zarówno istniejące już oddziały, jak i te, które kraje sojusznicze dopiero utworzą, wyposażą i wyszkolą. Część istniejących brygad czeka na żołnierzy i nowy sprzęt, także dlatego, że stary – np. z Polski – pojechał służyć Ukraincom. Za jakieś trzy lata, jeśli oczywiście sojusznicy poważnie podejść do

swoich deklaracji, ten potencjał będzie już widoczny. Również dla Rosji.

**Umówiliśmy się w NATO
na te 300 tysięcy za trzy lata?**

Niestety, w dokumentach nie ma takiej cezury. Poza tym są tajne. Możemy się domyślać, że mówią o konieczności jak najszybszego zwiększenia potencjału odstraszającego całego sojuszu. Niektóre kraje wypełnią swoje zobowiązania szybciej, innym może to zająć więcej czasu.

Wspomniane przez Panią trzy lata to perspektywa, którą przeciętny polityk w zachodniej demokracji bierze jeszcze pod uwagę. Ale pięć? Dziesięć? Większość klasy politycznej takie wyzwania traktuje równie poważnie jak zapobieganie katastrofie klimatycznej.

Wiem, że to nie brzmi jak konkret, ale jeśli porównamy obecną sytuację do

tej, w której NATO znajdowało się, powiedzmy, pięć lat temu, widać przełom.

Najsilniej zmotywowane są oczywiście państwa wschodniej flanki, czyli głównie my, kraje bałtyckie, Rumunia oraz Finlandia i Szwecja. Tu próg 2 proc. PKB w wydatkach na wojsko przekroczono, większość krajów zbliża się do 3 proc., a Polska przebiła 4 proc. Im dalej od Rosji, tym mniejsza motywacja do przyspieszenia, ale nawet tam powszechne jest już przekonanie, że w NATO nie da się dłużej funkcjonować na gapę, przede wszystkim kosztem USA.

Jednak prócz politycznej presji sojusz nie ma narzędzi do dyscyplinowania krajów, które ciągną się w ogonie.

Kto jest największym maruderem?

Nie ma publicznych informacji, co i w jakich ilościach poszczególne kraje zadeklarowały do wspólnej puli sił i jak sobie radzą z realizacją obietnic. Wiadomo za to, że wielką niewiadomą dla Europy są wybory w USA. Czy po zwycięstwie Donald Trump będzie tylko naciskać na zwiększenie *burden sharing*, czyli na większy wkład sojuszników europejskich w działanie NATO? →



→ To by wyszło sojusznikom tylko na zdrowie. A jeśli zaczną podważać sens jego istnienia? Jak Stany Zjednoczone zareagują na ewentualne agresywne działania Rosji na wschodniej flance, zwłaszcza gdyby w tym czasie musiały zaangażować się militarnie w Azji Wschodniej?

Znaczące pęknięcie w sojuszniczej jedności będzie jednak dla Moskwy zaproszeniem do agresji na kraje naszego regionu.

Kreml uznaje sojusz za głównego wroga. Kraje Europy Zachodniej i USA po rozpadzie Związku Radzieckiego długo łudziły się, że Rosja nie jest groźna, że można ją ucywilizować poprzez wciągnięcie we współpracę w bezpieczeństwie czy gospodarce. Żadne państwo partnerskie nie zostało przez sojusz tak wyróżnione, jak Rosja. Mieliśmy Radę NATO-Rosja. Do koncepcji strategicznych sojuszu wpisano nawet, że Moskwa traktowana jest jako partner. Przykładem tej polityki było memorandum budapeszteńskie z 1994 r., kuriozalny z dzisiejszego punktu widzenia dokument, podpisany w zamian za rezygnację Kijowa z broni jądrowej, w którym gwarantami integralności terytorialnej Ukrainy obok USA i Wielkiej Brytanii była właśnie Rosja.

Z tamtych czasów pochodzi również dokument, z którym wciąż mamy na wschodniej flance NATO duży kłopot. Mam na myśli Akt Stanowiący NATO-Rosja z 1997 r. Sojusz zobowiązał się w nim, że nie będzie utrzymywać na wschodniej flance znaczących sił i nie umieści tam broni jądrowej. Był to swoisty ukłon w stronę obaw Moskwy związanych z planowanym rozszerzeniem, tyle że wówczas Rosja nie groziła nikomu wojną. Dziś pierwszej części postanowień tego Aktu Sojusz nie uważa już za obowiązującą, gorzej z drugą. To, że część sojuszników nie chce wyrzucić tego dokumentu całkowicie do kosza, jest niepokojące.

Warszawa chciałaby dotączyć do programu Nuclear Sharing. Polega on



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

JUSTYNA GOTKOWSKA jest wicedyrektorką Ośrodka Studiów Wschodnich. Kieruje w nim Zespołem Bezpieczeństwa i Obronności. Ukończyła Uniwersytet Warszawski i Uniwersytet RWTH w Aachen. Wykładała i prowadziła badania na Uniwersytecie Bundeswehry w Monachium oraz w Norweskim Instytucie Badań Obronnych. Uczestniczy w międzynarodowych projektach badawczych, w tym w ramach Think Visegrad, estońskiego ICDS, czy niemieckiego DGAP.

w skrócie na tym, że amerykańskie taktyczne głowice jądrowe są składowane w niektórych krajach NATO i przenoszone przez europejskie samoloty. Decyzja o ich użyciu zapada w sojuszu, ale ostateczny głos ma Waszyngton.

Rozmieszczenie amerykańskiej broni jądrowej na wschodniej flance jest dziś dla części sojuszników, w tym USA i Niemiec, trudne do wyobrażenia. Niektórzy wychodzą z założenia, że z Rosją trzeba będzie kiedyś się do stołu i zakończyć wojnę na Ukrainie, a ocalałe resztki Aktu Stanowiącego będą dobrym punktem wyjścia do rozmów o europejskim bezpieczeństwie.

O ile Rosjanie zechcą rozmawiać.

Im słabsze politycznie i wojskowo będzie NATO, tym dalej iść będą rosyjskie żądania i tym bardziej Rosja będzie skłonna do agresywnych działań wobec naszej części Europy. Rosjanie długo jeszcze nie odbudują potencjału wojskowego

na tyle, żeby ryzykować pełnoskalową wojnę ze zjednoczonym sojuszem. Myślę, że w Moskwie zdają sobie sprawę, iż taki konflikt jest dla nich nie do wygrania. Dlatego Kreml będzie grać na rozłamy w NATO, testować jego jednomyślność, wzbudzać napięcia.

Jeśli dobrze interpretuję Pani słowa, mamy więc do czynienia z trzema poziomami bezpieczeństwa, które – w zależności od rozwoju sytuacji – może zapewnić nam NATO.

Pierwszy, z USA w roli głównej i powoli nadrabiającymi Europejczykami.

Tu jesteśmy bezpieczni. Rosja nie odważy się zaatakować, a jeśli już, to atak na jednego członka jest atakiem na całe NATO, reszta broni napadniętego. Żadne wysyłanie konserw nie wchodzi w rachubę. Po to właśnie odtwarzamy natowskie planowanie obronne. W sojuszu panuje dziś zgoda, że inna interpretacja artykułu 5. stawia pod znakiem zapytania sens istnienia NATO.

Drugi – to scenariusz, w którym USA wycofują się na dalszy plan, ale reszta sojuszu murem stoi za wschodnią flanką.

Tutaj mamy już mniej powodów do spokoju, ale mimo wszystko potencjał odstrasza sojuszu ze zmniejszoną obecnością amerykańską wciąż mogłby działać na Moskwę trzeźwiąco. Oczywiście pod warunkiem drastycznego i szybkiego zwiększenia europejskiego potencjału obronnego i dalszego zapewnienia parasola nuklearnego przez USA.

A jeśli nie, lądujemy wówczas w scenariuszu trzecim. Najgorszym: zredukowana obecność USA w Europie, europejskie NATO słabe, skłócone, wahające się jak interpretować artykuł 5., bo „nie będziemy umierać za Gdańsk”. Albo Tallinn.

Rosja może zdecydować się wtedy np. na ograniczony atak na któreś z państw bałtyckich i zagrozić bronią nuklearną. W NATO rozpoczyna się wówczas dyskusja, czy i jak zareagować. Brak reakcji byłby końcem sojuszu.

W dalszej perspektywie niewykluczony jest też pełnoskalowy rosyjski atak na NATO. Zwiększa jeśli Rosja wygra na Ukrainie, odbuduje i wzmocni swoje

OGŁOSZENIE



Pierwsze
Radio
Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

siły zbrojne. Chiny rzucają za kilka lat wyzwanie USA na Indo-Pacyfiku, a Rosja decyduje się na pełnoskalową wojnę w Europie...

Te scenariusze pokazują pewien paradoks. Gdyby porównać potencjał ludnościowy i gospodarczy Europy i Stanów Zjednoczonych, to USA powinny dziś zabiegać o to, żeby NATO się nie rozpadło. Więcej ludzi i więcej pieniędzy jest wciąż po naszej stronie Atlantyku. Tymczasem w latach 1999-2021 wydatki państw UE na obronność wzrosły o niespełna 20 proc., podczas gdy USA zwiększyły je o 65,7 proc. Nie mówiąc już o Rosji, która budżet na wojsko w tym czasie praktycznie potroiła.

Tyle że NATO służy głównie zapewnieniu bezpieczeństwa Europy, nie Stanów Zjednoczonych. USA, w przeciwieństwie do nas, nie uwiaryły, że historia się skończyła po 1989 r. i można się rozbroić. Waszyngton nie mógł zainkasować dywidendy pokoju, o której mówimy w przypadku Europy. Ameryka jest gwarantem porządku międzynarodowego, który sama współtworzyła, a jednym z jej narzędzi jest siła militarna. Tymczasem Europa w pewnym momencie doszła do wniosku, że może się spokojnie rozwijać pod parasolem amerykańskim. Dziś najgłośniejszym krytykiem tej postawy jest Trump, ale warto przypomnieć, że już w 2011 r. o tym samym mówił Robert Gates, ówczesny sekretarz obrony USA.

Tyle że artykuł 5. uruchomiono dotąd tylko raz. Na wniosek Stanów Zjednoczonych, po atakach z 11 września. Przypomniał o tym niedawno Radosław Sikorski, mówiąc, że po operacji w Afganistanie nikt z sojuszników nie wystawił Waszyngtonowi faktury za udział w wojnie. Polska straciła w niej 45 obywateli.

Tak, USA wykorzystywały też NATO do wspierania własnych celów politycznych.

To chyba oczywiste.

Ale NATO jest taką instytucją dla wszystkich państw członkowskich. Stany Zjednoczone faktycznie oczekują, że sojusz zaangażuje się w obszarach, które z ich perspektywy są ważne. Oczywiście Waszyngton rozumie, że w tej chwili obrona i odstraszenie Rosji są

Rosjanie długo jeszcze nie odbudują potencjału wojskowego na tyle, **żeby ryzykować pełnoskalową wojnę z NATO.**

Dlatego Kreml będzie grać na rozłamy w Sojuszu, testować jego jednomysłność, wzbudzać napięcia.

kluczowe, ale od kilku lat naciska, żeby NATO wsparło USA w rywalizacji z Chinami przynajmniej politycznie i stało się obecne także w regionie Indo-Pacyfiku poprzez wzmacnianie relacji z partnerami takimi jak Korea, Australia, Japonia czy Nowa Zelandia.

Z drugiej strony państwa europejskie korzystają z NATO, starając się wpłynąć na politykę USA czy realizować własne cele polityczne. Studiując przed laty w Niemczech stosunki międzynarodowe, z niemałym zdziwieniem słuchałam, że tamtejsi studenci uczyli się, że NATO to przede wszystkim forum współpracy politycznej – w ramach sojuszu z USA, a poza nim z Rosją – a nie tylko sojusz wojskowy. Oczywiście to już częściowo nieaktualne.

Jeśli w sojuszu każdy ciągnie materię polityki w swoją stronę, to nie mogę nie zapytać za Kissingerem: do kogo dzwonić, kiedy chce się rozmawiać z NATO?

Nie ma jednego telefonu. To nie Unia Europejska, gdzie mamy uwspólnotwiony wycinek polityki, za który odpowiada Komisja Europejska. W NATO funkcjonuje Rada Północnoatlantycka, czyli najważniejsze gremium w formacie ambasadorów, ministrów czy szefów państw. Szybki telefon można wykonać do sekretarza generalnego, ale kluczowe decyzje w sojuszu muszą zapaść jednomyslnie.

W tej chwili w agendzie europejskiej części NATO pojawił się pomysł wspólnych obligacji wojennych. Niemcy naciskają na budowę europejskiego systemu obrony powietrznej. Nie wydaje się Pani,

że za parę lat możemy dziękować Putinowi, że był akuszerem przy narodzinach euroarmii?

Aż tak daleko bym nie szła. Komisja Europejska od kilku lat wspiera wielostronne projekty zbrojeniowe i myśli o wspólnej strategii dla europejskiego przemysłu obronnego, ale euroobligacje wojenne, moim zdaniem, nie przejdą. Poszczególne kraje mają tu zbyt różne priorytety, trudno byłoby uzgodnić, na jakie zbrojenia i do kogo powinny pójść dodatkowe pieniądze. Przełomem byłoby dopiero utworzenie wspólnych unijnych zdolności wojskowych na potrzeby NATO.

Do protokołu rozbieżności dopisała bym jeszcze odmienne postrzeganie bliskości zagrożenia ze strony Rosji. Na wschodniej flance nikogo nie trzeba przekonywać, że Putin nie zawaha się uderzyć w ograniczony sposób nawet za rok, jeśli poczuje naszą słabość. Im dalej jednak na zachód, tym bardziej poczucie realności zagrożenia słabnie. Stąd też to hamletyzowanie nad wydatkami na wojsko, pomocą dla Ukrainy, przeciąganie rozmów o zwiększeniu produkcji amunicji. Politycy w Europie Zachodniej, w odróżnieniu od kolegów z flanki wschodniej, nadal nie wierzą w to, że świat się diametralnie zmienił. Nie twierdzą już, że Rosja to kraj jak każdy inny, ale część wciąż liczy, że da się uregulować konflikt na Ukrainie i dogadać z Moskwą. Również wśród państw regionu nordycko-bałtyckiego widzimy różnice postaw, nawet tak nieoczywiste jak w przypadku Finlandii i Norwegii.

Oba kraje graniczą z Rosją, przy czym fiński odcinek jest prawie siedmiokrotnie dłuższy. Finlandia była też częścią imperium rosyjskiego. Norwegia tego uniknęła.

I dlatego Norwegowie uważają, że próg 2 proc. PKB w wydatkach na wojsko mogą osiągnąć dopiero w roku 2026. Finlandia w tym czasie dobieje zapewne do 3 proc.

Powinniśmy zatem w Polsce zacieśniać współpracę z tymi, którzy obronność traktują poważnie i podzielają nasze oceny skali zagrożenia ze strony Rosji. Zawiązać taki sojusz w sojuszu.

To się już dzieje. Polska opiera swoje bezpieczeństwo na bliskiej współpracy →

→ z USA. Członkostwo w NATO nie wyklucza zacieśniania współpracy z innymi członkami. Sojusz wręcz takie inicjatywy wspiera. Przykładem wspólne nabywanie zdolności, uzupełnianie ich braków poprzez współpracę wojskowo-zbrojeniową. Kilku członków NATO przed paroma laty umówiło się przykładowo na wspólne zakupy i współużytkowanie floty tankowców powietrznych.

A mamy w NATO wspólną infrastrukturę? Coś, co należy w równym stopniu do wszystkich?

Oczywiście. Dobrem wspólnym jest flota samolotów wczesnego ostrzegania AWACS. Jest też wspólny system rozpoznania bazujący na amerykańskich dronach Global Hawk z bazą na Sycylii. Rosja takich wydatków nie ma z kim dzielić, dlatego w tym roku na wojsko wyda aż 7 proc. PKB. Oczywiście kosztem innych obszarów, w tym wydatków socjalnych.

W NATO wspólny mamy też system polityczny i kulturę strategiczną, która stoi w sprzeczności z rosyjskimi odpowiednikami. Demokracja kontra autokracja. Poszanowanie dla życia kontra szafowanie życiem dla osiągnięcia celu. Z perspektywy Moskwy jesteście rozgadani, niezdolni do działania, rozleniwieni.

Kremlowi łatwiej wyegzekwować decyzje, które po drugiej stronie wymagają konsensusu. Cechą ustrojów demokratycznych jest jednak stabilność, której nie ma Rosja. Los Putina wisi na powodzeniu w wojnie z Ukrainą. Państwom demokratycznym pewne procesy zajmują więcej czasu, ale gdy już ruszą, nabierają rozpędu. Rosjanom może się więc wydawać, że zostawią NATO z tyłu w wyścigu zbrojeń, ale gdybym musiał obstawiać wynik tej konkurencji, powiedziałabym, że Zachód ją wygra, jeśli tylko będzie tego chciał.

Bo?

Bo już raz to przerabialiśmy. Pod wodzą USA Zachód wykończył Związek Radziecki, rozpoczynając wyścig zbrojeń, co doprowadziło do rozpadu ZSRR.

©© Rozmawiał MAREK RABIŃ

Wojna na dole

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Kwietniowe wybory samorządowe nie będą tylko serią lokalnych rozgrywek. Staną się też dogrywką jesiennego starcia nowej władzy ze słabnącym PiS, jak również batalią o hegemonię wewnątrz samej Koalicji 15 Października.

DO TEJ PORY NIGDY NIE BYŁO TAK, że na miesiąc przed wyborami jedna z dwóch głównych partii nie ma kandydatów na prezydentów kilku ważnych miast wojewódzkich. Tymczasem PiS do początku marca nie zgłosił nikogo na prezydenta Katowic, Wrocławia czy Olsztyna. Z jednej strony ten głęboki kryzys wydaje się zaskakujący, z drugiej – jest zrozumiały w partii, która przez osiem lat sprawowała niepodzielną władzę w całym kraju i nagle straciła prawie wszystkie wpływy.

Dynamika wydarzeń jest dla PiS niekorzystna. Kolejne komisje śledcze mocno „grillują” tę partię i można założyć, że w ramach prac każdej z nich będą się pojawiać kolejne kompromitujące dla PiS informacje, które wpłyną na notowania partii. Dodatkowym elementem może być narastająca krytyka wewnętrzna, dziś reprezentowana otwarciem przez byłego ministra rolnictwa Jana Krzysztofa Ardanowskiego.

Wiele wskazuje na to, że PiS może w najbliższych wyborach stracić władzę w niemal wszystkich sejmikach, w których rządzi – zagrożone są nawet bastiony podkarpacki i lubelski. Oprócz trwającego wciąż zmęczenia społeczeństwa inwazyjnym sprawowaniem władzy przez Zjednoczoną Prawicę, istotnym czynnikiem kryzysu jest całkowita utrata mediów publicznych, które stanowiły „wydział propagandy PiS” i przebiły się dość skutecznie do elektoratu. Źródłem kłopotów jest też forma prezesa partii – po wyborach brnie jeszcze mocniej w narrację, która pozbawiła go władzy. Może to na chwilę konsolidować partię, ale w działaczach wywołuje niepokój, czy Jarosław Kaczyński posiada jeszcze zmysł polityczny i pomysł na przyszłość partii.

Potknąć się o własne nogi

PiS sam sprokurował sobie to spiętrzenie problemów. Już w 2018 r., przed ostatnimi wyborami lokalnymi, wydłużył kadencję samorządów z 4 do 5 lat. Miało to uzasadnienie, bo jednocześnie wprowadzono ograniczenie sprawowania władzy do dwóch kadencji dla bezpośrednio wybieranych wójtów, burmistrzów i prezydentów. Potem jednak, pod pretekstem nachodzenia się terminu lokalnych wyborów z tymi do parlamentu, przesunięto te pierwsze na wiosnę 2024 r., mimo że teraz z kolei odbywają się one blisko wyborów do Parlamentu Europejskiego. PiS bał się jednak, że słabszy wynik w samorządowej elekcji (partia ta lokalnie zawsze wypada gorzej niż w całym kraju) pociągnie w dół nastroje i osłabi wynik wyborów do parlamentu. Zarazem w partii liczone, że ci, którzy nie dostaną się do Sejmu i Senatu, znajdą pocieszenie w kandydowaniu na niższy szczebel władzy.

Dziś widać, że to był błąd. Kaczyński i tak nie utrzymał władzy w Polsce, a jest niemal pewne, że jesienią 2023 r. wynik byłby lepszy niż w kwietniu tego roku. Na dodatek październikowa klęska doprowadziła do rozprzężenia w partii, które dziś staje się kłopotliwe. Brakuje silnych osobowości, które mogłyby w reginach przekonać mieszkańców.

Poseł PiS Waldemar Buda przekonuje jednak, że ugrupowanie wszędzie wystawi swych kandydatów, których dziś rzekomo uważnie dobiera, wynik głosowania zaś nie musi być wcale zły, bo nowa koalicja będzie już weryfikowana przez Polaków. – 21 marca minie sto dni rządowi Tuska, a ze stu postulatów KO tylko niewielka część będzie zrealizowana. Gdzie jest obiecwana nam wyższa kwota wolna od podatku?



KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA

Rafał Trzaskowski podczas spotkania z kandydatami Koalicji Obywatelskiej na radnych Warszawy. 28 lutego 2024 r.

Gdzie są wakacje kredytowe, dopłaty do najmu, darmowy ZUS dla przedsiębiorców? Gdzie jest zerowy VAT na żywność? Te wszystkie obietnice były oszustwem i wyborcy zdadzą sobie z tego sprawę do 7 kwietnia – mówi Buda.

W przypadku wyborów samorządowych najbardziej wiarygodną miarą społecznego poparcia dla poszczególnych partii są wyniki głosowania do sejmików wojewódzkich. Po tych z 2018 r. PiS rządził w ośmiu – podlaskim, lubelskim, podkarpackim, małopolskim, świętokrzyskim, łódzkim, śląskim i dolnośląskim (wspólnie z Bezpartyjnymi Samorządowcami). W ostatnim okresie stracił władzę w dwóch ostatnich.

W tej sytuacji wielu ekspertów zdziwia dezynwoltura PiS w typowaniu kandydatów na prezydentów. Wygląda to tak, jakby partia nie była w stanie ich znaleźć albo wręcz jej na tym nie zależało. Jeśli spojrzeć się na lokalne realia, ta druga przyczyna wydaje się prawdopodobna – PiS ma niewielkie szanse, by wygrać w którymkolwiek ze znaczących ośrodków. Od dawna nie rządzi w żadnej polskiej metropolii, a nawet jeśli w którymś ze znaczących miast zdobył władzę w 2018 r., po wyborach ją stracił, np. w dawnych miastach wojewódzkich: Łomży, Siedlcach, Ostrołęce i Białej Podlaskiej. Dziś ludzie związani z PiS rządzą w Zamościu, Chełmie, Tomaszowie Ma-

zowieckim, Bełchatowie, Otwocku i Stalowej Woli, ale po 7 kwietnia te przychółki również mogą zostać utracone.

Pogubienie dawnej partii władzy najbardziej widać na Śląsku (z 14 miast aglomeracji PiS na pewno wystawi kandydatów w czterech) i w Olsztynie. Kaczyński chciał, by kandydatem został tam były wojewoda Artur Chojewski, ale ten jest dziś posłem i nie chce kandydować. Sytuacja ta zresztą dobrze ukazuje poziom politycznego rozprężenia w PiS.

Ciężkie sojusze

Wyniki wyborów do sejmików są na ogół odwzorowaniem aktualnych sondaży. Według większości z nich PiS sukcesywnie traci na rzecz Koalicji Obywatelskiej, która na ogół uzyskuje poparcie tuż powyżej 30 proc., a PiS spadł poniżej tej granicy. Notowania pozostałych ugrupowań są dość stabilne i sięgają 14-15 proc. w przypadku Trzeciej Drogi, ok. 10 proc. w przypadku Konfederacji i 7-8 proc. – Lewicy. Największą dynamikę wzrostu wykazuje Konfederacja – według ostatniego sondażu Ipsos dla Tok FM i OKO.press ugrupowanie to ma już 12 proc. poparcia. Sukcesywnie w dół, we wszystkich sondażach, zmierza z kolei lewica.

Miarodajnym dla zarejestrowania zmiany nastrojów w całej Polsce jest sejmik łódzki, w którym od 2018 r. rządzi PiS. Według ostatnich lokalnych notowań

ugrupowania tworzące Trzecią Drogę mają szansę na zdobycie aż dziewięciu mandatów w 33-osobowym sejmiku. Jeśli dodać do tego dwanaście mandatów, które sondaże przyznają KO, jest bardzo prawdopodobne, że PiS utraci władzę.

Tworzące Trzecią Drogę PSL i Polska 2050 dogadały się w sprawie wspólnego startu w sejmikach, a także wystawienia wspólnych kandydatów na prezydentów największych miast, co zwiększyło polityczny potencjał zarówno partii Hołowni, jak i ludowców. Co nie znaczy, że między ugrupowaniami panuje harmonia. W PSL nadal żywe są obawy, obecne już przed wyborami parlamentarnymi, że niemająca znaczących struktur Polska 2050 będzie się budować kosztem PSL.

– Sojusz z Polską 2050 jest ciężki, ponieważ wielu posłów i nominatów Hołowni na różne stanowiska to amatorzy, a z amatorami ciężko się gra. W moim mieście mieszkam całe życie, wiele lat działałem w polityce, ale nazwiska kandydatów naszego sojusznika, którzy mają znaleźć się na listach samorządowych, nic mi nie mówią – przyznaje jeden z parlamentarzystów PSL.

Z drugiej strony, na lokalne listy Trzeciej Drogi trafia coraz więcej osób wcześniej związanych z Koalicją Obywatelską, niezadowolonych z miejsc, które im zaoferowano. – Przy konstruowaniu list KO decydują względy towarzyskie, a nie zasługi czy dokonania – żali się działaczka PO z Warszawy, dla której zabrakło miejsca na listach Koalicji i najprawdopodobniej wystartuje z Trzeciej Drogi.

Takich przykładów jest w skali kraju całkiem sporo i najczęściej dotyczą pań, nawet działaczek Kongresu Kobiet. Agnieszka Jura-Walczak i Joanna Czerska-Thomas, wcześniej związane z KO, teraz mają kandydować z listy Trzeciej Drogi w kujawsko-pomorskim.

Ze swoich miejsc na listach KO najmniej zadowoleni są jednak Zieloni. Dostali ich bardzo mało, a jedynym kandydatem na listach do sejmików jest Marcin Adamcewicz na Dolnym Śląsku. Pozostali starają się o miejsca w radach miast i dzielnic, ale nie wróży się im sukcesu.

Całkowitą zagadką jest wynik rosnącej w siłę Konfederacji. Ugrupowanie to, jakby z braku wiary w siły własnych kandydatów, w wielu ośrodkach zawarło sojusz z Bezpartyjnymi Samorządowcami, →

→ oddając im sporo „jedynek” na listach do sejmików. Wiele wskazuje jednak na to, że sojusz ten pociągnie w górę nie Konfederację, ale BS, którzy negocjowali także z Trzecią Droga, ale w końcu wybrali korzystniejszą ofertę Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka.

Ten ostatni przyznaje, że porozumienie z Bezpartyjnymi Samorządowcami to dla Konfederacji ważne wzmocnienie kadrowe, tym bardziej że w ruchu tym działają na ogół doświadczeni działacze lokalni. – Potrzebujemy takich aliansów, żeby się wzmacniać kadrowo i korzystać z doświadczenia tych ludzi. Część z nich może zostanie z nami na dłużej – przekonuje wicemarszałek Sejmu.

Ostra batalia o stolicę

Skomplikowanie politycznych układanek oraz międzypartyjnej (a czasem wewnątrzpartyjnej) rywalizacji widać najwyraźniej na przykładach procesu wyłaniania kandydatów na prezydentów największych miast. Mimo że na razie dość niemrawa, kampania wyraźnie pokazuje, że najważniejsze i najciekawsze pojedynki toczyć się będą wewnątrz Koalicji 15 Października, a nie w walce z PiS. Widać to zwłaszcza w Warszawie, gdzie szans na zwycięstwo nie ma kandydat Kaczyńskiego Tobiasz Bocheński.

W stolicy ciekawszym pojedyńkiem będzie ten między kandydatami KO i lewicy, która na ostatniej prostej została zmuszona decyzją Donalda Tuska do samodzielnego startu w tych wyborach i dziś walczy wręcz o przetrwanie w Polsce lokalnej – stąd jej niedawna ofensywa aborcyjna, która ma niewiele wspólnego z polityką na niższym szczeblu, ale pozwala się odróżnić.

Rafał Trzaskowski ma w stolicy szansę, by wygrać w pierwszej turze. Jednak kampania nie będzie łatwa, gdyż kandydatka lewicy, wicemarszałkini Senatu Magdalena Biejat jest silną osobowością. Już zarysował się jej ostry spór z ministrem

PiS sam sobie
sprokurował problemy.
Najpierw wydłużył
do pięciu lat kadencje
samorządów, a potem
opóźnił lokalne wybory.
Dziś widać, że to był błąd.

kultury Bartłojem Sienkiewiczem w sprawie odbudowy Pałacu Saskiego. Biejat jest zdania, że 2,5 mld zł trzeba przeznaczyć na remonty mieszkań w starych kamienicach i zrobić z nich lokale komunalne.

Konflikt jest też w sprawie CPK, którego budowa oznacza likwidację lotniska na Okęciu. Przeciwno temu pomysłowi wypowiada się prezydent Trzaskowski, natomiast Biejat i Partia Razem są za CPK. Mimo że mówimy o lokalnej odsłonie sporu, może on być znaczący też dla różnic w koalicji na poziomie krajowym, zwłaszcza dla stojącej na poboczu Partii Razem.

Przygrywka do prawdziwej bitwy

W Krakowie toczyć się będzie zażarty bój o schedę po ustępującym po 22 latach prezydencie Jacku Majchrowskim. Największe szanse sondaże dają dawnemu posłowi PO Łukaszowi Gibale, starającemu się o to stanowisko od wielu lat i popieranemu przez lokalne stowarzyszenia oraz Partię Razem. W wyścigu liczyć się będzie też szef małopolskiej PO Aleksander Miszański. Kandydat PiS, były wojewoda Łukasz Kmita, nie ma raczej żadnych szans.

W Katowicach obecny prezydent Marcin Krupa może wygrać już w pierwszej turze. Jako reprezentant lokalnego komitetu samorządowego był do niedawna w nieformalnej koalicji z PiS, ale zerwał ją i zawarł porozumienie z KO. Jego najpoważniejszym rywalem będzie Dawid Durał, reprezentujący komitet skupiający Trzecią Droga i Ruch Autonomii Śląska.

Skomplikowana sytuacja jest we Wrocławiu. Już jesienią wolę startu w imieniu PiS wyrażał lokalny radny Andrzej Kilijanek, ale Kaczyński chciał namówić na ponowne kandydowanie silniejszego

kandydata – posłankę Mirosławę Stachowiak-Różecką. Ona jednak się zbuntowała, dołączając do grupy osób, które potrafią powiedzieć „nie” prezesowi.

We Wrocławiu jednocześnie toczy się bratobójczy bój w ramach samej KO – o oficjalne poparcie u Donalda Tuska zabiega zarówno ubiegający się o reelekcję Jacek Sutryk, jak i poseł KO oraz lider dolnośląskiej Platformy Michał Jaros. Większe szanse ma ten pierwszy, bo Jaros jest uważany za „schetynowca”, ale warunkiem poparcia przez KO jest ponoć wyrażenie się przez Sutryka poparcia ze strony Nowej Lewicy. Sytuację jeszcze bardziej komplikuje fakt, że za Jarosem są współtworzący KO Zieloni (ich własny kandydat jest gotów zrezygnować), a także Partia Razem. Wykluczone jest natomiast poparcie przez obie te formacje Sutryka. Na całym zamieszaniu skorzystać może kandydatka Trzeciej Drogi Izabela Bodnar.

Inaczej jest w Szczecinie. Tam z kolei istniało długo napięcie wewnątrz samej Trzeciej Drogi. Ostatecznie Polska 2050 wraz z KO popiera reelekcję prezydenta Piotra Krzystka, a PSL zapewne też zrezygnuje z własnego kandydata Jarosława Rzępy. Nie robi tego lewica, która promuje Bogdanę Jaroszewiczą.

Mimo wszystkich zawirowań i możliwych ostrych sporów na końcu kampanii, wybory samorządowe raczej nie podzielą trwałe Koalicji 15 Października. Ugrupowania ją tworzące swój zasadniczy mecz rozgrywają jednak z PiS, a dwa miesiące po wyborach samorządowych planowane są kolejne: do Parlamentu Europejskiego. I to one dopełnią polityczne rozdanie na najbliższe lata. Dopiero po nich może dojść do przewidywanego dalszego kryzysu PiS, a może nawet fragmentacji tej partii. Albo, z drugiej strony, do erozji Koalicji 15 Października, jeśli rząd będzie się potykał o kolejne rafy. Ostry protest rolników stawia w niej samej sytuacji PSL, który musi balansować między wsparciem dla rządu a sympatią wsi. Pamiętajmy też, że wielkimi krokami zbliżają się wybory prezydenckie wiosną 2025 r. Tu zaś widać wyraźnie, że po raz pierwszy w historii III RP będziemy mieli nie dwóch faworytów, a trzech: dzisiejszych sojuszników Trzaskowskiego i Hołownię oraz wciąż nieznanego kandydata głównego nurtu prawicy.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień
są gośćmi Grzegorza Chlasty
w Polskim Radiu RDC. Audycję

można także odsłuchać w podkastach na stronie
internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Płock 101,9 FM

Niewyspani Polacy

JERZY DZIEKOŃSKI

Problem zaburzeń snu może dotyczyć nawet połowy społeczeństwa. Tymczasem w Polsce działają dwie publiczne poradnie ich leczenia. Jedna dla dorosłych i jedna dla dzieci – na 38 mln obywateli.

WIKIMEDIA.ORG CC BY 3.0



René Magritte
„Człowiek
w meloniku”
(fragment)
1964, kolekcja
prywatna

PRZEWLEKŁA BEZSENNOŚĆ WIELOKROT nie zwiększa ryzyko nadciśnienia, zawału, udaru, otyłości, cukrzycy, wypadków komunikacyjnych, a także depresji mogącej prowadzić w skrajnych przypadkach do samobójstwa. „Kaloryczny sen” jest obok diety, odpowiedniej dawki ruchu, unikania używek i stresu – najważniejszym warunkiem dobrego życia. W przypadku osób dorosłych oznacza to przespanie w ciągu nocy 4-5 cykli składających się z różnych faz snu.

– Każdy cykl trwa od 90 do 110 minut. W młodym wieku dobry odpoczynek nocny daje pięć takich cykli. Po szóstej dekadzie życia wystarczą cztery, a z czasem nawet trzy – tłumaczy dr hab. Szczepan Cofta, pulmonolog, prezes Polskiego Towarzystwa Badań nad Snem.

W przypadku dzieci jest inaczej. Noworodki śpią do 18 godzin na dobę. Później czas ten skraca się do 13-14 godzin, a pod koniec przedszkola do 10-11 godzin. Nastolatki wciąż jednak potrzebują dużo snu, przeciętnie 9 godzin. – Kłopot w tym, że potrzeba ta realizowana jest u nich w nietypowy sposób. W ciągu tygodnia śpią po pięć godzin, żeby w weekend odsypiać do popołudnia. Generuje to wiele problemów zdrowotnych – mówi Magda Kaczor, psychiatra dziecięca, ekspertka medycyny snu Polskiego Towarzystwa Badań nad Snem i autorka podręczników dla lekarzy oraz poradników dla rodziców. Zarazem lekarka, która w Centrum Zdrowia Dziecka prowadzi jedyny

w kraju publiczny gabinet Zaburzeń Snu dla Dzieci i Młodzieży.

Tryb życia współczesnych dzieci i młodzieży powoduje chroniczne zmęczenie. Niewyspane nastolatki mają mniejszą ochotę na ruch, a czas ten wykorzystują na podjadanie, co prowadzi do otyłości, a później chorób układu sercowo-naczyniowego. Jak wyjaśnia Magda Kaczor, sen jest również wewnętrznym psychologiem, który pomaga dzieciom i młodzieży w regulowaniu doświadczanych w ciągu dnia emocji, dlatego wyspane nastolatki lepiej funkcjonują w szkole, rodzinie i grupie rówieśniczej.

Zburzona architektura

– Tak jak nasz organizm jest stworzony w sposób niezwykle harmonijny, tak samo sen również ma swoją piękną architekturę, uporządkowanie. Jeżeli dochodzi do zaburzeń, to skutki tej destrukcji przekładają się na funkcjonowanie całego organizmu – dodaje Szczepan Cofta.

Efekty jednorazowego niewyspania objawiają się od razu – zmęczeniem, rozdrażnieniem, trudnościami z koncentracją, niższą wydajnością w pracy, bólami głowy. Długofalowe zaburzenia snu niosą konsekwencje poważniejsze – prowadzą do nadciśnienia tętniczego, chorób nerek, niewydolności serca, zawałów i udarów. Człowiek niewyspany jest też zmęczony i zirytowany, trudno mu się skupić, zachować logikę postępowania, a także być otwartym na innych. Pacjent z zaburzeniami snu ma problemy z odnalezieniem

niem się w rodzinie i miejscu pracy. To zaś – zarówno w przypadku dorosłych, jak i dzieci – prowadzi równię pochyłą do depresji, a nawet prób samobójczych. Nadmierna senność przyczynia się też do kolizji i wypadków. Według niektórych badań może to dotyczyć 10-30 proc. zdarzeń na drodze.

– Pacjenci, zwłaszcza ci z zaburzeniami oddychania podczas snu, potrafią zasnąć na skrzyżowaniu na czerwonym świetle. Jeżeli ktoś śpi w nocy poniżej czterech godzin, reaguje jak osoba, która wypila dwie czy trzy lampki wina – przekonuje Szczepan Cofta.

Liczne badania ukazują, że po pandemii pewne problemy ze snem może mieć nawet połowa dorosłych Europejczyków, na bezsenność zaś cierpi 15-20 proc. dorosłych mieszkańców naszego kontynentu. Jednocześnie brakuje osób z kwalifikacjami do określenia diagnozy i udzielenia fachowej pomocy.

Trzydziestu na cały kraj

Dr Michał Skalski jest psychiatrą, który od kilkudziesięciu lat zajmuje się tematyką zaburzeń snu. Pod koniec lat 90. zorganizował w Polsce pierwszą (i jak dotąd jedyną) publiczną poradnię leczenia zaburzeń snu dla dorosłych, która w Szpitalu Nowowiejskim w Warszawie działa do dzisiaj. W rozmowie z „Tygodnikiem” wyjaśnia, że tematyka snu zaczęła nabierać większego znaczenia pod koniec lat 70. XX wieku, a w połowie lat 80. powstały pierwsze pracownie zaburzeń sennych. ➔

→ Zajmowały się głównie narkolepsją (nagłym i niekontrolowanym zasypianiem), czyli problemem *de facto* marginalnym. Mimo że coraz więcej dowodów wskazywało na dewastujące dla organizmu skutki zaburzeń snu, latami traktowano je raczej jako objaw innych chorób. Dopiero w najnowszej międzynarodowej klasyfikacji chorób ICD-11 znalazł się osobny rozdział poświęcony tej przypadłości.

W efekcie wieloletnich zaniedbań problematyka ta nie znajduje zbyt wiele miejsca w programach edukacyjnych i szkoleniowych dla lekarzy (wyjątkiem jest pulmonologia walcząca z bezdechem sennym). Kaganek oświaty niesie dziś grupa pasjonatów, zrzeszonych m.in. w Polskim Towarzystwie Badań nad Snem. Na liście ekspertów towarzystwa figuruje jednak niespełna 30 nazwisk. Są to głównie otolaryngolodzy, psychiatry, neurologi oraz pulmonolodzy.

– Zaburzenia snu są obszerną dziedziną. Dzielimy je na zaburzenia długości snu, rytmu snu i czuwania oraz samej jego struktury. Gdyby wziąć pod uwagę praktyczny podział, najczęstszą patologią jest bezsenność, którą zajmują się przede wszystkim neurologi i psychiatry. Ważną grupą są też zaburzenia oddychania w czasie snu, a wśród nich dotyczący około dwóch milionów Polaków zespół obturacyjnego bezdechu w czasie snu – wyjaśnia dr hab. Szczepan Cofta.

Zaburzenia wywołane bezdechem sennym są najlepsze do diagnozowania i leczenia z uwagi na coraz liczniejsze pracownie polisomnografii. – Standardem jest stosowanie protezy powietrznej, pomagającej oddychać w trakcie snu. Ważne jest również świadome unikanie spania na wznak czy zachowanie drożności nosa. Tutaj rolę do odegrania mają lekarze rodzinni, w związku z czym potrzebujemy edukacji wśród tej grupy zawodowej – mówi Cofta.

Ćwierć wieku w łóżku

Niezwykle ważne jest uświadomienie społeczeństwu konsekwencji np. przejadania się. Redukcja masy ciała o 15-20 proc. zmniejsza bowiem zaburzenia oddychania o około 40-50 proc., ale niewielu z nas o tym wie. Pułapką jest też stosowanie leków nasennych, najczęściej benzodiazepin. – Jest to obecnie jedno z najbardziej niebezpiecznych uzależ-

Porady Michała Skalskiego

■ Jeśli to możliwe, wydziel w domu sypialnię, która będzie służyła tylko do spania i ewentualnie uprawiania seksu. Powinno być w niej nocą cicho i ciemno.

■ Do łóżka kładź się tylko wtedy, kiedy czujesz się śpiący, a leż w nim tyle, ile realnie trwa sen zgodnie z twoim zegarem biologicznym. Nie zasypiaj w ciągu dnia. Jedynym wyjątkiem może być krótka drzemka po południu.

■ Na trzy, cztery godziny przed snem unikaj nadmiernych obciążeń: fizycznych, intelektualnych i emocjonalnych.

■ W razie wybudzenia w nocy, jeśli nie potrafisz znowu zasnąć po kilku minutach, po prostu wstań, przejdź do pokoju dziennego i zajmij się czymś atrakcyjnym. Sen powróci naturalnie.

■ W łóżku, w którym śpisz, nie czytaj, a zwłaszcza nie oglądaj telewizji i nie przeglądaj internetu na smartfonie. Traktowanie łóżka jako miejsca tylko do spania to wytwarzanie odruchu warunkowego, gdzie bodźcem uruchamiającym proces powinno być przyłożenie głowy do poduszki.

■ Z sypialni usuń telewizor, diody, migające lampki, a przede wszystkim widoczny zegar. Jeśli obudzisz się w nocy (każdy z nas się budzi) i zobaczysz ciemność, raczej szybko zapadniesz w sen. Jeśli zobaczysz zegar, zaczniesz kontrolować czas; łatwo wtedy wpaść w bezsenność.

■ Nie lękaj się bezsenności i nie rozmyślaj nadmiernie o spaniu. To go tak naprawdę odpędza.

nień. Ich przewlekłe stosowanie jest błędem medycznym – mówi Cofta.

W Polsce wciąż wielu lekarzy przepisuje pacjentom długotrwale tabletki nasenne, choć można je bezpiecznie zażywać tylko przez kilka tygodni. Ponadto działają one objawowo, nie sięgając do przyczyn bezsenności, bardzo często związanych z kryzysami psychicznymi. – Współczesna medycyna mało interesuje się snem – uważa dr Skalski. – Większość uczelni medycznych nie ma w programach wykładów o leczeniu zaburzeń snu. Jeśli chodzi

o kształcenie podyplomowe, poza pulmonologią, na której uczy się o bezdechach, żaden specjalista nie ma obowiązkowych zajęć w tym zakresie. Przeciętny polski lekarz nie ma fachowej wiedzy na temat zaburzeń snu – twierdzi.

Szczepan Cofta widzi to mniej pesymistycznie. Jego zdaniem, mimo że mamy tylko dwie poradnie w kraju, coraz więcej lekarzy interesuje się problemem. Są to laryngolodzy, pulmonolodzy, psychiatry, neurologi, hipertensjologowie etc. Jednak ich wiedza z trudem przebija się do świadomości społecznej, a wielu pacjentów zmagających się z bezsennością pozostaje bezradnych. Biorą reklamowane nachalnie środki ziołowe, które w zasadzie nie działają, albo próbują radzić sobie z bezsennością, stosując tradycyjne metody, które z reguły są nieskuteczne, choćby słynne „liczenie baranów”.

Szczepan Cofta uważa wdrożenie zasad higieny snu za niezwykle istotne – przesypiamy przeciętnie ok. 20-25 lat naszego życia. Michał Skalski dodaje, że farmakoterapia może być pomocna na krótką metę, ale najważniejsza i najbardziej skuteczna jest terapia behawioralna, czyli zmiana nawyków (patrz ramka obok).

– Na bezsenność składają się trzy rodzaje czynników – tłumaczy Skalski. – Dwa pierwsze to nasze indywidualne predyspozycje do snu oraz elementy wywołujące zaburzenia: choroby czy sytuacja społeczna. Nie mamy na nie większego wpływu. Najważniejsze są więc tzw. czynniki utrwalające, z których lęk przed bezsennością jest numerem jeden. Tak właśnie wpadamy w błędne koło: im gorzej śpię, tym bardziej się tym martwię, a im bardziej się tym martwię, tym gorzej śpię. Innym czynnikiem są niewłaściwe zachowania okołosenne, np. przedwczesne kładzenie się spać i nadmiernie długie czekanie na sen – wyjaśnia. Dodaje też, że zgodnie ze statystykami wyeliminowanie tych błędów przy umiejętnym działaniu jest skuteczne w 80 proc. przypadków.

Noc bez ekranów

Zasady higieny snu należy wdrażać już od pierwszych miesięcy życia. Okazuje się jednak, że mimo troski o swe dzieci rodzice mogą nieświadomie wyrobić w nich szereg złych nawyków, które będą w przyszłości rzutowały na jakość snu. Bujanie na rękach albo w wózku jest najpow-

szechniejszą metodą uspokajania dziecka, powielaną od dziesięcioleci, imitującą warunki panujące w brzuchu matki. Może być jednak nadużywane i niebezpieczne. Magda Kaczor wspomina, że w swojej praktyce spotkała się z modyfikacją tej metody do form wyjątkowo radykalnych: podskakiwania z dzieckiem w ramionach na piłce gimnastycznej albo bujania malucha przez mamę i tatę w kołysce z koca.

– Jeżeli przyzwyczajamy niemowlę do zasypiania w takich warunkach, to podobnych będzie oczekiwał też kilkulatek. Kołysanie na rękach kilkumiesięcznego malucha ma swój urok, ale już przedszkolaka sporo mniej, zwłaszcza z punktu widzenia kręgosłupa matki. Jest też duża szansa, że nieprawidłowe nawyki zasypiania przełożą się na zaburzenia snu w przyszłości – mówi Magda Kaczor.

Specjaliści uważają, że gwarantem zdrowego snu są warunki podobne jak w przypadku dorosłych. Jeśli dziecko ma zaspokojone podstawowe potrzeby, jest przewinięte, nakarmione, nic mu nie dolega, a w domu nie dochodzi do awantur, to od pierwszych miesięcy życia powinno

dobrze spać, zwłaszcza jeśli może to robić samo: w zaciemnionym i cichym pomieszczeniu.

Zalecane jest też wdrażanie tzw. metody wygaszania, opracowanej przez Richarda Ferbera w latach 80. ubiegłego wieku, która polega właśnie na tym, że niemowlę pozostawia się samo do zaśnięcia. Kłopot w tym, że metoda ta jest przez matki często negowana. Jak wyjaśnia Magda Kaczor, zgromadzone dowody naukowe przemawiają jednak za tym, żeby z niej korzystać, nawet jeśli kilkumiesięczne dziecko, które było dotychczas tulone i kołysane do snu, zacznie głośno protestować. W takiej sytuacji zmiana nawyków może odbywać się stopniowo i w zgodzie z przekonaniem matki, powoli obserwującej korzystne efekty.

Wyrobienie zdrowych nawyków zasypiania już na początku życia jest inwestycją. Wyspane dziecko ma energię do nauki, obowiązków domowych i zabawy. Dziecko cierpiące na zaburzenia snu bardzo szybko zacznie mieć kłopoty.

Oliwy do tego ognia dolewa w ostatnich latach nagminne korzystanie z urzą-

dzeń ekranowych, także w łóżku przed snem. U ukształtowanych osób dorosłych jest to problem raczej marginalny, natomiast u dzieci i młodzieży w wieku szkolnym stał się groźnym zjawiskiem. Sypialnia współczesnego dziecka zamieniła się z miejsca do spania w miejsce do czuwania, co wpływa na spływanie snu. Smartfony i komputery nie tylko pobudzają emocjonalnie z uwagi na treści, ale też emitują niebieskie światło, które hamuje wytwarzanie melatoniny i zaburza rytm dobowy. Suma tych czynników z reguły daje efekt w postaci zaburzeń snu. Taki stan, utrzymujący się długo, może w kształtującej się dopiero osobowości doprowadzić do zaburzeń psychicznych. Magda Kaczor alarmuje, że wraz z pandemią i wojną w Ukrainie narosły w dzieciach uczucia lęku i niepewności, które kończą się czasem depresją i całkowitą odmową chodzenia do szkoły.

Według międzynarodowych badań na różne zaburzenia snu może dziś cierpieć od 20 do nawet 40 proc. współczesnych dzieci. © JERZY DZIEKOŃSKI

REKLAMA

Biuro Parlamentu Europejskiego w Polsce
zaprasza do wystuchania cyklu podcastów

KOBIETY W SPORCIE



Parlament Europejski
Biuro w Polsce



Wybitne polskie sportsmenki:

Anna Kiełbasińska, Agnieszka Kobus-Zawojcka,
Monika Pyrek, Magdalena Śliwa

opowiedzą o swoich wyzwaniach i sukcesach.



Spotify:
<https://spoti.fi/5u6A253>



Facebook:
[@sep.warszawa](https://www.facebook.com/sep.warszawa)



YouTube:
[@ParlamentEuropejski](https://www.youtube.com/ParlamentEuropejski)



TOMASZ

Stawiszyński:

Imitacja



KIEDY SIĘ OKAZAŁO, ŻE CHATBOT Gemini AI wykazuje się poprawnością nadmiarową nawet jak na standardy wielkich korporacji dbających o swój progresywny wizerunek, firma Google zapowiedziała czasowe zawieszenie niektórych jego funkcji. W szczególności funkcji generatora obrazów – o to bowiem poszło. Proszony o stworzenie wizerunków „amerykańskich senatorów z XIX wieku”, „papieży”, „wikingów” czy też „niemieckich żołnierzy z czasów II wojny światowej”, Gemini AI posłusznie prezentował galerię spełniającą współczesne kanony różnorodności. Byli to zatem mężczyźni i kobiety o rozmaitych kolorach skóry i tożsamościach etnicznych, przyodziani zgodnie z panującymi w ich społecznościach i epokach zasadami. Wszystko to z imponującą mocą graficzną oraz dbałością o szczegóły, tyle że absolutnie bez związku z realiami historii.

Że nie mieliśmy tutaj do czynienia z przemyślaną akcją dywersyjną radykalnej lewicy, jak ogłosiła od razu część prawicowych komentatorów, a jedynie z pomyłkowym zastosowaniem pewnych reguł także tam, gdzie się stosować nie powinny – o tym świadczy szybka reakcja producenta. Nikt nawet przez chwilę nie próbował bronić takiej, nazwijmy to, strategii obrazotwórczej. Przeciwnie: Jacob Krawczyk, jeden z dyrektorów odpowiedzialnych za projekt, od samego początku podkreślał, że generator trzeba poprawić, bo w tym przypadku zdecydowanie się zapędził. Można więc wziąć to polityczne zamieszanie w nawias, nie to jest w całej sprawie najistotniejsze, a przynajmniej nie w pierwszej kolejności. Rdzeń problemu tkwi głębiej, na poziomie – jak to często bywa – fundamentalnym. Wyraża go pytanie: dlaczego sztuczna inteligencja kłamie i kompletnie nic sobie z tego nie robi? Bo przecież ci nieszczęśni „senatorowie” to nie jest jedyna konfabulacja w wykonaniu takiego czy innego chatbota. Każdy, kto się z nimi zetknął, wie dobrze, że strasznie kręćcą.

Zacznijmy od tego, że model językowy, jak sama nazwa wskazuje, zajmuje się wytwarzaniem zdań. Owszem – analizuje informacje, przetwarza dane, rachuje, ale przede wszystkim tworzy zdania. Ze zdań – większe całości. A z tych większych całości – jeszcze większe. Mają one jak najbardziej odzworowywać ludzką aktywność w tym obszarze. Imitować komunikację. Piśmę „imitować”, bo dopóki nie istnieje ktoś, kto intencjo-

nalnie chce coś powiedzieć komuś innemu – zawsze będziemy mieli do czynienia z imitacją. Choćby człowiek miał najgłębsze i najbardziej realistyczne doświadczenie spotkania z kimś, to dopóki tego kogoś faktycznie nie będzie, a będą wyłącznie zewnętrzne oznaki udające, że jest, dopóty pozostanie to imitacją spotkania.

W przypadku sztucznej inteligencji sięga to jeszcze dalej. Jak wspomniałem, jej podstawowym zadaniem jest generowanie spójnych wypowiedzi. Jak to robi? Tego do końca nikt nie wie, ale w każdym razie – analizując wypowiedzi już wcześniej sformułowane i wytwarzając na tej podstawie coś, co będzie akurat najlepiej pasowało do kontekstu. Otóż zwróćmy uwagę, że kwestia prawdy i fałszu w ogóle w tym polu nie powstaje. Bo i nie może powstać – skoro poruszamy się wyłącznie na poziomie zdań, nigdy zaś na poziomie tego, co te zdania mają opisywać. Owszem, istnieją i takie definicje prawdy – np. koherencyjna – w których w ogóle się o rzeczywistości innej niż językowa nie wspomina. W myśl takich definicji prawdziwe jest to, co niesprzeczne z innymi zdaniami oraz poprawne logicznie. Są to jednak definicje cokolwiek ryzykowne, nieuchronnie popadające w kłopoty, ilekroć ktoś zacznie się im z bliska przyglądać.

Kolejne fundamentalne pytanie brzmi zatem: do jakiego stopnia możemy w ogóle polegać na sztucznej inteligencji w takich kwestiach jak edukacja czy wiedza? Historia jest tutaj dobrym, acz oczywiście niejedynym przykładem. Historycy, ale i naukowcy z innych dyscyplin wykonują codziennie tytaniczną pracę, żeby wyekstrahować z oceanu wytwarzanych przez ludzkie umysły zdań jakieś okruczki, które w sposób rzetelny i adekwatny odzwierciedlają rzeczywistość. Mają do dyspozycji sieć naukowych instytucji, metodologię i doświadczenie wcześniejszych pokoleń, a i tak nie rzadko dają się zwieść. Frazom pięknie brzmiącym, tekstom nadmiarowo spójnym oraz różnym środowiskowym presjom i modom, sugerującym, że lepiej się nie wychylać, nie podważać tego, co powszechnie ustalone, żeby się nie narażać na ostracyzm. Szczęśliwie system nauki działa tak, że prędzej czy później wyłapuje te zwiedzenia i dokonuje stosownych poprawek.

Teoretycznie mogłoby się wydawać, że sztuczna inteligencja będzie właśnie od tego wolna. I że nie lękając się żadnego cancelingu, nie ulegając żadnym presjom i modom, będzie po prostu mówić, jak jest. Tymczasem – nic podobnego. Jak na razie ekstrahuje ona z oceanu zdań te, które statystycznie wyglądają na najdogodniejsze do użycia, a kiedy takich nie znajduje, sama je dopisuje. I ani myśli stosować autokorektę.

Czy to się może zmienić? Czy wystarczy udoskonalić algorytm? Szczerze mówiąc – nie sądzę. Żeby mówić prawdę, trzeba rozumieć różnicę pomiędzy fikcją a rzeczywistością. A nie zrozumie jej nigdy ktoś, kto nie istnieje, lecz jedynie istnienie imituje. ©



Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie

Stanisław
WYSPIAŃSKI

WESELE

REŻYSERIA
MAJA KLECZEWSKA

16 i 17 marca 2024

PREMIERA DUŻA SCENA

PARTNERZY
TEATRU



BMW
M-Cars Group

Bielenda

PARTNER
MEDIALNY
PREMIERY

VOGUE

PARTNER
PREMIERY

FINE WINE

teatrwwkrakowie.pl

REKLAMY

*Ostatnie chwile w życiu naszych podopiecznych
są niezwykle ważne. Pomóż o nie zadbać!*



Fundacja Hospicjum
Proroka Eliasza
z szacunku dla życia

PRZEKAŻ

1,5%

KRS 0000 328837

z miłości do ostatnich chwil!

www.hospicjumeliasz.pl/1procent/

PILNE. ŁAMANIE PRAW. POTRZEBNA POMOC” – mail o tym tytule przychodzi na skrzynkę redakcyjną 7 grudnia ubiegłego roku. „Dzień dobry, nazywam się Klaudia [imię zmienione – red.] i mam 17 lat, mieszkam w Wojcieszowie w domu dziecka z trójką młodszych braci”.

Klaudia pisze o znęcaniu się nad nią przez ojczyzna, biologicznego ojca jej młodszego rodzeństwa. I o interwencyjnym umieszczeniu w czerwcu 2023 r. w placówce – po jej doniesieniu o przemoc w rodzinie. „Dom dziecka, mimo tego, że mówiłam, jak było w domu, pozwalał brać braci na przepustki praktycznie co weekend (...) i robił wszystko, żeby zmusić mnie do kontaktu z matką” – relacjonuje dziewczyna.

Zanim tuż przed Bożym Narodzeniem ucieknę z placówki, zdążę (mailowo, telefonicznie i na wideokomunikatorze) poznać jej historię ze szczegółami.

Krzyki, kłótnie, wyzwiska

Opowie mi np. o tym, że pod pojęciem „przemoc w rodzinie” kryły się: bicie kawałkiem węża ogrodowego lub kapciem, szarpanie za włosy, rzucanie przedmiotami, a także groźby i wyzwiska („kurwa”, „mała dziwka”, „zjeb”, „debil”).

W domu dziecka miała od tego wszystkiego odechnąć: – Wychowawcy placówki i dyrektor od początku trzymali stronę matki, zmuszając mnie do spotkań z nią. Matka potrafiła mnie szantażować, że się przez moje doniesienia zabije. Przestała to robić, gdy dowiedziała się, że nagrałam telefonem, jak przyznaje się do przemocy w domu.

Na nagraniach słychać też, jak matka Klaudii mówi, że po terapii ojciec się zmieni; i jak rzuca w kierunku córki: „Wy bylibyście w domu, ale powiedzieliście pani kurator, że były klapsy”. I jak sama Klaudia pyta przez łzy, czy to musiało aż tak daleko zajść, na co jej matka odpowiada: „Widocznie musiało”.

– Gdy sprawa nagrań wyszła na jaw, kierownictwu domu dziecka zaczęło przeszkadzać, że mam telefon – kontynuowała Klaudia, gdy rozmawialiśmy na platformie Discord. – Powiedziano mi, że zainstalują mi „Beniamina”, czyli aplikację, która ściągnie moje dane, w dodatku kontrolując, co robię. Gdy nie chciałam oddać telefonu, dyrektor straszył sądem. Mówił, że to złamanie regulaminu, choć go nie znałam.

Klaudia opowiedziała mi o rozstaniu z braćmi: sąd uznał, że powinni wrócić do domu. – Nie dano mi się z nimi pożegnać. Gdy wróciłam z badania w prokuraturze, ich już nie było. Boję się, że w domu stanie im się krzywda – mówiła, a pytana o warunki w domu dziecka dodawała: – Nie czuję się tu ani dobrze, ani bezpiecznie. Często są krzyki, wyzwiska, przekleństwa, używane przez dzieci i personel.

DLACZEGO UCIEKŁAM Z BIDUŁA

Mieszkanki domu dziecka w Wojcieszowie oskarżają kadrę o przemoc, łamanie ich praw oraz liczne zaniedbania.

Na przykładzie dolnośląskiej placówki można pokazać systemową patologię polskiej pieczy zastępczej.

TEKST: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
ILUSTRACJE: MAGDA WOLNA DLA „TP”



Rozmowa odbyła się 19 grudnia. Na jutro Klaudia przysłała maila: „Odnosić pisanie artykułu po naszej wczorajszej rozmowie, to chciałabym to jeszcze przemyśleć, ponieważ boję się tego, że ktoś np. z wychowawców mógł usłyszeć, o czym rozmawialiśmy”. 22 grudnia przysłała mi wiadomość znająca dziewczyny. Okazuje się, że Klaudia uciekła z placówki; szuka jej policja. – Niech pan opíše historię jej, braci i całego domu dziecka w Wojcieszowie, w którym dzieją się złe rzeczy – mówi kobieta, gdy łączymy się telefonicznie.

W połowie stycznia do redakcji przyjdzie jeszcze tradycyjny list o takiej treści: „Proszę o napisanie artykułu oraz w miarę możliwości pomoc. PS. Nic mi nie jest i jestem bezpieczna”.

Z dwóch wątków tej historii badam pierwszy: domu dziecka w Wojcieszowie (wątkowi sądowemu, po informacji z redakcji „Tygodnika”, przygląda się rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak, która zgłosiła swój udział w sprawie prowadzonej przez sąd rejonowy w Złotoryi). Jak to możliwe, że dziecko będące najpewniej ofiarą wieloletniej przemocy uciekło z placówki, która miała być dlań bezpieczną przystanią?

W ubraniu do wanny

– Ucieczek z tego domu było sporo, ale wokół tej i innych spraw panuje w powiecie zмова milczenia. Trzeba ją przerwać – słyszę od Izabeli Zobel, szefowej jeleniogórskiej Fundacji Maxibene, działającej na rzecz dzieci. Zobel od 2016 r. była przyjaciółką mieszkańców domu dziecka; zabierała niektóre z nich na wycieczki lub gościła w swoim domu.

– Ale relację zerwał dyrektor – twierdzi Zobel. – Któregoś dnia powiedział, że dziewczyny tym razem się ze mną nie spotkają, bo nie zasłużyły na nagrodę. Zdenerwowałam się: wychodzenie do świata poza placówkę to ma być nagroda? Dyrektor się wściekł i stwierdził, że więcej spotkań nie będzie – opowiada kobieta (dyrektor przedstawi inną wersję: według niej krytyka ze strony Zobel to jej prywatna zemsta na nim, bo odciał ją od domu dziecka). I dodaje: – Jedna z dziewcząt robiła obiecującą karierę narciarską, ale dyrektor nie zgodził się, bym zawoziła ją na treningi do innego miasta. W ogóle dzieci nie dostają tam możliwości odpowiedniego rozwoju: sportowego czy kul-



turalnego. Za to są często traktowane źle. Niektóre pisały skargi na placówkę do rzeczniczki praw dziecka. Bez skutku.

Udało mi się nawiązać kontakt z dwiema byłymi wychowankami domu: Darią Jaroń i Edytą Szymańską. Mają po 23 lata. Obie pamiętają co najmniej kilka ucieczek. Same zresztą – przed ukończeniem 18. roku życia – zbiegły z „Sobieradzika”.

Daria urodziła w placówce dziecko. Twierdzi, że była pogubiona i nie dostała jako młoda matka wsparcia. – Wychowawcy i pani pedagog zachowywali się tak, jakby to dziecko nie było moje, i jakbym była nikim – opowiada, gdy spotykamy się w cukierni w pobliskiej Świerzawie. – Miałam karmić piersią za wszelką cenę, choć nie czułam się gotowa. Zabierano mi butelki ze sztucznym pokarmem, mimo że dziecko w nocy płakało, nie chcąc ssać piersi. Po ośmiu miesiącach byłam wyczerpana, popadłam w depresję. Podpisałam papiery o zrzeczeniu się praw. Takie procedury trwają zwykle długo, ale mnie zabrano dziecko z dnia na dzień. Dziś wiem, że gdybym dostała wsparcie, dziecko byłoby ze mną.

Daria pamięta z „Sobieradzika” dobrych wychowawców: wymienienia pana Krzysztofa i panią Kingę, która wspierała ją przy dziecku. Ale też – w jej opinii

– fatalnych, jak zatrudnieni przez dyrektora byli wychowankowie. – Edytę, która miała psychiczne kryzysy, niektórzy wychowawcy traktowali fatalnie – ciągnie Daria. – Mówili na przykład „psychiczna”. Pewnej nocy Edyta poszła nielegalnie do innego pokoju. Wychowawca, były wychowanek, znalazł ją schowaną pod cudzym łóżkiem. „A ty, kurwo pojebana, do spania!” – krzyknął.

Sama Edyta Szymańska spędziła w „Sobieradziku” 13 lat. Jedną z pierwszych zapamiętanych scen: ma pięć lat, dyrektor wysłał ją do mycia. Edyta odmawia, a on (wedle jej wersji) wrzuca ją w ubraniu do wanny. – Pamiętam to do dziś jako upokarzającą przemoc – wspomina, gdy rozmawiamy w jej mieszkaniu w Wałbrzychu.

Scena druga: nauka. – Siedzę nad zadaniem, robię jakiś błąd. A jeden z wychowawców uderza mnie książką w głowę.

W wieku 13 lat zaczęła wagarować. – Wpadłam w złe towarzystwo, nadużywałam alkoholu i narkotyków – opowiada. – I zdarzyła się tragiczna sytuacja, zostałam „na wolności” zgwałcona. Gdy byłam z powrotem w domu dziecka, zgłosiłam ten fakt dyrektorowi. Powiedział, że on ze mną na policję nie pójdzie, niech zrobi to matka. Mama też nie zgłosiła, bo to się stało podczas pobytu w domu dziecka – wspomina Edyta.

→ Przytacza też inne zdarzenie: – Gdy już w „Sobieradziku” nie byłam, ale była tam nadal moja siostra, została na terenie szkoły uderzona przez koleżankę w twarz. Zgłosiła to, a personel nie zareagował należycie. Pojechałam więc tam sama, ale od jednej z wychowawczyń usłyszałam: „Teraz się biją, a zaraz się pogodzą”.

Z anonimowych źródeł dostaję też inną informację: wobec jednego z wychowawców (zarazem byłego wychowanka) mieszkanki wysuwały zarzut dwuznacznych zachowań. Jedna miała pewnego wieczoru uciec przerażona ze świetlicy po tym, jak wychowawca wszedł pod jej kołdrę, gdy oglądała telewizję.

Też jesteście ludźmi

Na spotkanie w „Sobieradziku” przychodzi aż siedem osób: wieloletni dyrektor placówki Marian Zwolenik, kierownik Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Złotorii (stolicy powiatu) Wojciech Szandula, a także psycholożka, wychowawcy i pedagogka. Rozmowa potrwa ponad dwie godziny.

– Ja mam tylko jedną prośbę – mówi pan Krzysztof, wychowawca. – Niech pan też spojrzy na nasz dom z innej perspektywy: większości wychowanków, którzy byli z pobytu tutaj zadowoleni, i rewelacyjnej opinii, którą sobie wyrobiliśmy. Poświęciliśmy tej pracy lata, ja ponad trzydzieści. I bolą nas zarzuty dziewczyn.

Klaudia – twierdzi pan Krzysztof, który był jej wychowawcą – przez kilka miesięcy pobytu dostawała wszystko, czego chciała: pomoc w zmianie szkoły, jego pełną dyspozycyjność, wsparcie. Gdy pytam wychowawców, czy ucieczka dziecka nie jest zawsze sygnałem, że dorosli zawiedli, mówią: – Nie mamy sobie w tej sprawie nic do zarzucenia.

Kiedy poruszam sprawę zmuszania do kontaktów z biologiczną matką, dyrektor Zwolenik tłumaczy: – Jednym z naszych zadań po tym, jak dziecko zostanie interwencyjnie odebrane z rodziny, jest pomoc w ponownym scaleniu tej rodziny.

Pozostałe zarzuty? Jedne przedstawiciele placówki uchylają (aparatury kontrolującej telefon, jak twierdzą, nie zakładali), przed innymi się bronią („Krzyki dzieci, zwłaszcza autystycznych, to codzienność placówki, a Klaudia była na hałas wyczulona” – mówi dyrektor). – Na pewno nigdy nie straszylem jej sądem – twierdzi Zwolenik. – Powiedziałem tylko,

EDYTA:

Skoro mówią, że winne jesteśmy my i nasze problemy, to dlaczego nic z tymi problemami nie robili? Zawsze powtarzali: „Nie oskarżajcie siebie, że tu jesteście”, a teraz mówią o naszej winie.

że wychowawcy piszą o wychowankach opinie, więc jeśli ktoś nie wypełnia regulaminowych obowiązków, musimy informować o tym sąd.

Gdy mówię, że zarzuty zgłaszają też dwie były mieszkanki, w odpowiedzi słyszę: to wychowanki, które stwarzały problemy, i „nie dawały sobie pomóc”. Odmowa zgłoszenia gwałtu na policję? Dyrektor Zwolenik takiej sytuacji nie pamięta. Wrzucenie pięciolatki do wanny w ubraniu? – To absurdalne, taka sytuacja nigdy nie miała miejsca – mówi.

Podejrzane zachowania jednego z wychowawców? Dyrektor pamięta, że podobny zarzut się pojawił. – Jedna z dziewczyn czuła się nieodpowiednio potraktowana, mijając się z tym wychowawcą w drzwiach, ale oskarżenie się nie potwierdziło – zapewnia.

Na zarzut, że placówka nie wsparła Darii i „nakłoniła” ją do zrzeczenia się praw rodzicielskich, dyrektor odpowie mailowo długim opisem. Wynika z niego, że Daria miała być nieprzygotowana do roli matki, a od personelu dostawała pomoc w dzień i w nocy.

– Wiele z tych zarzutów to słowo przeciw słowu. Ale czy takie ich nagromadzenie nie daje Państwu do myślenia, że coś jest nie tak z systemem wsparcia? Że dom dziecka się nie sprawdził? – zapytam na koniec.

– Nie jesteśmy od zmieniania systemu. Jesteśmy od tego, by być dla dzieci. Najlepiej, jak potrafimy – usłyszę w odpowiedzi.

Sygnał do autorefleksji

– Skoro mówią, że winne jesteśmy my i nasze problemy, to dlaczego nic z tymi problemami nie robili? – pyta Edyta. – Przecież ja tam byłam od piętego roku życia. Zawsze powtarzali: „Nie oskarżaj

cie siebie, że tu jesteście”, a teraz mówią o naszej winie.

– Skargi na tę i inną placówkę z terenu powiatu pojawiały się już kilkakrotnie, ale kontrole wojewody dolnośląskiego nie potwierdzały ich zasadności – mówi mi poproszona o komentarz Joanna Luberadзка-Gruca, ekspertka od pieczy zastępczej, szefowa Fundacji Polki Mogą Wszystko. – Nie chcę dyskutować z wynikami kontroli, ale niepokojące jest, że te skargi były regularne, i to z różnych źródeł. Niepokojące są też ucieczki. Owszem, one się zdarzają także w rodzinach, ale to zawsze sygnał dla dorosłych do autorefleksji.

Luberadзка-Gruca dodaje jeszcze jeden aspekt. – W placówkach znacznie łatwiej różne rzeczy zamieść pod dywan, zrzucając je na karb „trudnej przeszłości” wychowanków, zarazem chroniąc kadrę, którą w przypadku zwolnienia ciężko by było zastąpić kimś innym. W ogóle w tych historiach najbardziej porusza mnie to, jak ignorowany jest głos dzieci – mówi ekspertka, która pomoże mi też odpowiedzieć na pytanie, co władze powiatu złotoryjskiego (ten szczebel samorządu odpowiada za pieczę zastępczą) zrobiły przez lata dla dzieci spoza rodzin biologicznych. I co ten lokalny model mówi o systemie krajowym.

Bidule za pięć milionów

Kontekst tej historii można streścić tak. W 2011 r. polskie państwo przyjęło (wraz z ustawą o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej) nową doktrynę. Przekształcamy molochy w mniejsze placówki, ale nawet te ograniczamy do minimum. A cały system opieramy na tzw. pieczy rodzinnej, czyli głównie rodzinach zastępczych. Argument był prosty: traumatyzowane dzieci nie znajdą ukojenia wśród zmieniających się opiekunów. Potrzebują stabilnych więzi, domu.

Przez trzynaście lat trochę się zmieniło. W domach dziecka ustawowo nie może być więcej niż czternaścioro dzieci, a na koniec 2022 r. proporcja pieczy rodzinnej do instytucjonalnej wyniosła 78 proc. do 22 proc. (ponad 56 tysięcy vs. 16,5 tys.). Jednak Najwyższa Izba Kontroli alarmowała niecały rok temu, że mamy nadal „za dużo domów dziecka, za mało rodzin zastępczych”. Przyczyną jest niedobór kandydatów na rodziny, a winne jest i państwo, i samorządy.

„W każdym ze skontrolowanych powiatów liczba rodzin zastępczych zawodowych była za mała, aby zaspokoić aktualne potrzeby” – pisali urzędnicy NIK. Bo to właśnie liczba zawodowych rodzin (wyszkolonych i opłacanych) jest miernikiem jakości opieki.

Jak na tym tle wygląda powiat złotoryjski? Buduje nowe placówki, i się tym szczyli – nawet w dzień naszego spotkania trwa w „Sobieradziku” fetowanie oddania do użytku nowego domu dziecka. Odsetek „pieczowych” dzieci w placówkach? Aż 50 procent. Część z nich jest typu rodzinnego, ale tylko z nazwy: tu również zatrudniany jest rotacyjny personel, co wedle Joanny Luberadzkiej-Grucy stanowi zaprzeczenie idei rodzinności.

Reszta to rodziny zastępcze spokrewnione i niezawodowe, czyli zwykłe krewni i powinowaci, którzy opiekują się dziećmi po tym, jak zostały one odebrane rodzicom. Liczba zawodowych rodzin zastępczych? Zero.

Szef złotoryjskiego PCPR tłumaczy: – Państwo uznało, że piecza rodzinna jest korzystniejsza, i ja się z tym zgadzam, tylko czy państwo wspiera w tym samorządy? Robimy, co możemy. To samo państwo dopuszcza istnienie dwóch „nóg”: instytucjonalnej i rodzinnej.

– Wy stoicie głównie na jednej, i to przetrąconej – zauważam.

– Nie zgadzam się. Może było tak kiedyś, gdy istniały domy dziecka molochy.

My prowadzimy placówki z limitem miejsc do 14 i 8 dzieci – mówi Szandula.

Gdy pytam o koszt tych placówek, odpowiada bez wahania: 5 mln zł rocznie, czyli 7 tys. zł miesięcznie na dziecko.

– W rodzinie zastępczej może być trójka dzieci. A więc mógłby pan na nią przeznaczyć 21 tysięcy miesięcznie, i budżet by nie ucierpiał – zauważam.

– To prawda. Rodziny zastępcze kosztowałyby o połowę mniej – przyznaje Szandula.

– Czyli mógłby Pan mieć lepszą opiekę dla dzieci, a do tego zaoszczędzić 2,5 mln rocznie!

– Tylko skąd ja mam brać kandydatów na rodziny? Na Ziemiach Odzyskanych, gdzie więzi międzyludzkie są słabe, znacznie trudniej jest o takie osoby.

Joanna Luberadзка-Gruca komentuje: – Sąsiednim samorządom, np. jeleniogórskiemu czy świdnickiemu, pozyskiwanie kandydatów idzie całkiem nieźle.

– W tym powiecie na pewno znaleźliby się kandydaci na rodziców – słyszę z kolei od Izabeli Zobel. – Domy dziecka w powiecie istnieją, i będą powstawać kolejne, bo to jest wygodne dla lokalnych władz oraz kilku osób na stanowiskach i z dobrymi etatami. To jest wyrzucanie pieniędzy w błoto ze szkodą dla dzieci.

Problem dotyczy nie tylko Złotoryi. Jak odesłać do lamusa (np. do 2030 r., jak obiecywała w kampanii Polska 2050) domy dziecka? Nowe otwarcie w tej sprawie

zapowiedziała na specjalnej konferencji w ubiegłym tygodniu ministra rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Rozpoczęto konsultacje w sprawie zmian, które mają wreszcie doprowadzić do pełnego urodzinnienia pieczy. – Mamy w Polsce kryzys systemu. Ponad setka dzieci zagrożonych przemocą pozostaje w rodzinach, bo nie ma ich gdzie umieścić – mówi Joanna Luberadзка-Gruca. – Trzeba zamknąć powiatom ustawowe „furtki”, dzięki którym mogą odstąpić od szukania rodzin zastępczych, co pozwala na takie patologie jak te w Złotoryi. Np. ustawa mówi, że nie wolno wysyłać do placówek dzieci poniżej 10. roku życia, chyba że... mają starsze rodzeństwo. Należy to zmienić.

Potrzebna jest też, dodaje ekspertka, presja społeczna: – Starostowie muszą zacząć traktować dzieci z pieczy, jakby były ich własnymi. A my musimy brać ten czynnik pod uwagę w zbliżających się wyborach samorządowych. Nie patrzeć tylko na drogi, szkoły i szpitale, ale też na to, jak są traktowane dzieci odebrane z rodzin. To nie są „jakieś dzieci”, tylko koleżanki i koledzy naszych synów i córek. Stwórzmy w ich obronie ruch podobny do tego, jaki wytworzył się po śmierci Kamilka z Częstochowy, doprowadzając do ustawowych zmian.

Nie umiałam nic

– Dzieci z placówek – usłyszę jeszcze od Joanny Luberadzkiej-Grucy – wkraczają w dorosły świat najbardziej poranione.

Dyrektor Zwolenik przesłał mi mailem przykłady przeczące tej tezie. Napisze o A., który skończył politechnikę z wyróżnieniem, dostał wszystkie możliwe stypendia i ma dziewczynę; o B., która wyszła za mąż i ma piękny dom; o C., która skończyła w Anglii psychologię. I o kilkorgu innych.

Edyta powie: – Cierpię na depresję, zaburzenia osobowości. To także efekt pobytu w domu dziecka. Jeszcze dwa lata temu nie byłabym w stanie z panem rozmawiać, tak byłam rozwalona. Teraz, dzięki terapii i leczeniu, jest lepiej. Po wyjściu z placówki nie umiałam sprzątać, gotować, pracować. Teraz wszystkiego się uczę, a tamto chcę za sobą zamknąć.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PS. Klaudia do momentu ukończenia artykułu nie została odnaleziona.





BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

SIŁA BEZBRONNEJ

Czy protest kilku biskupów po próbie zakłamania przez abp. Andrzeja Dzięgę prawdziwych przyczyn złożenia rezygnacji z urzędu zapowiada przełom w polskim Kościele?

ARTUR SPORNIAK

W OSTATNICH DNIACH W KOŚCIELE w Polsce mieliśmy okazję uczestniczyć w dwóch niezwykłych wydarzeniach. Kilku biskupów pomocniczych publicznie skrytykowało zachowanie innego biskupa, złamana zatem została pilnie do tej pory przestrzegana biskupia „omerta” – nieformalny nakaz milczenia o sprawach wewnątrz episkopatu. Ponadto nuncjatura apostolska szybko zareagowała na publiczne żądanie wyjaśnień w sprawie wydane przez nią komunikatu, czego raczej wcześniej nie robiła. Poukładajmy fakty.

Próba wybielania

W sobotę 24 lutego nuncjatura informuje, że papież przyjął rezygnację abp. Andrzeja Dzięgi z posługi arcybiskupa metropolity szczecińsko-kamieńskiego, a na jego miejsce ustanawia tymczasowym administratorem diecezji biskupa koszalińsko-kołobrzeskiego Zbigniewa Zielińskiego. W tym samym dniu abp Dzięga przekazuje księżom list, upubliczniony przez Tomasza Terlikowskiego, w którym tłumaczy swoim stanem zdrowia fakt, że na cztery lata przed osiągnięciem wieku emerytalnego przechodzi na emeryturę: „Ostatnie pół roku to jednak czas radykalnego osłabienia mojego stanu zdrowia. Dlatego jesienią stało się dla mnie oczywiste, że nadszedł

także czas ustąpienia z urzędu. Ojciec Święty Franciszek przychylił się do mojej prośby i dzisiaj został ogłoszony fakt przyjęcia mojej rezygnacji”.

Hierarcha ani słowem nie wspomina, że ciążą na nim poważne zarzuty wieloletniego tuszowania i blokowania śledztwa w sprawach seksualnego wykorzystywania małoletnich przez podległych mu księży.

Jak w 2021 r. ujawnił portal Wiesz.pl, wobec szczecińskiego metropolity toczyły się dwa śledztwa watykańskie. Pierwsze dotyczyło sprawy z 2006 r., gdy Dzięga był biskupem sandomierskim. Wykorzystany seksualnie został 12-letni ministrant. Biskup nie tylko nie wszczął postępowania wstępnego, ale przeniósł sprawcę do innej parafii i powierzył mu katechezę w szkole podstawowej, a zeznania chłopca zostały „zagubione”. Drugie dotyczyło zmarłego w 2021 r. ks. Andrzeja Dymera, zajmującego prawie do końca życia wysokie stanowiska w diecezji szczecińsko-kamieńskiej – przestępcy seksualnego, który wykorzystał wielu chłopców. Jego sprawa ciągnęła się od 1995 r. Była sztucznie przeciągana i hamowana przez abp. Dzięgę. Kuria zastraszała i obrażała skrzywdzonych, a księży, którzy próbowali pomagać ofiarom, byli szykanowani i zwalniani ze swoich stanowisk. Media okrzyknęły sprawę Dymera „najdłuższym procesem Kościoła”.

Enigmatyczny komunikat nuncjatury o dymisji abp. Dzięgi umożliwił mu

przedstawianie siebie jako ofiary medialnej nagonki – pojawiły się nawet wezwania do modlitwy za prześladowanego arcybiskupa. W internecie zawrzało. Protestowali publicyści Zbigniew Nosowski z „Więzi” i Tomasz Krzyżak z „Rzeczpospolitej”. Wieloletni profesorowie KUL ks. Andrzej Szostek i ks. Alfred Wierzbicki, były przeor szczecińskich dominikanów o. Maciej Biskup oraz obecny duszpasterz dominikański w Szczecinie o. Tomasz Dostatni wydali oświadczenie, w którym zauważali, że „pozostawienie abp. Dziędze swobody interpretacji tła i motywów jego rezygnacji staje się źródłem napięcia w Kościele”.

Reakcja biskupów i nuncjatury

W niedzielę – ku ogólnemu zaskoczeniu – pojawił się na Facebooku wpis biskupa pomocniczego tarnowskiego Artura Ważnego. „Brak mi słów... Pomieszane ze sobą gniew, złość, wstyd... Brak zgody. Modłę się... Jeszcze raz prezentuję »talerz skrzywdzonych«. Tym razem publicznie. Solidaryzuję się z osobami skrzywdzonymi w Kościele. Znów niewidzianymi, dokrzywdzonymi... Modłę się za Was. I... przepraszam” – napisał hierarcha i dołączył zdjęcia przedstawiające go, jak podczas listopadowego zebrania plenarnego Episkopatu na Jasnej Górze pokazuje biskupom talerz z kolcami – dzieło artystyczne ukazujące cierpienie osób skrzywdzonych.

W poniedziałek Ważnego wsparło trzech innych biskupów pomocniczych. ➔

Arcybiskup Andrzej Dzięga podczas mszy dożynkowej na Jasnej Górze. Częstochowa, wrzesień 2010 r.

→ „W pełni solidaryzuję się z wpisem i postawą bp. Artura Ważnego. Od siebie dodam tylko, że są wybory (moralne) ważniejsze niż wybory nawet najważniejszego prezydium; jest kapitał duchowy (Kościoła) ważniejszy o wiele niż stary lub nowy fundusz kościelny; jest prawda formująca (zwłaszcza młode pokolenie) bardziej niż jedna lub dwie go dziny religii w tygodniu” – napisał Grzegorz Suchodolski, biskup pomocniczy siedlecki. „Deficyt prawdy rani po raz kolejny i niestety głębszy. Wiem to od zranionych. Dziękuję biskupowi Arturowi za ten głos!” – wtórował Adam Bab, biskup pomocniczy lubelski. „Modłę się za każdą osobę, która zamiast domu do świadcza w Kościele ran. Przepraszam za sytuację, gdy wynikają one z zaniedbania lub nadużycia władzy tych, którzy mają służyć” – komentował Piotr Wawrzyniak, legnicki biskup pomocniczy.

„Tygodnik” nieoficjalnie dowiedział się, że wpisy biskupów pomocniczych wzbudziły zainteresowanie nuncjatury. Wczesnym poniedziałkowym popołudniem 26 lutego pojawiło się wyjaśnienie: „Odpowiadając na pojawiające się pytania, Nuncjatura Apostolska precyzuje, że decyzje związane z odejściem abp. Andrzeja Dziegi z urzędu arcybiskupa metropolity szczecińsko-kamieńskiego zostały podjęte w następstwie dochodzenia

Podczas opowieści Tośki
była absolutna cisza,
a niektórzy słuchacze
– mężczyźni w sile wieku –
mieli łzy w oczach.

**Tak, ona po prostu
rozkłada na łopatki.**

prowadzonego z ramienia Stolicy Apostolskiej w sprawie zarządzania diecezją, a w szczególności zaniedbań, o których mowa w dokumencie papieskim »Vos estis lux mundi«.

Wspomniany dokument papieski to szczegółowe normy z 2019 r. dotyczące postępowania w sprawach biskupów oskarżonych o tuszowanie przestępstw seksualnych. Abp Dziega został zatem przyłapany na tym, że swoim listem do księży próbował manipulować opinią publiczną.

Zakulisowe działania

Co się tak naprawdę wydarzyło? Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, kilku hierarchów interweniowało w nuncjaturze w sprawie enigmatyczności pierwszego komunikatu. Na pewno był wśród nich

abp Wojciech Polak, którego funkcja delegata Episkopatu ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży niejako z urzędu obligowała do reakcji.

Niewykluczone również, że kard. Grzegorz Ryś, jako członek Dykasterii ds. Biskupów (od 2020 r.), interweniował w sprawie abp. Dziegi bezpośrednio w Watykanie (i to nie jeden raz). Sam kardynał jednak zdecydowanie odmówił wypowiedzi na ten temat, powołując się na tajemnicę papieską.

Sformułowaliśmy też kilka pytań do kard. Roberta Prevosta (który 30 września 2023 r. otrzymał kapelusze kardynalski razem z Grzegorzem Rysiem), prefekta Dykasterii ds. Biskupów, oraz do jej sekretarza – abp. Ilsona de Jesus Montanarięgo: dlaczego w pierwszym komunikacie polskiej nuncjatury nie podano całej prawdy? Co jest powodem wstrzymania od 2022 r. publikowania przez dykasterię wyroków dotyczących biskupów tuszujących przypadki pedofilii wśród podległych im księży? I czy dykasteria zamierza powrócić do przejrzystego działania w toczących się dochodzeniach lub przynajmniej będzie uzasadniać rezygnacje biskupów, wskazując na odpowiednie kanon i normy prawa kanonicznego?

Dotychczas nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Ale spróbujmy odpowiedzieć na te pytania, wskazując choćby na narzucające się korelacje pewnych faktów.

Watykański hamulec

Przez dwa lata – w 2020 i 2021 r. – byliśmy świadkami bezprecedensowych (nawet w skali świata) działań watykańskiej Dykasterii ds. Biskupów wobec polskiego Kościoła. Ogłoszonych zostało wówczas kilkanaście komunikatów dotyczących procesów prowadzonych wobec polskich hierarchów. Większość z nich informowała o nakładanych na biskupów symbolicznych karach (zakaz uczestniczenia w publicznej liturgii, nakaz pokuty czy przekazywania bliżej nieokreślonych kwot na wsparcie dla osób skrzywdzonych). Inne stwierdzały niewinność czy brak rozstrzygnięcia badanych spraw. Był nawet przypadek analogicznej próby wybielania się przez biskupa, wobec którego toczyło się śledztwo. 25 czerwca 2021 r. biskup legnicki Zbigniew Kiernikowski napisał list pożegnalny do diecezjan, informując w nim, że rezygnacja, którą

Jacek Ludwik hr. Broel-Plater

urodzony 17 sierpnia 1932 r. w Poznaniu,
zmarł we Wrzósowicach 21 lutego 2024 r.

Ukochany brat, tata, teść i dziadek

Powstaniec Warszawski, Kawaler Zakonu Maltańskiego,
zawsze chętny do przyjęcia innym z pomocą,
wszechstronny w swoich zainteresowaniach i działaniach,
człowiek otwartego umysłu,
do końca ciekawy postępu techniki
i poddający refleksji swoje przekonania,
wierny czytelnik „Tygodnika Powszechnego”.

Został pochowany na cmentarzu Salwatorskim
w Krakowie 1 marca 2024 r.

o czym zawiadamiają

BARBARA, MILADA, MARIA, MELANIA, PAWEŁ ORAZ WNUCZKI

złożył na ręce papieża Franciszka, związana z osiągnięciem wieku emerytalnego, została przyjęta. Po trzech dniach ukazał się komunikat Archidiecezji Lubelskiej, która prowadziła w imieniu Watykanu postępowanie wobec biskupa legnickiego. Stwierdzono w nim, że dymisja biskupa związana jest z „przeprowadzonym postępowaniem dotyczącym sygnalizowanych zaniedbań w sprawie o nadużycia seksualne wobec osoby małoletniej ze strony kapłana diecezji siedleckiej, którą bp Kiernikowski kierował w latach 2002-2014”.

Te działania dykasterii ustały w 2022 r., choć media donosiły o trwających procesach wobec co najmniej czterech biskupów: legnickiego Stefana Cichego, radomskiego Henryka Tomasika, łowickiego Andrzeja Dziuby i właśnie abp. Dzięgi. Ze Watykan nałożył jakieś (nie wiadomo dokładnie jakie) kary na dwóch pierwszych, dowiedzieliśmy się od skrzywdzonych objętych prowadzonymi sprawami, bo tylko oni zostali poinformowani. Wciąż nie wiemy, czy nastąpił epilog procesu toczzonego wobec bp. Dziuby.

Skargi abp. Gądeckiego

W październiku 2021 r. do Watykanu udali się polscy biskupi z wizytą *ad limina*. Polskie media wieszczły, że hierarchowie otrzymają reprimendę m.in. za sytuację związaną z krzywdzeniem dzieci przez polskich księży. Tymczasem nastąpiło coś odwrotnego.

Jak powiedział KAI przewodniczący Episkopatu Polski, w trakcie spotkania w Kongregacji ds. Biskupów z kard. Marcem Ouelletem nie zabrakło uwag krytycznych dotyczących stanowiska Stolicy Apostolskiej wobec biskupów, którzy zostali obłożeni karą za niedociągnięcia, uchybienia czy „zapomnienia” w prowadzeniu spraw duchownych oskarżonych o pedofilię (warto tu zwrócić uwagę na eufemizm „zapomnienia”). Biskupi skarżyli się na dysproporcję między trwałymi karą nakładanymi na biskupów, a sytuacją pedofila, który po 5 latach wychodzi z więzienia i może swoje życie zacząć od nowa, z *carte blanche*. W przypadku biskupa mamy do czynienia jakby ze śmiercią cywilną, a przecież nie jest on pedofilem. Jest on usuwany z urzędu, popada w infamię i zostaje jakby unicestwiony przez media.

Po wizycie polskich biskupów Watykan wstrzymał ujawnianie kar nakładanych na biskupów-przestępców. **Jaki jednak kara ma sens, skoro nie jest publiczna?**

„Ksiądz kardynał był trochę zaskoczony tym moim głosem, ale potem zwrócił uwagę, że nie jest to nasza agresja w stosunku do Stolicy Apostolskiej, tylko postawienie pytania, czy to wszystko stosuje się według zasady proporcjonalności winy do kary – mówił abp Stanisław Gądecki. – Prosił mnie też o przekazanie mu naszych uwag i poinformował, że chce je wykorzystać”.

Skargi szybko odniosły sukces – Watykan zahamował procesy, a o kończonych przestał informować. Był to chyba najbardziej spektakularny w ostatnich latach wkład polskiego episkopatu w to, co dzieje się w Kościele powszechnym.

Kierownik Biura delegata Episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży ks. Piotr Studnicki gorzko komentuje: – Watykan próbuje decydować o wszystkim i wszystko kontrolować, a nie chce za nic brać odpowiedzialności. Po wizycie *ad limina* polskich biskupów nastąpił wyraźny regres w działaniach. Jeśli kara nie jest publicznie ogłoszona, jaki w ogóle ma sens?

Przedwiośnie

Powróćmy do Polski. Czy to, co się ostatnio wydarzyło, zapowiada mimo wszystko jakieś zmiany? Zapytaliśmy biskupa pomocniczego tarnowskiego Artura Ważnego o jego wpis. Głównym bodźcem, który skłonił go do reakcji, było spotkanie ze skrzywdzoną przedstawiającą się pod pseudonimem Tośka Szewczyk, autorką książki „Nie umarłam”. Tośkę poznał już wcześniej podczas działań ewangelizacyjnych jako przewodniczący Zespołu ds. Nowej Ewangelizacji przy Komisji Duszpasterstwa Konferencji Episkopatu Polski. Od roku spotykał się także z innymi oso-

bami, które towarzyszą osobom skrzywdzonym.

To z inicjatywy Tośki Szewczyk bp Ważny przekazał biskupom „talerz skrzywdzonych” podczas zebrania na Jasnej Górze. W jej imieniu zaprosił też biskupów do spotkania się z nią. Jak wylicza bp Ważny, w sumie z Tośką spotkało się ośmiu biskupów, w tym jeden ordynariusz, który nawet zadeklarował finansowe wsparcie. W tym gronie znaleźli się wszyscy biskupi, którzy zabrali głos.

Po zebraniu na Jasnej Górze biskupi Ważny, Suchodolski i Bab zaprosili Tośkę do Kokotki na spotkanie Rady Episkopatu ds. Duszpasterstwa Młodzieży, której są członkami. Piotr Wawrzynek także się z nią spotkał, ale w innym czasie. Ważny mówi, że spotkanie w Kokotku było istotne, bo biskupi szczerze dzielili się z Tośką, jak się czują z tym, co się dzieje w Kościele. – Przyznam, że zwykle z ludźmi w sposób tak osobisty nie rozmawiamy. Być może właśnie z powodu szczerości tej rozmowy dotarło do nas, że jeżeli ma się coś zmienić w Kościele, to my – biskupi – sami nic nie zrobimy, jeśli nie będziemy razem ze skrzywdzonymi – opowiada hierarcha.

Czy zbliżające się w marcu zebranie plenarne Konferencji Episkopatu Polski i wybory na najważniejsze stanowiska coś mogą zmienić?

– Według statutu KEP przewodniczącym i jego zastępcą może zostać wybrany tylko ordynariusz, więc my, biskupi pomocniczy, mamy prawo wyboru, ale nie możemy zostać wybrani. Nie można zatem nam zarzucić, że zabierając głos w sprawie osób zranionych, robimy jakąś kampanię wyborczą – odpowiada bp Ważny. – Jeśli chodzi o zmianę w podejściu do skrzywdzonych, cały czas na nią liczę. Co prawda biskupem jestem dopiero od trzech lat, ale czuję nowy powiew. Po pandemii w ośmiu mieliśmy w Rzymie tradycyjne szkolenie dla świeżo upieczonych biskupów potocznie zwane „baby bishop” i ujawniało się tam duże pragnienie zmian.

Kontrując wpis biskupa, media przypominały, że diecezja tarnowska zapowiedziała niedawno, iż nie ma zamiaru wypłacać skrzywdzonym odszkodowań, bo odpowiedzialność leży po stronie sprawców. Pytam bp. Ważnego o tę zapowiedź, bo wygląda ona na unikanie współodpowiedzialności.

→ – Możliwe, że wśród biskupów mało o tym rozmawiamy – odpowiada. – Ordynariusze mają swoje racje. Myślę, że zadośćuczynienie powinno mieć wiele form – także finansową. Pierwsze jednak, co bym chciał zrobić, gdyby to ode mnie zależało, to zaprosić poszkodowanych do wspólnej rozmowy. Nie wiem, jaki model zadośćuczynienia byłby najodpowiedniejszy, uwzględniający także prawo głosu diecezjan, którzy łączą na Kościół. Na pewno jest tutaj wiele do przepracowania. I na pewno jest łatwiej coś tam napisać w internecie...

– Na razie jako Zespół ds. Nowej Ewangelizacji – dopowiada – chcemy zorganizować w październiku rekolekcje dla kapłanów z Tością Szewczyk i innymi osobami skrzywdzonymi. Niektórzy wciąż uważają tych ludzi za problem. Dla mnie oni są rzeczywistością Kościoła.

Jak Dawid z Goliatem

Ks. Studnicki potwierdza niezwykłą skuteczność Tości Szewczyk w rozmowach z funkcjonariuszami Kościoła. – Została ona przez nas zaproszona na szkolenie dotyczące ochrony dzieci i młodzieży dla wyższych przełożonych zakonnych, które odbywało się we wrześniu. Tośka potrafi o swoje krzywdzie opowiadać nie w tonie oskarżycielskim, tylko na zasadzie: „Jesteście moimi braćmi. Chcę z wami szczerze porozmawiać o tym, co mnie spotkało w Kościele, o mojej traumie, złości i próbach radzenia sobie z tym”. Podczas jej opowieści była absolutna cisza, a niektórzy słuchacze – mężczyźni w sile wieku – mieli łzy w oczach. A potem zadawali sensowne pytania, np. co ją uratowało. Tak, ona po prostu rozkłada na łopatki.

Jeśli szukać gdzieś podstawy dla nadziei, że instytucja Kościoła w Polsce w końcu zacznie zmieniać nastawienie wobec skrzywdzonych, to właśnie w uporze, odwadze i pracy takich osób jak Tośka Szewczyk. Przypomina to biblijną walkę Dawida z Goliatem.

©P ARTUR SPORNIAK

Nie tylko dla chłopaków

LISA AMMAN Z ORGANIZACJI DISCERNING DEACONS (ROZEZNAJĄC DIAKONAT):

Wstrząsem dla mnie było, gdy moja sześciolatka córka odkryła, że aktywne bycie na mszy w kościele nie jest dla niej.

KATARZYNA MARTYNUSKA:

Czy Kościół jest gotów na taką rewolucję, jaką byłby diakonat kobiet?

LISA AMMAN: To żadna rewolucja.

Brzm jak argument na przekonanie papieża i zgromadzenia synodalnego...

Przecież to naprawdę nic nowego! Choć wiem też, że większość z nas jednak nie zdaje sobie z tego sprawy. Pamiętam, jak po raz pierwszy zwróciłam uwagę na list świętego Pawła do Rzymian, gdzie on pisze o Febe (16, 1-2). I miałam taką myśl: „Chwileczkę, przecież on ją tam wprost nazywa diakonem! Jak ja mogłam wcześniej tego nie zauważyć?”. Według mnie właśnie ta sytuacja wyraźnie pokazuje, co do nas w Kościele realnie dociera, a co nie. Co jest czytane, powtarzane i utrwalane, a co nie.

Jak to zmieniać?

Widzę tu wielkie pole do pracy historyków, żeby historie kobiet odnaleźć, wyłuskać, poskładać w całość i opisać. Wiem, że sporą pracę w tym obszarze wykonała amerykańska teolożka Phyllis Zagano, ale jej dorobek wciąż przecież nie przebił się aż tak bardzo do naszej świadomości.

Papież niestety już kilka razy wyraźnie pokazał, że nie bardzo orientuje się, co napisano na temat obecności i roli kobiet w Kościele.

Ja mimo wszystko jestem pełna nadziei. Niedawno powołał dwie komisje teologów i historyków, które badały te kwestie, a potem nie opublikowały wyników. A w październiku ubiegłego roku na Synodzie o synodalności delegaci poprosili o ujawnienie tych wyników i papież się zgodził. Więc wreszcie do publicznej wiadomości mogło się dostać to, co już zostało zbadane i napisane w tej sprawie. Ustalono kilka podstawowych faktów.

Jakich?

Diakonat w naszym Kościele był obecny przez mniej więcej 1100 lat, a potem zniknął na kolejnych 800. No i że Febe, kobieta, jest jedyną osobą, co do której użyto w Piśmie Świętym określenia „diakon”. Jest oczywiste, że przed nami stoi kwestia zbadania, co i jak było, a następnie zadanie sobie pytania, czy obecnie nie byłoby warto do tej tradycji wrócić, odświeżając ją o naszą wiedzę o aktualnych potrzebach Kościoła.

Udało Ci się uczestniczyć w obradach Synodu.

Byłam tam jako przedstawicielka organizacji Discerning Deacons (Rozeznając Diakonat), w której pracuję jako zastępczyni dyrektorki do spraw zaangażowania.

Czy kobiety będą niedługo diakonkami?

Poczekaj, nie tak prędko!

Prędko?

Moim zdaniem na Synodzie naprawdę dużo rozmawiano o kobietach i to mnie ogromnie cieszy. Ale jednocześnie miałam świadomość, że to była dopiero pierwsza odsłona prac i że druga odbędzie się w tym roku na końcowym spotkaniu synodalnym w Watykanie. Wobec tego nie spodziewałam się tym razem jakichś spektakularnych decyzji. Od października kilka osób, podobnie jak ty, pytało mnie, czy nie jestem rozczarowana, że ten Synod nie zdecydował o dopuszczeniu kobiet do diakonatu. A ja im odpowiadam, że nie, bo znając instytucję Kościoła byłabym zaskoczona, gdyby to się wydarzyło aż tak szybko.

Co chciała osiągnąć Wasza organizacja?

Chcieliśmy w Rzymie przede wszystkim zwrócić uwagę na potrzebę poważnej dyskusji na temat odnowienia zasad



WOJTEK ŁASKI / EAST NEWS

W kościele katolickim św. Franciszka Salezego w Sherman Oaks w Kalifornii kobiety w zastępstwie kapłanów wypełniają część ich obowiązków. Stany Zjednoczone, 7 maja 2016 r.

i idei diakonatu, w tym diakonatu kobiet. Kwestia prowadzenia rozmowy i zadawania sobie pytań, czyli właśnie rozeznawania, jest dla nas kluczowa. Z mojego punktu widzenia najgorszą rzeczą, jaka mogłaby się wydarzyć, byłaby decyzja zgromadzenia synodalnego o odłożeniu tego tematu do lamusa. Stało się coś przeciwnego, Synod ogłosił, że właśnie kwestia kobiet w Kościele to aktualnie jedna z najważniejszych spraw. Dla mnie to wielka, pozytywna zmiana.

To prawda, ale w Kościele jest mnóstwo osób, które jednak mają poczucie, że to wszystko dzieje się bardzo powoli.

A mnie zachwyca to, że papież wraz z synodem biskupów zaprosił wierzących – czyli ciebie i mnie – żebyśmy uczestniczyły w rozmowie. I to się dzieje tu i teraz, nie „za rok”, nie „kiedyś tam”! Jeszcze przez ponad osiem miesięcy cały Kościół będzie trwał w synodalnym procesie rozeznawania. Wszystkie wierzące osoby, a więc i my jesteśmy zaproszone do zaangażowania i przekazywania papieżowi oraz delegatkom i delegatom wszystkiego, co uważamy za najważniejsze w dzisiejszym Kościele.

To może zabrzmieć paradoksalnie, ale dla nas w Discerning Deacons najważniejsze nie jest to, żeby Synod podjął decyzję o dopuszczeniu kobiet do diakonatu. Najbardziej zależy nam na tym, żeby ta dyskusja w ogóle się toczyła, żeby zachęcić wszystkich – w tym oczywiście kobiety –

do zadania sobie pytania: czy tego chcę? Co o tym myślę? Czy ja mam powołanie do diakonatu? Czy widzę potrzebę odnowienia służby diakonatu w moim Kościele?

Wiele osób wyraża obawę, że propozycja rozmawiania o diakonacie kobiet to jednocześnie próba „otwierania furtki” dla kapłaństwa kobiet.

Ależ diakonat to jest zupełnie inna funkcja w Kościele niż kapłaństwo.

W takim razie kim w Kościele katolickim jest diakon?

Przede wszystkim chcę przypomnieć, że diakonat został przywrócony w Kościele łacińskim jako stała funkcja dopiero 60 lat temu, po 800 latach nieistnienia. Stało się to dzięki decyzji Soboru Watykańskiego II i wtedy właśnie określono diakonat dostępny jedynie dla mężczyzn (obok istniejącego diakonatu jako pierwszego stopnia kapłaństwa). Sześćdziesiąt lat to niestety dużo, ale jak wiesz, dla nas, katolików, to prawie nic.

Dla mnie bardzo ciekawy jest fakt, że mało kto spośród wiernych w ogóle wie, czym konkretnie zajmuje się diakon. Przyznam szczerze, że zanim zaczęłam pracować dla Discerning Deacons, także niewiele o tym wiedziałam.

Czym się zajmuje?

Najkrócej można powiedzieć, że diakon reprezentuje Chrystusa służącego. Przede wszystkim czyta Słowo w czasie

liturgii i ma możliwość głoszenia homilii. Ma być łącznikiem między amboną a sprawami i potrzebami wszystkich ludzi w naszej wspólnocie. Pracuje niejako „na ulicy”, blisko ludzi, także na różnych społecznych czy organizacyjnych marginesach.

W obszarze sakramentów i sakramentaliów diakon może poprowadzić ceremonię ślubną, chrzcielną i pogrzebową, w czasie których nie jest odprawiana msza. Kiedy sobie wyobrażam, że kobiety głoszą homilie, chrzczą, towarzysząc na ślubie czy pogrzebie – to jest to dla mnie bardzo mocna wizja. Gdyby mogły zostać diakonami, byłaby to służba sakramentalna rozeznana przez Kościół nie tylko jako stała, ale też, co ważne, dostępna dla wszystkich mających takie powołanie. A nie: tylko dla mężczyzn. W ten sposób Kościół przyznałby właściwe miejsce w naszych wspólnotach tym osobom, które już dziś, w praktyce, są właśnie takimi łącznikami ołtarza i wiernych, znają ludzi i ich słuchają na co dzień.

Czyli diakon lub diakonka nie musi z automatu chcieć być księdzem?

Oczywiście, że nie. To są dwa różne powołania. A Discerning Deacons właściwie nie zajmuje się kapłaństwem kobiet. My chcemy rzetelnego rozeznawania w sprawie stałego diakonatu dostępnego dla kobiet i mężczyzn.

W wielu miejscach w Kościele dopominanie się o rozmowę wciąż traktowane jest jako działalność wywrotowa.

Na swojej drodze duchowej i zawodowej spotkałam bardzo różnych biskupów. U nas w Stanach Zjednoczonych są tacy, których przeraża to, co się aktualnie dzieje. Są też inni, którzy się tego nie boją. Na naszych oczach dokonują się spektakularne zmiany, bo papież Franciszek zaprosił wiernych do mówienia i zadawania pytań. Jestem bardzo poruszona faktem, że nie tylko Discerning Deacons i uprzywilejowane społeczeństwa Globalnej Północy mówiły na Synodzie o potrzebie włączania kobiet w posługiwanie w Kościele. Takie postulaty spływają ze wszystkich stron świata!

Kiedy uznasz, że rozmawianie i pytanie jest ważne i uprawnione w Kościele?



→ Rodzinnie związana jestem z Minnesotą. Tutejszy Kościół jest dość tradycyjny. Miałam jednak szczęście spotkać na swojej drodze dwie wyjątkowe siostry zakonne, które uczyły w mojej szkole. Jedna z nich mówiła sporo o Soborze Watykańskim i o tym, jak bardzo ważne i rewolucyjne rzeczy się tam zdarzyły. Natomiast druga opowiadała nam o tym, że w sakramencie chrztu wszystkie i wszyscy mamy równą godność. Dzięki rozmowom z obiema tymi kobietami spędziłam wiele czasu na rozmyślaniu, co to właściwie dla mnie znaczy: być ochrzczoneą członkinią mistycznego Ciała Chrystusa? Nabrałam wtedy świadomości, że Duch Święty dotyka poprzez chrzest także mnie i że nie przemawia jedynie poprzez księdza-mężczyznę. Chrzest to mój przywilej i odpowiedzialność jednocześnie, żeby się modlić i zastanawiać nad tym, w jaki sposób mogę coś z siebie Kościołowi dawać, dysponując możliwościami i talentami, które dostałam od Boga.

A skąd pojawił się diakonat?

Ma to związek z bardzo ważnym dla mnie wydarzeniem osobistym. Kilka lat temu, w czasie nabożeństwa, moja córka Evelyn, wtedy sześciolatka, zadała mi pytanie, które diametralnie zmieniło moje myślenie. Stałyśmy z przodu kościoła, blisko ołtarza, bo wiem, że dzieci łatwo się rozpraszają. Chciałam, żeby Evelyn widziała, co się dzieje, i żeby dzięki temu łatwiej jej było uczestniczyć w mszy. W którymś momencie córka szepnęła do mnie: „Mamo, dlaczego tu jesteśmy?”. Odpowiedziałam jej jak najprościej – że jesteśmy tu, żeby uczyć się o Jezusie i żeby się modlić do Pana Boga.



ARCHIWUM PRYWATNE

LISA AMMAN jest zastępczynią dyrektorki ds. zaangażowania w Discerning Deacons (Rozpoznając Diakonat). Mieszka w Minnesocie, gdzie wraz z mężem wychowuje dwie córki.

Ale ona drążyła dalej: „Ale nie, mamo, dlaczego my tu jesteśmy? To jest przecież tylko dla chłopaków!”.

Nie pamiętam, co jej odpowiedziałam, ale byłam wstrząśnięta tym, jak ta mała dziewczynka dobrze wyczuwa i widzi, że aktywne bycie na mszy w kościele nie jest dla niej! Dzięki świeżości jej spojrzenia zwróciłam uwagę na coś, co dla mnie najwidoczniej stało się przezroczyste i zamieniło się w codzienność kobiety w Kościele katolickim: to generalnie nie jest miejsce dla nas. Evelyn była wtedy bardzo blisko religii – żyła tym i organizowała zabawy, na przykład pokazy mody, które dedykowała Panu Jezusowi. Nieraz prowadziła naszą domową modlitwę przed jedzeniem. Tym mocniej dotknęło mnie to, jaki przekaz odebrała, uczestnicząc w mszy!

To bliskie też misji Fundacji Tekla, którą w Polsce założyłam z innymi kobietami. Chcemy „wspierać w Kościele dziewczynki, dziewczęta i kobiety”.

Macie rację – wspieranie kobiet w Kościele musi obejmować już najmłodsze z nas! Jako wspólnota wierzących mamy właśnie teraz, podczas tego Synodu, okazję, wręcz misję, żeby wejść mocniej w praktyki naszego własnego Kościoła i zapewnić wszystkim możliwość pełnego uczestnictwa we wspólnocie. To powinna być wspólnota kobiet, mężczyzn, księży, świeckich – realizująca w pełni przekonanie, że jako ochrzczeni, wszyscy i wszystkie mamy równą godność. W Piśmie Świętym jest napisane, że już „nie ma Żyda ani Greka...”. A przecież nie to pokazuje naszym dzieciom wspólnota, jaką zbudowaliśmy! I najmłodsi w tej wspólnocie wyraźnie widzą, kto do niej należy i na jakich zasadach. Kto jest widoczny, kto mówi, dla kogo to wszystko jest przeznaczone, a dla kogo nie.

Twoje córki doceniają to, co robisz, żeby mogły czuć, że Kościół jest także dla dziewczyn?

Starsza ma teraz 14 lat, a młodsza 11. Są na etapie „nie lubię Kościoła” i mnie to boli. Ale widzę też, że przyglądają się z zainteresowaniem temu, co robię. Nie kryje przed nimi, że pracuję na rzecz prowadzenia dyskusji o tym, czy kobiety mogłyby skutecznie nauczać, prowadzić wspólnoty, chrzcić i towarzyszyć w zawieraniu małżeństw, pełniąc funkcję oficjalnie rozpoznawaną przez Kościół. Staram się im pokazywać, że świat jest otwarty dla nich i mają prawo czuć się w nim u siebie. I że dokładałam wszelkich starań, żeby także w Kościele mogły się kiedyś poczuć jak u siebie.

© Rozmawiała KATARZYNA MARTYNUSKA

Czym diakon różni się od księdza?

PRZEZ WIEKI DIAKONAT był traktowany wyłącznie jako początek drogi kapłańskiej. O powrocie do diakonatu stałego dyskutowano na Soborze Watykańskim II jako o elemencie całościowej odnowy Kościoła. Sobór dopuścił diakonat dojrzałych, żonatych mężczyzn, zostawiając decyzję o jego wprowadzeniu episkopatowi. W soborowej

konstytucji „Lumen gentium” zapisano, że na diakonów nakłada się ręce „nie dla kapłaństwa, lecz dla posługi”. W ciągu kilkudziesięciu lat diakoni stali się liczną grupą. W 2020 r. było na świecie 48 635 diakonów stałych wobec 410 219 księży. Ich zadaniami są: udzielanie chrztu, udzielanie Eucharystii, błogosławienie

małżeństw, czytanie wiernym Pisma Świętego, nauczanie, przewodniczenie nabożeństwom, pogrzebom. W 2009 r. Benedykt XVI zmienił prawo kanoniczne, wprowadzając rozróżnienie diakonatu i pozostałych stopni święceń, co jakby uzgadnia je z intencją soboru (nie dla kapłaństwa, lecz dla posługi). W nowym kształ-

cie kanon 1009 mówi, że święceniami są: biskupstwo, prezbiterat i diakonat oraz że ustanowieni „biskupami lub prezbiterami otrzymują misję i uprawnienie do działania w osobie Chrystusa-Głowy, natomiast diakoni są umocnieni do służenia Ludowi Bożemu w postudze liturgii, słowa i miłości”. Teologicznie rozdzielanie służby od przewodzenia wydaje się jednak problematyczne.

© ZUZANNA RADZIK

ZUZANNA

Radzik:

Plan minimum



KU MOJEJ ZGRYZOCIE, BO JAK WIADOMO wiele bym w Kościele katolickim poukładała inaczej, większość katolików i katoliczek w Polsce zadowoliliby program minimum. Tak wynika z westchnień o lepszy Kościół, zasłyszanych w różnych miejscach i gronach, podczas publicznych wydarzeń i prywatnie. Gdy mówią, o czym marzą, to chcą, żeby proboszcz nie zdzierał, nie mówił głupot, nie używał ambony do polityki. Program minimum, a jaki nieosiągalny! Z czasem, wraz z rosnącą świadomością obecności przestępstw seksualnych w Kościele, pojawił się kolejny postulat: ukarać przestępców, odwołać odpowiedzialnych za ich ukrywanie.

Podobny program minimum zaprezentowali respondenci pytani dwa lata temu przez CBOS, jak wzmocnić autorytet Kościoła w Polsce. Trzy wskazówki dawane przez ponad połowę badanych to: unikać polityki, wyjaśnić przypadki pedofilii i mniej zabiegać o pieniądze. Można tu jeszcze przywołać czwarte co do popularności zalecenie: księża powinni przestrzegać zasad, które głoszą. I tyle. Dużo niżej znalazły się sugestie, by wprowadzać zmiany nauczania moralnego, ale też nie przyznano specjalnej wagi staniu na straży tradycyjnego nauczania. Czyli ani reforma, ani obrona niezmiennego depozytu. Nie liberalizacja i nie radykalizacja. Lekarstwo opinia publiczna widzi w byciu tym, czym obiecywaliśmy, że będziemy. Spójność. Integralność. Jak zwał, tak zwał, ale chodzi o to minimum przyzwoitości i przestrzegania zasad, które się ma we własnych dokumentach założycielskich.

Ponieważ mamy tydzień do wyborów prezydium Konferencji Episkopatu Polski, postanowiłam położyć tę wiedzę na stole. A nuż czyta nas jakiś biskup? Albo ktoś, kto biskupowi może coś szepnąć do ucha: spokojnie, ludzie nie chcą rewolucji, na początek naprawdę nie oczekują zbyt wiele. Żadnych zmian dogmatów, równości kobiet, słuchania świeckich czy dopuszczania ich do władzy. To byłoby może miłe, może ci bardziej ak-

tywni by tego chcieli, ci, którym zależy na Kościele, bo nim są. Ale gdyby chciał zostać na powierzchni spraw i tylko poprawić wizerunek, to program jest prosty: rozliczyć pedofilię, nie komentować polityki z ambony oraz mieć porządek w finansach. Tylko tyle! Nic ważnego nie trzeba zmieniać.

Na razie mamy wszelkie dowody, że program minimum to za wysoki próg dla przywódców naszej wspólnoty. W kwestii rozliczania pedofilii zaprezentowano w zeszłym tygodniu spektakl szczeciński. Tamtejszy (do niedawna) arcybiskup liczył – pewnie słusznie – że jak skłamię, że powodem jego o cztery lata wcześniejszej emerytury jest pogarszające się zdrowie, a nie ciągące na nim zarzuty, to odejdzie po cichutku. Czemu nie miał na to liczyć? W końcu biskupi ukrywający pedofilię odchodzą po cichutku, na emeryturkę, z ogrodnikiem i sprzątaczką. Przecież nuncjatura nie ma w zwyczaju komunikować spraw jasnym i prostym tekstem. Wymyślać kar bardziej bolesnych niż stan spoczynku z pełnym uposażeniem. Jeszcze by ktoś pomyślał, że serio podpadli.

Choć udowodniono mu w śledztwach dziennikarskich winę i niesławę, to abp Dzięga żył sobie jak pączek w maśle i nawet wybrano go (tak, w wyborach w 2020 r.) na członka Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski. Zastąpił odchodzącego na emeryturę abp. Głódzia. Takie gorące krzesło w zarządzie organizacji, specjalny stołek dla ukrywających pedofilię? Tak, wybór abp. Dzięgi do tego grona to jakby większość prawie setki czynnych biskupów w Polsce chciała pokazać nam środkowy palec.

W ramach szczecińskiego spektaklu wystąpiło też kilku biskupów pomocniczych, dziś chwalonych za odwagę i przeciwstawienie się skandalowi. Dobrze zrobili, ale czemu nie sprzeciwili się skandalowi pozostawiania przez lata na urzędzie w piątek, tylko w poniedziałek, gdy abp Dzięga urząd już złożył? Tydzień przed rezygnacją arcybiskupa Szczecina nie ciążył waszym sumieniom? Śmieszny obyczaj polskich hierarchów, by milczeć i nigdy publicznie się nie różnić, obowiązuje zatem dalej.

To tylko jeden przykład, ale przypominający, w czym tkwimy i czemu plan minimum, zakładający podstawową przyzwoitość Kościoła, to wciąż szczyt naszych marzeń. Wyzwanie na miarę możliwości, bez którego spełnienia nie będzie innych marzeń o Kościele. Bo jak tu marzyć, gdy brak poczucia bezpieczeństwa i podstawowej sprawiedliwości? Jak tu wiarygodnie mówić o synodalności Kościoła, gdy na oczach polskiej opinii publicznej oraz katolików i katoliczek rozgrywa się latami serial pod tytułem „Nikt was nie usłyszy”?

Gdzie jest szczyt Twoich marzeń o Kościele?

©

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA” DODATEK O NOWYCH TECHNOLOGIACH W MEDYCYNIE

- Jak sztuczna inteligencja może pomagać w diagnozie i wyborze właściwych terapii.
- Czy każdy z nas potrzebuje cyfrowego bliźniaka?
- Jak oddać pacjentowi sprawczość i ochronić jego prywatność?
- Kiedy zaczną nas operować roboty?

Przygotowany we współpracy z Sano – Centrum Indywidualizowanej Medycyny Obliczeniowej.



sano



MATERIAŁ PRASOWY

BLISKI WSCHÓD CORAZ BLIŻSZY

Wybuch konfliktu wokół Gazy i jego charakter stały się tlenem dla innych ognisk zapalnych na Bliskim Wschodzie. Narysujemy ich „mapę”.

KRZYSZTOF STRACHOTA

RZADKO ZDARZA SIĘ, ABY MIEJSCE PERYferyjne, niewielkie nawet w skali regionu (powierzchnią trochę tylko większe od Krakowa) i nieoczywiste, gdy idzie o jego status polityczny, generowało tak potężną i niebezpieczną energię. Mowa o Strefie Gazy.

W cieniu Gazy

Obecna odsłona konfliktu palestyńsko-izraelskiego trwa już niemal pięć miesięcy. Niebawem w swojej skali i brutalności atak Hamasu na Izrael z 7 października 2023 r. przyniósł śmierć blisko 1200 Izraelczyków (cywilów i wojskowych), co było największą tragedią w historii tego państwa i na długo poderwało wiarę obywateli w jego siłę i prestiż w regionie.

Reakcja Jerozolimy była również bezprecedensowa. Zmasowane ataki na Strefę Gazy przyniosły śmierć 30 tysiącom jej mieszkańców, głównie cywilom. Dla porównania: dwa lata agresji rosyjskiej na Ukrainę miały kosztować życie kilkunastu tysięcy cywilów. Do tego wedle różnych szacunków mamy 1,9-2,3 miliona wewnętrznych uchodźców w Strefie Gazy i 250-500 tysięcy Izraelczyków ewakuowanych z bezpośredniego zaplecza konfliktu. Operacja izraelska trwa dalej – szykowane jest uderzenie na Rafah w południowej części Strefy, gdzie stłoczeni są obecnie jej mieszkańcy.

Wybuch konfliktu wokół Gazy i jego charakter stały się tlenem dla innych ognisk na Bliskim Wschodzie – obok Zachodniego Brzegu Jordanu także w Liba-

nie, Jemenie, Syrii i Iraku, gdzie doszło do gwałtownego zaostrzenia działań wojennych. Jest też swego rodzaju wspólnym mianownikiem dla tych wszystkich konfliktów, połączył je, zuniwersalizował i spolaryzował ich percepcję.

Bliski Wschód stał się niejako przedłużeniem konfliktu w Gazie, a potencjalne skutki Gazy nabrały regionalnego i globalnego ciężaru.

Czarne chmury nad Libanem

Tradycyjnie pierwszoplanową rolę odgrywa tutaj Liban, a ściślej: libański Hezbollah, organizacja polityczno-militarna kontrolująca południową część tego państwa i posiadająca własne siły zbrojne. Izrael zawsze postrzegał Hezbollah jako przeciwnika dużo groźniejszego niż Hamas, a ponadto organicznie powiązanego



z Iranem, który otwarcie wzywa do zniszczenia państwa Izrael.

Od samego początku obecnej wojny Izrael forsuje tezę o synchronizacji działań między Hezbollahem, Hamasem i Iranem oraz o groźbie otwarcia drugiego frontu na północy. Dla Hezbollahu presja na Izrael to rzeczywiście zarówno kwestia jego wiarygodności, jak i sens istnienia. Perspektywa nowej wojny izraelsko-libańskiej z jednej strony znacząco wpłynęła na wojskowe zaangażowanie USA w rejonie konfliktu (co miało podnieść koszty ewentualnej eskalacji), a z drugiej strony pozwoliło Izraelowi podjąć działania „uprzedzające i odwetowe” przeciwko Hezbollahowi.

Jak dotąd, do eskalacji jednak nie doszło, a efektem napięć na pograniczu libańsko-izraelskim są ograniczone mimo wszystko nękające działania Hezbollahu, wymierzone w północny Izrael i stale zaostrzające się ataki izraelskie na Liban. W ich efekcie zginąć miało blisko 400 bojowników, głównie z Hezbollahu, nie licząc strat cywilnych oraz w infrastrukturze.

Problem jednak narasta – Izrael nie może czuć się bezpiecznie, mając za miedzą Hezbollah (a w domyśle: Iran). Dopiero osłabienie albo nawet likwidacja Hezbollahu byłaby miarą strategicznego sukcesu rządu Netanjahu. W świetle spekulacji z końca lutego nie można wykluczyć, że to pełnoskalowa wojna przeciw Hezbollahowi, a nie niewdzięczne zajmowanie Rafah, będzie głównym celem Izraela.

Jemen i Huti: uderzenie w światowy handel

Kolejnym obok Libanu punktem zapalnym stał się dziś Jemen. Do tej pory

wojna, która w tym kraju trwa od 2014 r., ograniczała się do samego Jemenu (chwilami przenosząc się na teren sąsiedniej Arabii Saudyjskiej). Zaczęła się jako konflikt wewnętrzny między jemeńskimi sunnitami (wspieranymi przez Saudów) a szyitami (mającymi poparcie Iranu). Gdy górę wzięli szyici – zorganizowani w Ruch Huti – wiosną 2015 r. w konflikt zaangażowała się koalicja państw regionu na czele z Arabią Saudyjską. Rozstrzygnięcia to nie przyniosło. Dziś Huti kontrolują sporą część kraju, w tym stolicę Sanę i wybrzeże Morza Czerwonego.

Teraz, w odpowiedzi na wojnę w Gazie, Huti podjęli próby ostrzelania rakietami celów w Izraelu (nieskuteczne), a następnie, już skuteczniejsze, ostrzeliwania i zajmowania statków handlowych płynących „po sąsiedzku” – przez Zatokę Adeńską i Morze Czerwone. Zarysowała się perspektywa zablokowania jednego z najważniejszych szlaków morskich świata, okresowo skutkująca przekierowaniem dwóch trzecich transportu – zwłaszcza kontenerowego – na trasę prowadzącą wokół Afryki. Wydłuża to czas podróży o ponad 10 dni i podnosi trzykrotnie koszty transportu towarów z Azji do Europy.

W odpowiedzi na to od grudnia 2023 r. uruchomiona została operacja wojskowa „Prosperity Guardian” („Strażnik Pomyślności”), kierowana przez USA i z udziałem 20 innych państw. Uczestniczące w niej okręty i samoloty chronią statki handlowe i prowadzą regularne ataki na cele w Jemenie – na należące do Hutich bazy, stanowiska rakiet i dronów itd. Od lutego dołączyła tu unijna operacja „Aspides” i pojawiły kolejne okręty z Europy (w tym fregata z Niemiec). Sytuacja jest rozwojowa.

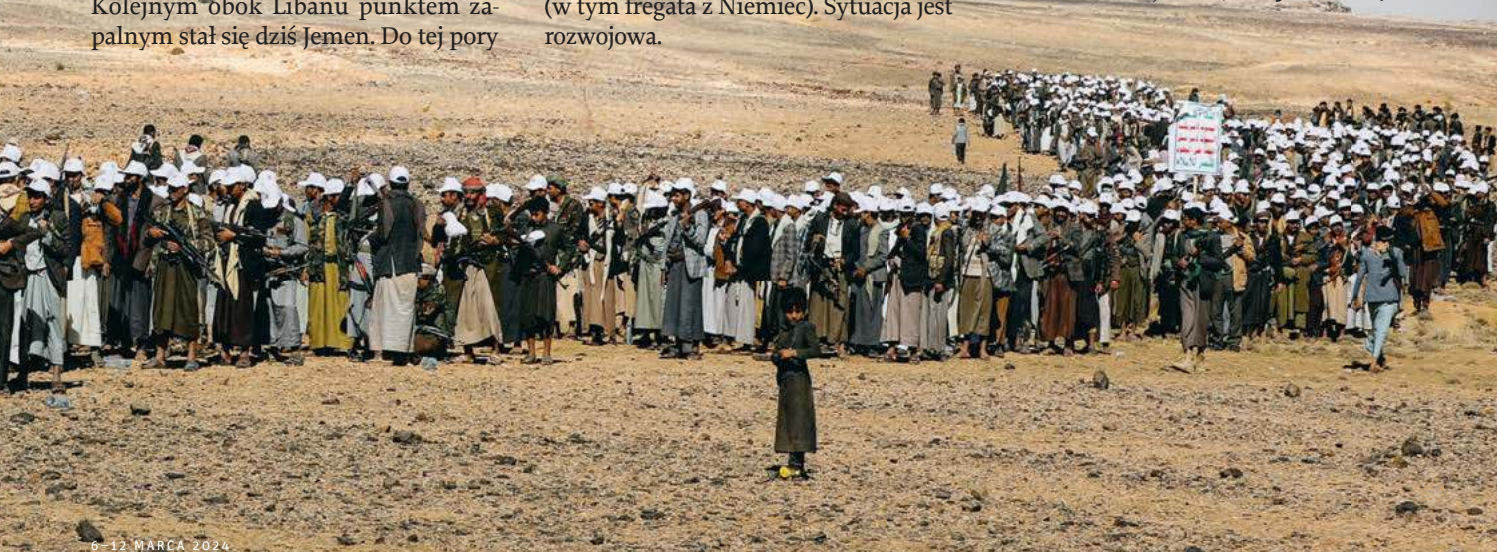
Syria i Irak: reaktywacja wojny zastępczej

Do gwałtownego zaostrzenia sytuacji doszło też na terenie Iraku i Syrii. Począwszy od października główną osią napięcia stały się tu regularne ataki raketowe, które proirańskie milicje prowadzą na bazy amerykańskie. Do lutego było ich ok. 170, a rannych zostało w nich łącznie 150 amerykańskich żołnierzy. Kulminacją był atak na bazę o kryptonimie „Tower 22”, położoną na jordańsko-syryjskim pograniczu: 28 stycznia zginęło tam troje Amerykanów.

Działaniami sił proirańskich towarzyszącą izraelskie ataki na cele irańskie w Syrii (skutek to m.in. kilkunastu zabitych wysoko postawionych oficerów irańskich, w tym szef wywiadu specjalnej jednostki Al-Qods) oraz odwetowe ataki amerykańskie, których kulminacją były zmasowane uderzenia jako odpowiedź na śmierć żołnierzy – wyraźnie zarysowała się wówczas groźba otwartego konfliktu między USA i Iranem.

Napięcie w obu krajach podnoszą tutaj dodatkowo operacje tureckie przeciw Kurdom związanym z Partią Pracujących Kurdystanu, PKK (skalę walk pokazuje 21 poległych po stronie tureckiej), aktywizacja Państwa Islamskiego (pokonane jako twór parapaństwowy, przetrwało ono pod postacią struktur podziemnych) i irańskie ataki raketowe wymierzone w cele na terenie irackiego Kurdystanu, które Irańczycy wiążą z Państwem Islamskim (szyicki Iran jest skonfliktowany z sunnickimi bojownikami Państwa Islamskiego).

Przegląd ochotników do sił zbrojnych Ruchu Hutich. Dystrykt Bani Hushaysh w Jemenie, 22 stycznia 2024 r.



Teheran pod presją

→ Niepokojącym kontrapunktem dla Gazy stały się także wydarzenia w samym Iranie.

Kraj ten doświadczył szeregu ataków cybernetycznych i bombowych na infrastrukturę krytyczną (Teheran oskarża o to Izraelczyków). Wyjątkowo krwawy i spektakularny był zamach bombowy w mieście Kerman, dokonany tam na cmentarzu w trakcie obchodów czwartej rocznicy śmierci generała Kasema Sulejmaniego. Ten legendarny szef jednostki Al-Qods, odpowiedzialny za wspieranie sił proirańskich w regionie, zginął na lotnisku w Bagdadzie, zabity rakieta z amerykańskiego drona na rozkaz prezydenta Trumpa; pochowany został w Kermanie. Dwóch zamachowców-samobójców zdetonowało w tłumie ładunki, zabijając 94 załobników. Do ataku przyznało się Państwo Islamskie.

Nadto Iran balansował przez moment na krawędzi konfliktu z nuklearnym Pakistanem, gdy 16 stycznia ostrzelał rakietami pakistańskie terytorium. W odpowiedzi Pakistan ostrzelał raketami cele na terytorium Iranu. Oba kraje atakowały tu bazy separatystów beludżyjskich – to zbrojny ruch, który za cel stawia sobie niepodległość Beludżystanu, górzystej historycznej krainy podzielonej między Iran, Pakistan i Afganistan. Ciągu dalszego jednak już nie było.

Iran: klucz do wielkiej wojny

Konflikt w Gazie uruchomił więc napięcia i konflikty o ogromnym potencjale, których (niemał) nikt nie chce, ale nad którymi niezwykle trudno jest zapanować.

Przede wszystkim: ujawnił i podniósł znaczenie niepaństwowych graczy, z całą specyfiką ich uwarunkowań, interesów i emocji, od których zależy ich oparcie społeczne. Skrajnym przykładem jest Hamas, który zainicjował obecną fazę konfliktu; w dalszej kolejności to Hezbollah, Huti, proirańskie milicje w Iraku i Syrii. Wszystkie te siły określa się – zasadniczo słusznie – mianem proirańskich i Teheranowi przypisuje się – co pozostaje już dyskusyjne – sprawczą kontrolę nad ich działaniami.

Wątek irański jest kluczowy dla potencjału eskalacji kryzysu na Bliskim Wschodzie. Przy założeniu, że Teheran istotnie stoi za działaniami swoich klientów, należałoby przypisać mu chęć nie-

ograniczonego eskalowania konfliktu kosztem Izraela i interesów USA. Przyjęcie takiej perspektywy oznaczałoby z kolei dojrzewającą od lat bezpośrednią konfrontację między Izraelem i USA z jednej, a Iranem z drugiej strony. Czyli wielki konflikt o nieprzewidywalnych konsekwencjach.

Tymczasem – mimo fundamentalnej różnicy interesów, emocjonalności i nieufności między Waszyngtonem a Teheranem – dziś wszystko wskazuje na ogromną determinację obu stron, żeby do takiego konfliktu nie doszło.

Wszystko, tylko nie eskalacja

Co uderzające, takie samo – mitygujące – podejście prezentują Arabia Saudyjska (lokalny rywal Iranu), inne państwa Zatoki Perskiej i Turcja. Wstrzemięźliwość i mitygująco działają też Stany: niezależnie od ogólnego wsparcia dla Izraela USA wysłały do regionu flotę głównie po to, aby zniechęcić Hezbollah do otwarcia drugiego frontu. Wstrzemięźliwość reagowały też na ostrzały swoich baz (aż do momentu, gdy pojawiły się ofiary śmiertelne) i unikały ataków na cele *stricto* irańskie. Sygnałem politycznym z USA było też publiczne rozważanie całkowitej ewakuacji sił amerykańskich z Syrii i Iraku.

Z drugiej strony Iran – zdecydowanie bardziej przestraszony groźbą konfrontacji, niż jej szukający, a przy tym racjonalny i wyrachowany – wspiera wprawdzie nadal swoich klientów, wykorzystuje ich jako element odstraszenia, ale jednocześnie nie wywiera presji na Hezbollah, by ten uderzył na Izrael, a także dba, by rakiety Hutich spadały tylko na jemeńskich (a nie saudyjskich) wodach terytorialnych. Wreszcie – Iran faktycznie ogranicza swoją obecność w Syrii i Iraku.

W tym ostatnim przypadku chodzi o trwającą – pod silną presją izraelską – ewakuację irańskiej kadry oficerskiej czy o spektakularną wizytę szefa Al-Qods w Bagdadzie, gdzie otwarcie dyscyplinował on szefów milicji szyickich po ostrzale „Tower 22”. Ostentacyjnie i symbolicznie wizyta ta miała nawiązać do śmierci Sulejmaniego, a praktycznie doprowadziła do zastopowania ataków na bazy USA.

Widać, że ani Iran, ani USA nie chcą wielkiej wojny w regionie. W przypadku Iranu to racjonalna kalkulacja: reżim irański jest osłabiony; uważa też, że czas gra na jego korzyść. Z kolei dla Amery-

kanów jedynym pewnym efektem byłyby niewyobrażalne koszty, zwłaszcza w roku wyborczym.

Próżnia z konsekwencjami

Kolejnym – po Iranie – kluczowym uwarunkowaniem dla sytuacji na Bliskim Wschodzie jest narastająca próżnia polityczna. Podnosi ona ryzyko destabilizacji.

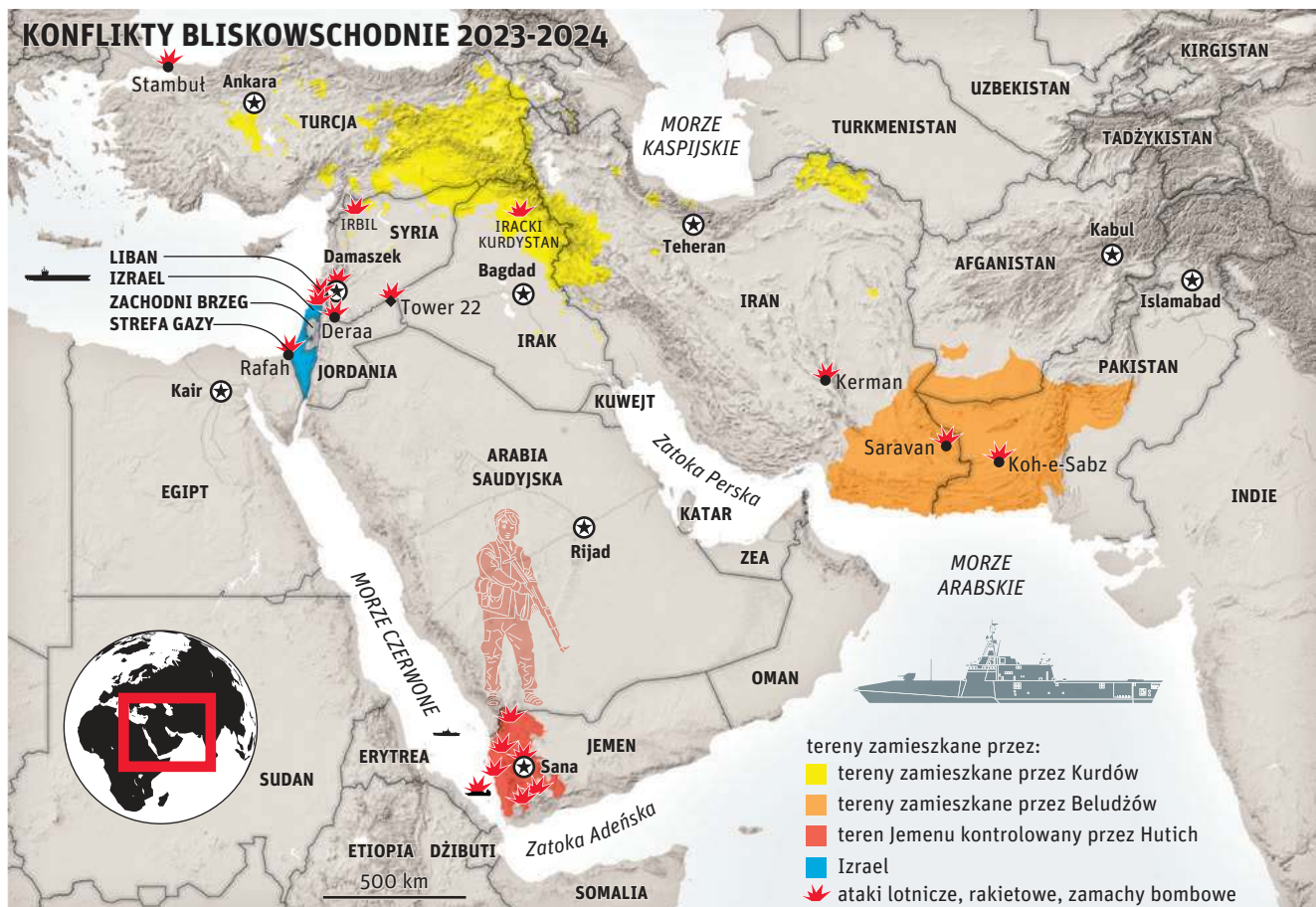
Skąd próżnia? USA od lat minimalizują swoją obecność w regionie, a możliwości Iranu do reżyserowania procesów regionalnych są ograniczone. Wprawdzie podejmuje się próby rozwijania mechanizmów osłabiania napięć. To zwłaszcza odnowienie dialogu – w miejsce konfrontacji – między Iranem a Arabią Saudyjską, Turcją a Iranem i państwami arabskimi, Izraelem a państwami Zatoki Perskiej. Będące efektem świadomości ryzyka, próby te są jednak niedostateczne wobec wyzwań.

Przykładem próżni pozostaje Syria, gdzie – mimo napięć z ostatnich miesięcy – ograniczanie swojej obecności testują zarówno Irańczycy, jak i Amerykanie, i gdzie spada sprawczość Rosji (skoncentrowanej na wojnie na Ukrainie). Inny przykład to skrajna bezradność i bierność Egiptu wobec konfliktu w Gazie.

Czas dla radykałów

Słabnięcie tradycyjnych graczy państwowych zwiększa pola działania dla graczy lokalnych, w tym niepaństwowych (np. wspomnianych sił proirańskich i szyickich). Otwiera też przestrzeń dla radykalnych sunnitów – niemal niewidocznych w ostatnich latach. Dotyczy to głównie pozostałości po Państwie Islamskim: po przerwie zaktywizowało się w Syrii (ataki na siły rządowe i Kurdów), Iranie (zamach w Kermanie) i Turcji (m.in. atak na kościół katolicki w Stambule w styczniu).

Próżnia polityczna i towarzyszące jej przetasowania w połączeniu z emocjonalnym ładunkiem wojny w Gazie tworzą klasyczną mieszanke, która – taki był schemat w ostatnich dekadach – zapowiada zmianę generacyjną i aktywizację radykałów. Skutki tego widać też poza regionem, w Europie (liczne manifestacje propalestyńskie, przy czym – podobnie jak w USA – można zauważyć konsekwentny wzrost dystansu wobec Izraela całej opinii publicznej), a także w Afganistanie i Azji Centralnej – zamachy w Kermanie i Stambule przeprowadzili etniczni Tadzycy i obywatele Rosji, a pod



stambulski kościół podjechali autem na łódzkich numerach rejestracyjnych (tureckie media piszą, że auto miało wjechać do Turcji rok wcześniej i nie było używane przez ten czas; innych wątków polskich – prócz oczywiście polskiego konsula z rodziną w kościele w czasie zamachu – tutaj nie było).

Przed egzystencjalnymi wyzwaniem znów stają Kurdowie w Syrii i Iraku, dociskani przez Turcję, a także szereg innych sił, takich jak choćby wspomniani Beludżowie, którzy przy okazji styczniowej konfrontacji Iranu i Pakistanu okazali się ich wspólnym problemem (i polem możliwej współpracy w ich zwalczaniu).

Co dalej z Gazą?

W tej tak napiętej i skomplikowanej sytuacji cały czas fundamentalną niewiadomą pozostaje Gaza. Po pięciu miesiącach walk Izrael nie rozstrzygnął starcia metodami wojskowymi i musimy liczyć się z jego kontynuacją oraz pomnożeniem dotychczasowych kosztów (zdobycie Rafah nie daje już możliwości dalszej ucieczki w ramach Gazy).

Co gorsza, Izrael powstrzymuje się od wskazania politycznych celów opera-

cji – zarówno wobec samej Gazy, jak też całokształtu konfliktu izraelsko-palestyńskiego; nie wiadomo, na jakich warunkach wojna miałaby się skończyć, o pokoju i porządku powojennym nikt w Izraelu i z Izraela nie rozmawia. Można się obawiać, że sama pacyfikacja Gazy nie wystarczy do osiągnięcia wewnętrznych celów politycznych, tj. odbudowy zaufania społeczeństwa izraelskiego wobec własnego państwa (a tym bardziej obecnego rządu).

Kuszącą opcją dla rządu Izraela pozostaje zatem wykorzystanie obecnej mobilizacji, aby podjąć próbę rozbicia Hezbollahu i odepchnięcia Iranu. Za tą pokusą idzie ryzyko konfliktu jeszcze ostrzejszego niż ten w Gazie i ryzyko bezpośredniego starcia z Iranem. To ostatnie Izrael zapewne chętnie by podjął, o ile miałby nadzieję na bezpośrednie – choćby niechętne – wsparcie ze strony USA.

Kłopoty dla Europy

Bliski Wschód od dekad „przyzwyczail” świat do tego, że jest regionem ważnym, absorbującym i potencjalnie bardzo kłopotliwym.

Z każdym kolejnym kryzysem widoczne stają coraz większe ograniczenia aktorów zewnętrznych (supermocarstw, mocarstw), rosnąca inicjatywa regionalnych aktorów państwowych z ich logiką, emocjami i interesami (Iran, obecnie zaś głównie Izrael) oraz – co najbardziej niepokojące – sprawczość niepaństwowych i antysystemowych aktorów, na czele z organizacjami terrorystycznymi (Hamas, Huti).

Jednak ta „autonomizacja” procesów zachodzących na Bliskim Wschodzie nie oznacza marginalizacji problemu. Przeciwnie, każdy kolejny kryzys w tej części świata rozszerza listę negatywnych skutków dla Europy – zarówno w kontekście problemów międzynarodowych, jak też wewnętrznych (konflikt „przenosi” się na ulice francuskie, niemieckie, brytyjskie) i tych związanych z bezpieczeństwem czy migracjami.

A przy obecnym natężeniu emocji, w roku wyborczym – w USA oraz wielu krajach Europy – oraz przy niepewności co do przyszłości Ukrainy (i jej miejsca wśród priorytetów Zachodu) problemy te ważą coraz więcej.

© KRZYSZTOF STRACHOTA

Jak Brytyjczyk z jeleniem

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

Ich liczba na Wyspach sięga dwóch milionów. Za sensacyjnym newsem, że populacja jeleni wymknęła się spod kontroli, kryje się długa historia – i tych zwierząt, i ludzi. Podążmy jej tropem.

DWA MILIONY: ZARÓWNO TA LICZBA, jak też konstatacja, iż jest to największej jeleni na Wyspach Brytyjskich od tysiąca lat (tak, tysiąca), a zatem zbyt wiele, już od pewnego czasu krążą po brytyjskich mediach.

Z populacją dzikich zwierząt jest jednak tak, że trudno o konsens. I tak, Brytyjskie Towarzystwo Jeleni kwestionuje te dane wskazując, że szacunki dotyczące liczebności tych zwierząt w ostatnich latach były często rozbieżne – wahały się od 700 tysięcy do półtora miliona.

Można się też zastanawiać, czy rzeczywistość jeleni jest coraz więcej, czy może to technologia (np. użycie dronów) sprawia, że łatwiej je policzyć. Czyli że więcej jest nie tyle jeleni, co jeleni odnotowanych. A może zmieniają się ich zachowania i częściej zbliżają się do ludzi, wchodzą z nimi w interakcję? Lub to ludzie się do nich zbliżają, budując drogi i zalesiając nowe obszary?

Najdokładniejsza nawet łączna ich liczba nie odda też sytuacji w poszczególnych regionach. Bo są miejsca, gdzie jest ich istotnie za dużo, za to gdzie indziej ich liczba jest zrównoważona. No i co to znaczy: za dużo? Za dużo dla ludzi? Czy dla samych jeleni, bo rosnące stada mogą mieć problem z dostępem do pokarmu?

Odpowiedzi są nieproste, a dyskusja emocjonalna. Również dlatego, że dziczyzna trafia właśnie do jadłospisu w niektórych przedszkolach.

GATUNKI I STRATY | Najpierw sięgnijmy do atlasu. Na Wyspach żyje dziś sześć gatunków jeleniowatych, z czego tylko dwa, jelen szlachetny i sarna, określane są jako rodzime. Cztery kolejne (daniel zwyczajny, jelen wschodni, inaczej sika, a także mundżak i jelenkowiec błotny) zostały tu przywiezione przez człowieka. Począwszy od Normanów we wczesnym średniowieczu, a skończywszy na właści-

cielach parków i ogrodów zoologicznych na początku XX stulecia.

Choć liczba jeleniowatych może być trudna do ustalenia, to już wpływ, jaki mają na środowisko i gospodarkę, można określić dokładnie. Przykładowo straty na plantacjach leśnych w Szkocji to ponad 4,5 miliona funtów rocznie, a straty rolników to ponad 4 miliony.

Dalej: z powodu kolizji z jeleniami dochodzi rocznie w Wielkiej Brytanii do 74 tys. wypadków. O połowę zmniejszyła się liczba ptaków w lasach (jelenie niszczą krzewy, ich siedliska, i obgryzają korę drzew). Zwiększa się za to liczba kleszczy przenoszonych przez jelenie.

REGULUJĄC NATURĘ | W Wielkiej Brytanii populację jeleniowatych reguluje się za pomocą odstrzału – co roku ginie kilkaset tysięcy zwierząt. Mogą robić to właściciele ziemi, na której znajduje się stado, lub osoby, którym właściciele to zleca. Nie potrzebują do tego specjalnego pozwolenia (chyba że chodzi o strzelanie w okresie ochronnym).

W ostatnim czasie te i tak liberalne przepisy jeszcze bardziej poluzowano w Szkocji, usuwając okres ochronny wobec samców, a także zezwalając na użycie noktowizorów.

Odstzał wzbudza emocje, zwłaszcza wśród fundacji prozwierzęcych. Ale i one zwykle to akceptują, podkreślając jednak, że to ostateczność. Inne propozycje regulowania populacji to ogradzanie terenu, zmniejszanie dostępności pokarmu lub metody ograniczania płodności. Każda z nich ma plusy i minusy.

Ktoś spoza Wysp mógłby zadać pytanie: dlaczego w ogóle populacja jeleni musi być kontrolowana sztucznie? Odpowiedź może zaskoczyć: jelenie nie mają tutaj żadnych naturalnych wrogów – poza człowiekiem ze strzelbą. Wilki, a także inne duże drapieżniki zniknęły

– podkreślmy: również za sprawą człowieka – już wieki temu.

Bo równowagę w środowisku naruszyć jest łatwo, a przywrócić bardzo trudno. Dobrze widać to w Szkocji.

PUSTKA PO WILKU | Romantyczne szkockie pustkowia i wrzosowiska w znacznym stopniu nie są naturalne – do ich powstania przyczynił się człowiek.

Istotne są tu trzy opowieści: o wilku, owcy i jeleniu.

Wilka nienawidzono i tępieno w wielu częściach Europy, nigdzie jednak nie robiono tego z taką skutecznością, jak na Wyspach Brytyjskich. Polowaniom służyły odpowiednie zachęty, np. za rządów władców normańskich przestępca mógł się ocalić od kary śmierci przez dostarczenie co roku odpowiedniej liczby wilczych języków.

Całkowite wytępienie wilków w Anglii zarządzono pod koniec XIII w. Już wcześniej wybito je w Walii. Najdłużej przetrwały w Szkocji, ale i tam polowano na nie z bezwzględłą systematycznością. W XV stuleciu polowanie na wilki zapisano tu w prawie jako obowiązek poddanych – za ich zabicie wypłacano nagrodę, za uchylanie się od udziału w polowaniach karano grzywną. Celowo polowano wiosną i latem, w „czas szczeniąt”.

W miarę jak wycinano szkockie gęste lasy, wilcze tereny się kurczyły – czasem nawet celowo lasy wypalano, by pozbawić te zwierzęta schronienia. Jednego z ostatnich wilków zabito około roku 1700 w górskiej dolinie koło Helmsdale w regionie Sutherland – była to wilczyca broniąca młodych w gnieździe.

Teraz przy drodze znajduje się tam kamień z wykutym napisem: „Aby upamiętnić miejsce, w pobliżu którego (według „Sztuki polowania na jelenie” Scrope’a) ostatni wilk w Sutherland został zabity przez myśliwego Polsona w lub około roku 1700”.

DUCH CZASÓW | Wspomniany tu autor, pochodzący z arystokratycznej rodziny William Scrope, był wielbicielem polowań, a także połowów łososia w szkockich rzekach. O obu tych „sportach” napisał książki, w tym wspomnianą „Sztukę polowania na jelenie” („*The Art of Deerstalking*”). Znalazły się w niej ilustracje Edwina Landseera. Tego samego, który później namalował słyn-



MEDIADUMIMAGES / SUE POOLEY / EAST NEWS

Jelenie w londyńskim Bushy Park. Wielka Brytania, 10 lutego 2024 r.

nego „Władcę doliny” („*The Monarch of the Glen*”): obraz przedstawiający potężnego jelenia z rozłożystym porożem na tle wrzosowego wzgórza. Wizerunek ten zakorzenił się w popkulturze jako symbol Szkocji.

„Sztuka polowania na jelenie”, wydana w 1838 r., to publikacja wiele mówiąca o czasie, gdy się ukazała, a także o czytelnikach, do których była skierowana. To rodzaj osobistego przewodnika z opisem najlepszych miejsc na polowanie, informacjami o rasach psów, radami i garścią lokalnych opowieści oraz ciekawostek.

W sam raz dla licznych turystów, którzy dzięki nowej linii kolejowej licznie przybywali wtedy na Północ. Szukali Szkocji opisywanej przez sir Waltera Scotta: romantycznej, dzikiej, tajemniczej. To z myślą o tych zamożnych gościach właściciele ziemscy tworzyli wtedy w Szkocji olbrzymie tereny łowieckie. Wkrótce strzelanie do jeleni – oraz cietrzewi – stało się jednym z ich głównych źródeł dochodu. A tworzenie warunków sprzyjających tym zwierzętom – priorytetem.

Skalę tego procesu widać w liczbach: w 1790 r. takich parków łowieckich było dziewięć, a na początku wieku XX aż 213.

OWCE RZĄDZA | Pomiedzy zabiciem ostatniego wilka a organizowaniem polowań

na jelenie dla zamożnych gości z Południa wydarzyło się jednak coś jeszcze.

Pod koniec XVIII stulecia w północnej Szkocji właściciele ziemscy zaczęli usuwać ludzi (tych niższego stanu) z żyznych górskich dolin. Ich gospodarstwa niszczone i zamieniano w pastwiska dla owiec, które wtedy zaczęły przynosić kolosalne zyski.

Wydarzenia te, trwające niemal sto lat, określanie są mianem „Czystek” (*Highland Clearances*). Zmieniły one krajobraz Szkocji oraz jej tkankę społeczną i kulturową, a ich skutki odczuwane są do dziś. To one sprawiły, że znaczna część Highlands – jak nazywane są górzyste obszary północnej Szkocji – jest dziś pustkowiem.

Kiedy zaś ceny wełny i baraniny spadły, miejsce owiec zajęły wspomniane już jelenie, a zyski z polowań zastąpiły wcześniejsze zyski z hodowli. Takie tereny, tzw. *sporting estates* lub *shooting estates* (dosłownie: ziemie sportowe/łowieckie), gdzie za polowanie się płaci, istnieją do dziś. W Highlands obejmują one ponad 40 proc. ziemi będącej w prywatnych rękach.

Budzą one jednak coraz większy sprzeciw nie tylko przeciwników „krwawych sportów”, ale też przyrodników i ekologów. Także z powodu ich negatywnego wpływu na środowisko naturalne i bioróżnorodność.

AWANTURA NA WYSPIE | Wracając do sporów o aktualną liczbę jeleni: jest miejsce w Szkocji, gdzie liczy się je bardzo dokładnie. To South Uist, wyspa w archipelagu Hebrydów Zachodnich.

Ponad rok temu jelenie i dyskusja o ich przyszłości podzieliły małą, bo liczącą niespełna dwa tysiące osób wyspiarską wspólnotę. Populacja jelenia szlachetnego wzrosła tam aż do 1200 sztuk, być może za sprawą mniej ścisłej kontroli stad w czasie pandemii. Rekordowy odstrzał ponad 300 zwierząt nie uspokoił jednak mieszkańców; część złożyła wnioski o całkowitą likwidację tego gatunku na wyspie. Tu dodajmy, że w 2006 r. South Uist została wykupiona przez mieszkańców i zarządzana jest przez utworzoną przez nich firmę Stòras Uibhist. To od nich zależy więc, co dzieje się na wyspie.

Zwolennicy pozbycia się jeleni argumentowali, że poczynają one sobie coraz śmielej, podchodzą bliżej, niszczą uprawy i ogrody, powodują kolizje na drogach. Wyspa ma też wielokrotnie wyższy niż reszta Wielkiej Brytanii współczynnik zachorowalności na boreliozę. Roznoszą ją kleszcze, które z kolei roznoszone są przez jelenie.

Przeciwnicy obawiali się ekonomicznych skutków masowego odstrzału, w tym utraty miejsc pracy oraz dochodów z turystyki i sprzedaży dziczyzny. ➔

→ Wtrącili się też naukowcy, apelując o odrzucenie wniosku, bo stada na South Uist są jednymi z niewielu genetycznie czystych populacji jelenia szlachetnego.

W marcu 2023 r. wniosek ostatecznie odrzucono, i to ponad dwukrotnie większą liczbą głosów. Jelenie pozostały.

NA ZACHÓD OD DROGI | – Nastroje są znacznie spokojniejsze, a od czasu zeszłorocznego głosowania z pewnością poczyniono postępy – mówi teraz „Tygodnikowi” Mel Groundsell, dziennikarka lokalnej gazety „Am Pàipear”. – Firma Stòras Uibhist niedawno przedstawiła najnowsze wyniki odstrzałów i są one wyższe, niż planowano. To oznacza, że na drodze jest mniej jeleni.

Główna droga przecina wyspę w pionie. W zachodniej części są unikatowe żyzne łąki, tzw. *machair*, trawiaste równiny i pola uprawne. Jelenie żyją raczej na wzgórzach we wschodniej części. – Opuszczają je, gdy brakuje im pożywienia. A gdy docierają na zachód, mogą zabłąkać się do ogrodów i wsi. Stwarza to też oczywiście zagrożenie na drodze – mówi Groundsell.

W tym sezonie polowań Stòras Uibhist zamierza zabić kolejne ponad 200 zwierząt. Zapowiada też, że zastrzelony zostanie każdy jeleni na zachód od drogi.

Pytam Mel Groundsell, czy współistnienie jeleni i ludzi na tak małym obszarze jak South Uist jest w ogóle możliwe. Zastanawia się: – Myślę, że zbliżamy się do lepszej równowagi. Jednak na niektóre rezultaty trzeba będzie poczekać dłużej, np. aby zmniejszenie liczby jeleni przełożyło się na zmniejszenie liczby przypadków boreliozy.

RAGOÛT Z JELENIA | Odstrzał pozostaje więc najbardziej popularną metodą kontroli populacji jeleniowatych, choć opinia publiczna jest tu podzielona.

Na popularności zyskują za to pomysły, co robić z dziczyzną, by się nie marnowała. Podkreśla się, że to zdrowe mięso i pozyskiwane w bardziej zrównoważony sposób (jeśli porównać to do wpływu na środowisko hodowli świń i bydła). Od ponad dwóch lat dziczyzna serwowana jest w szpitalach w północno-zachodniej Anglii. Do jedzenia jej zachęca też rząd.

W 2023 r. ruszył pilotażowy projekt przekazywania dziczyzny (pod postacią ragoût, gotowej już potrawy) do banków żywności. Na Wyspach rosną koszty utrzymania i coraz więcej ludzi korzysta z tej formy pomocy. Menadżer jednego z banków opowiadał dziennikowi „Guardian”, że u nich zapotrzebowanie wzrosło o 150 proc., a często nie mieli jedzenia bogatego w białko do rozdzielenia. „Te posiłki [z dziczyzny] dosłownie ratowały życie” – mówił.

Jeśli projekt się sprawdzi, dziczyzna trafi też do szkół, wojskowych kantyn i więzień.

MENU DLA MALCÓW | Decyzję o wprowadzeniu potraw z dziczyzny podjęła też w Anglii sieć żłobków i przedszkoli Tops Day Nurseries. Od początku stycznia w 32 placówkach serwowanych jest co miesiąc 3 tys. takich posiłków. Jako jeden ze swych celów sieć stawia sobie zdrowe odżywianie i edukację żywieniową dzieci, przyjęła też strategię „zero cukru”.

Skąd jednak pomysł z dziczyzną? – To było po wizycie naszej założycielki Cheryl Hadland w Szkocji, gdzie dowiedziała się, że aby kontrolować liczebność jeleni, trzeba prowadzić ich odstrzał, ale mięso wielu zwierząt nie trafia na talerze i jest marnowane. Zaczęliśmy się więc zastanawiać, czy my moglibyśmy jakoś tę dziczyznę wykorzystywać – opowiada „Tygodnikowi” Peter Ttofis, menadżer odpowiedzialny w Tops za żywienia.

– Okazało się, że dziczyzna nie tylko ma większą wartość odżywczą niż wołowina czy kurczak – dodaje Ttofis – ale że zapewnia także wysoki dobrostan zwierząt i ma zdecydowanie mniejszy ślad węglowy.

Na początek mięso jeleni wykorzystano w potrawach, które dzieci już znały. – Bardzo im smakowało! – cieszy się Ttofis. – Reakcje i opinie były niesamowite. Wielu rodziców było pozytywnie zaskoczonych, gdy powiedziano im, że dzieci jadły na lunch dziczyznę. W tej chwili ulubionymi pozycjami są zapiekanka z dziczyzny i makaronu oraz ragoût z czosnkowym pieczywem na zakwasie.

Dodajmy, że w żłobkach podawane są też dania wegańskie i wegetariańskie.

NADZIEJE | Wszystko, co dotyczy jeleni, wzbudza na Wyspach skrajne emocje, a żadne rozwiązania nie są proste. Być może istotne jest tutaj, by wyciągać wnioski z historii – dzieje brytyjskiego jelenia pokazują, jak skutki decyzji sprzed kilkuset lat odczuwalne są dziś. Przywrócenie naruszonej równowagi nie zawsze jest możliwe.

Są jednak miejsca, gdzie wyniki są obiecujące. Projekt Cairngorms Connect obejmuje w górach Szkocji 600 kilometrów kwadratowych lasów, łąk i bagien. Od 30 lat prowadzona jest tu ścisła kontrola populacji jeleniowatych, a efekty są spektakularne. Lasy się zregenerowały i rozrastają, zwiększa się bioróżnorodność, brązowe i jałowe zbocza się zazieleniły.

Jelenie też są, tylko jest ich mniej. I co istotne, naukowcy podkreślają, że jak najbardziej być tam powinny, bo też mają swoją rolę do spełnienia. Jak czytamy w ich raporcie: „Drzewa i jelenie ewoluowały, żyjąc razem, i powinny móc współistnieć w zrównoważonym i zdrowym ekosystemie”.

© PATRYCJA BUKALSKA

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

POZNAŃ, środa 6 marca, godz. 19.00
spotkanie z Adamem Kusio i Bogną Namysł,
„Porozumienie bez przemocy” / online /



KLUBTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

GRUDZIĄDZ, 8 marca piątek, godz. 17.30
rozmowa o modlitwie zainspirowana wykładem
o. Krzysztofa Pałysa, Spichlerz 57

OGÓLNOKLUBOWE, poniedziałek 11 marca, godz. 20.00
spotkanie z Martą Abramowicz,
cykl „Wiara i duchowość”,
„Czy inny Kościół jest możliwy” / online /

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



ZESKANUJ I SPRAWDŹ





Protest przeciw AfD przed Reichstagem, siedzibą parlamentu federalnego. Na plakacie sparafrazowano słowo „eikelhaft” (dosłownie: obrzydliwość). Berlin, 3 lutego 2024 r.

W alternatywnej rzeczywistości

KAMIL FRYMARK

Zmierza po zwycięstwo w landach graniczących z Polską, a bezradni wobec jej popularności politycy z innych partii rozważają nawet zakaz jej działalności. Jednak nie tylko AfD może dużo namieszać w niemieckiej polityce.

CHĘ GŁOŚNO ZAPROTESTOWAĆ PRZECIWO prawicowemu ekstremizmowi i AfD – mówiła z przekonaniem tygodnikowi „Der Spiegel” Sabrina Walter, 33-letnia matka trójki dzieci, uczestniczka demonstracji we Freisingu nieopodal Monachium.

Bawarska prowincja nie jest tutaj miejscem szczególnym. Trwające od kilku tygodni demonstracje mobilizują na ulicach niemieckich miast setki tysięcy ludzi. Impulsem dla ich uczestników były doniesienia zespołu dziennikarzy śledczych Correctiv. Wynikało z nich, że w trakcie konspiracyjnego spotkania pod Poczdamem w listopadzie ubiegłego roku politycy Alternatywy dla Niemiec (AfD), pojedynczy politycy CDU (z prawego „skrzydła” tej partii) oraz biznesmeni i specjaliści od mediów społecznościowych opracowywali plan „remigracji” – wyrzucenia z Niemiec części mieszkańców o migracyjnych korzeniach.

Co piąty głos

To właśnie ujawnienie faktu tego spotkania, co miało miejsce w połowie stycznia, doprowadziło do fali protestów. Wymierzone są w AfD – ugrupowanie skrajnie prawicowe, antyimigracyjne oraz mające zabarwienie prorosyjskie.

Zarazem demonstracje odciągają uwagę od niepopularności rządu kanclerza Olafa Scholza (SPD), a wszystkich krytyków polityki migracyjnej czy klimatycznej ich uczestnicy często wrzucają do wspólnego „worka” z radykałami. Na transparentach można przeczytać, że głosowanie dziś na „prawicę” (niem. *Rechts*) jest niczym głosowanie kiedyś, ponad 90 lat temu, na partię Adolfa Hitlera.

Strach przed AfD nie bierze się znikąd. W sondażach partia ta – założona w 2013 r. na fali sprzeciwu wobec polityki kanclerz Angeli Merkel w czasie kryzysu w strefie euro – jest dziś na drugim miejscu: głos na nią deklaruje mniej wię-

cej jedna piąta niemieckich wyborców. Wyprowadza ją tylko chadecja (CDU/CSU).

Poparcie dla skrajnej prawicy nie wynika jednak z faktu, że nagle dwadzieścia kilka procent Niemców stało się zwolennikami radykałów. Ma ona swoje korzenie przede wszystkim w niezadowoleniu z rządów obecnej koalicji socjaldemokratów (SPD), Zielonych i liberałów (FDP). W sondażach aż ponad 80 proc. pytanym wyraża opinię, że kanclerz Scholz nie radzi sobie z wyzwaniem. Jako największe fiasko polityki Scholza wskazuje się nową fazę kryzysu migracyjnego i koszty polityki klimatycznej. Część wyborców, zwłaszcza w landach wschodnich, uważa też, iż niemiecka pomoc dla Ukrainy jest zbyt duża.

W każdym z tych obszarów AfD proponuje radykalnie inną, alternatywną politykę. Przyciąga to do niej rozczarowanych wyborców.

Co by było, gdyby...

Trend ten widać również w stale rosnącej liczbie członków AfD. W roku 2023 wzrosła ona znacząco, bo aż o jedną trzecią – do 40 tysięcy.

Wszystko to sprawia, że nad Łabą i Sprewą coraz intensywniej debatuje się także nad możliwymi skutkami wyborczych sukcesów AfD. A te są dziś bardzo realne. Jesienią tego roku wybory do landtagów, parlamentów krajowych, odbędą się w dwóch landach sąsiadujących z Polską, w Saksonii i Brandenburgii, a także w Turynii. Wszędzie tam AfD uzyskuje w sondażach najwięcej głosów, co najmniej 30 procent.

Zwycięstwa AfD w Dreźnie, Poczdamie i Erfurcie byłyby nie tylko szokiem dla Niemców. Stałyby się również testem dla systemu politycznego Niemiec. Nawet bez zdobycia samodzielnej większości zwycięskie ugrupowanie może utworzyć rząd mniejszościowy, poszukujący doraźnego wsparcia.

W takim przypadku AfD – już jako partia rządząca – przejęłaby kontrolę m.in. nad landowymi ministerstwami spraw wewnętrznych, w których kompetencjach jest współdecydowanie o polityce migracyjnej na terenie landu, w tym o pomocy uchodźcom ukraińskim. Znaczący wpływ rządząca w landach AfD miałaby też na edukację, gdzie landy cieszą się autonomią, jak też na mianowanie szeregu urzędników, np. w policji. Mogłaby dokonywać

→ także zmian w polityce energetycznej i klimatycznej krajów związkowych.

Dotkliwe skutki mogłoby to mieć również w sferze polityki historycznej Niemiec, której obecne założenia AfD fundamentalnie podważa, m.in. nazywając Pomnik Pomordowanych Żydów Europy w centrum Berlina „pomnikiem wstydu”.

Wzmacnianie „bezpieczników”

Zarazem wpływ AfD na politykę na szczeblu federalnym byłby ograniczony. Ugruntowany od 75 lat podział władzy, z licznymi formami konsultacji i podejmowania decyzji na podstawie kompromisu między federacją a landami, zabezpiecza przed gwałtownymi zmianami.

Najważniejszym bastionem („bezpiecznikiem”) przed ewentualnymi zakusami na zmianę niemieckiego ustroju politycznego jest Federalny Trybunał Konstytucyjny. Jego orzeczenia, pod warunkiem ich przestrzegania, ostatecznie przesądzą o legalności podejmowanych działań przez polityków. Piętą achillesową tego systemu są zasady dotyczące wyboru i kadencyjności sędziów Trybunału, które uregulowane są na poziomie ustawowym, a nie konstytucyjnym.

Dlatego w Berlinie toczy się dziś debata na temat nowelizacji ustawy zasadniczej, tak aby konstytucyjnie zabezpieczyć dwunastoletnie kadencje sędziów. Miałby to być jeden z „bezpieczników” na wypadek sukcesu AfD także w wyborach do Bundestagu.

Zakazać? Nie zakazać?

Zasadnicza debata dotyczy jednak możliwości zakazania działalności AfD. Większość Niemców nie popiera takiego kroku, uznając, że lepszą drogą do ograniczenia wpływów AfD byłaby zmiana polityki przez inne partie i rozwiązywanie tych problemów, które napędzają popularność Alternatywy dla Niemiec.

Za wszczęciem procedury, która prowadziłaby do zakazu, opowiada się 37 proc. respondentów. Uważają oni, że zakaz taki już dziś uzasadniają antydemokratyczne postawy liderów AfD, w tym przejawy antysemityzmu w partii. Już dziś Alternatywa dla Niemiec, a także jej organizacja młodzieżowa są oficjalnie obserwowane przez Urząd Ochrony Konstytucji (odpowiednik polskiej ABW).

Jednak wymagania dla zakazu działalności partii politycznej – wydaje go

W Niemczech kształtuje się silny blok prorosyjski: AfD i nowa partia BSW są otwarcie rzecznikami interesów Rosji.

Federalny Trybunał Konstytucyjny po przeprowadzonym postępowaniu – są wysokie. W historii Republiki Federalnej miało to miejsce tylko dwukrotnie, wkrótce po powstaniu demokratycznych Niemiec Zachodnich. W 1952 r. Trybunał zakazał działalności Socjalistycznej Partii Rzeszy (nawiązującej do tradycji NSDAP), a w 1956 r. Komunistycznej Partii Niemiec, uznając, iż jej cele są sprzeczne z konstytucją i porządkiem wolnościowo-demokratycznym.

Utracona przewidywalność

Sceptycy zauważają, że postępowanie przed Trybunałem byłoby długotrwałe i nie wpłynęłoby na najbliższe wybory, zarówno te w landach wschodnich, jak do Bundestagu w 2025 r. Obawiają się też, że mogłoby to wręcz przynieść skutek odwrotny do zamierzonego: zmobilizować wyborców, którzy będą postrzegać AfD jako ofiarę zмовy partii tzw. głównego nurtu.

W ostatnich latach dwukrotnie próbowano zakazać działalności jawnie nazistowskiej partii NPD, jednak bez powodzenia. Pierwsza próba nie udała się z powodu obecności tajnych współpracowników kontrwywiadu w strukturach partii. W drugim przypadku Trybunał uznał NPD za ugrupowanie marginalne, bez szans na realizację swojego programu.

Niezależnie od tego, jak skończy się dyskusja o zakazie AfD, niemiecka scena polityczna staje się coraz bardziej dynamiczna – i traci swoją przewidywalność.

Najbardziej widać to w landach wschodnich, które są probieżem zmian. Już we wrześniu można tam spodziewać się nie tylko zwycięstw AfD, ale też ogromnych problemów w tworzeniu koalicji rządowych.

Wagenknecht i Maassen

Utrudnić mogą to dwa nowe, powstałe właśnie ugrupowania, które liczą na poparcie Niemców rozczarowanych rządem Scholza.

Najpoważniejszym konkurentem dla AfD jest nowa partia, która – jako pierwsza w Niemczech – w swojej nazwie używa swojej liderki. To Związek Sahry Wagenknecht (BSW), założony na początku stycznia przez byłą liderkę postkomunistycznego ugrupowania Partia Lewicy (Die Linke), jedną z najbardziej charakterystycznych i zarazem kontrowersyjnych polityczek w Niemczech.

Jej popularność dobrze było widać w połowie lutego w Bawarii – landzie, w którym lewica nie cieszy się przychylnością wyborców. Przed planowanym spotkaniem z Wagenknecht w Pasawie organizatorzy zarezerwowali restaurację na 150 osób. Nie starczyło miejsca dla chętnych i duża część sympatyków musiała przenieść się do ogródka, w którym spotkanie było transmitowane.

Przez swoich sympatyków Sahra Wagenknecht jest postrzegana nieomal jako zbawczyni, która przeprowadzi bezpiecznie kraj przez szereg kryzysów, radykalnie ograniczając migrację czy postulując kapitulację Ukrainy w imię pokoju.

Kilka tygodni po powstaniu BSW swoją partię założył Hans-Georg Maassen, były polityk CDU i były szef Urzędu Ochrony Konstytucji, obecnie sam obserwowany przez służby. Nosi nazwę Unia Wartości (Werteunion), ma profil prawicowy, a tworzą ją rozczarowani sympatycy chadecji.

Czekając na wyborczy test

Kalendarz polityczny jest dla nowych partii korzystny. W czerwcu będą wybory do Parlamentu Europejskiego, a we wrześniu w landach wschodnich, gdzie szczególnie popularna jest Sahra Wagenknecht. W Turynii jej partia może liczyć na 17 proc. głosów, w Brandenburgii na 13 proc., a w Saksonii na ok. 10 procent.

Sądząc po sondażach, oba nowe ugrupowania mogą osłabiać przede wszystkim AfD. Równocześnie jednak mogą okazać się wygodnymi partnerami koalicyjnymi dla AfD – i w ten sposób finalnie przyczynić się do zdobycia przez nią władzy w landach wschodnich.

Efektom byłaby nie tylko zmiana polityki wobec uchodźców i migrantów czy rewizja celów klimatycznych, ale przede wszystkim ukształtowanie się silnego bloku prorosyjskiego – zarówno AfD, jak i Sahra Wagenknecht są otwarcie rzecznikami interesów Rosji. © KAMIL FRYMAK



Naszych podopiecznych nie trzeba oswajać ze śmiercią, tylko z ludźmi

To już 13. rok naszej działalności z osobami przewlekłe i nieuleczalnie chorymi. Prowadzimy hospicjum domowe oraz stacjonarne na wiejskich terenach wschodniego Podlasia, świadcząc bezpłatną pomoc najbardziej potrzebującym w kresu życia. Na przestrzeni lat coraz częściej spotykamy się z nadużyciami wobec starszych, schorowanych pacjentów. Nie godzimy się na to! Chcemy zadbać o ich ostatnie chwile!

Trudne pierwsze spotkania

Pan Stanisław trafił do naszego hospicjum kilka miesięcy temu. Pierwsze spotkanie było trudne. Zmęczony chorobą, otumaniony lekami, ledwo mógł usiąść, ale nie to było najgorsze. Z daleka można było wyczuć przynębienie, rozżalenie, niechęć do ludzi, depresję w najgorszej z możliwych postaci. Ten smutek był tak dojmujący, że udzielał się nam wszystkim. Wiedzieliśmy, że miał złe doświadczenia z poprzednią placówką – wzdragał się na każdy nasz dotyk. – Natychmiast uczuliłem swój personel, że z tym pacjentem będziemy postępować „powoli”. Nie narzucając się zbyt, robiąc swoje, ale stojąc jakby trochę z boku. Będziemy tłumaczyć Panu Stanisławowi każdą rzecz, którą będziemy przy nim robić – zaczynając od badań, a skończywszy na czynnościach higienicznych czy karmieniu. Wiedziałem, że musimy dać mu dużo czasu, żeby oswoił się z nami, żeby uwierzył, że może być inaczej niż dotychczas, lepiej – mówi dr Paweł Grabowski, założyciel i lekarz w Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza.

Przywracać godność

Powoli, ze spokojem i właściwą empatią udało nam się zmienić nastawienie Pana Stanisława, dzięki czemu również jego organizm zaczął nabierać sił. W oczach pojawił się blask, narodziła się przyjaźń z Panem Tomaszem z łóżka obok. Teraz we dwóch na wózkach przemierzają korytarze hospicjum i wyjeżdżają na dwór. – Ostatnio widziałem, jak siedzą przed drzwiami z dziewczynami z biura i śmieją się, że nie mają opon zimowych na kołach swoich wózków – wspomina Doktor Paweł. Empatia, godność, poczucie zaopiekowania i taka zwykła życzliwość ludzka są czymś niezwykle ważnym na ostatnim etapie życia.

Oswajać nie ze śmiercią, a z ludźmi

Pana Stanisława nie trzeba było oswajać ze śmiercią, a z ludźmi. Wie, że umrze, że ten dzień nadejdzie niebawem. Najważniejsze dla niego, zresztą jak i dla wielu naszych podopiecznych, jest szacunek i empatia. Zaopiekowanie i godność, których zabrakło na etapie choroby oraz późniejszego pobytu w szpitalu.

– Wielu naszych podopiecznych doświadcza dramatycznych sytuacji w szpitalach, innych ośrodkach całodobowego pobytu, a nawet w domach. Widzimy to w ich oczach czy nastawieniu, z czasem zaczynają również mówić. Uważam, że najważniejsze, co powinniśmy, a nawet musimy zapewnić, to właśnie godne umieranie. Aby te ostatnie chwile były możliwie jak najlepsze, uwzględniały potrzeby i stan pacjenta – mówi doktor Paweł Grabowski.

Czy to wstyd „oddać” osobę nieuleczalnie chorą do hospicjum?

Nie ma mowy o żadnym oddawaniu, to jest powierzenie podopiecznego opiece hospicjum. TO NIE WSTYD! Nie każdy jest w stanie poradzić sobie z całodobową opieką, zwłaszcza medyczną. Nie każdy ma możliwość zapewnienia dobrych warunków w domu. Niejednokrotnie sami podopieczni nie chcą być ciężarem dla nikogo z domowników – to wpędza ich w poczucie winy, zależności, wstydu, a to z kolei powoduje pogorszenie stanu psychicznego chorego. Poczucie winy pacjenta oraz irracjonalne poczucie wstydu rodziny, że nie podołali opiece – to wszystko powoduje wiele frustracji w relacjach rodzinnych.

Hospicjum to dalej życie!

– Celebруем życie, dopóki się da. Obchodzimy święta Bożego Narodzenia zasiadając przy wspólnym stole, dzieląc się opłatkiem lub prosforą. Są prezenty i wspólne śpiewanie kolęd. Obchodzimy urodziny z naszymi pacjentami. Przed nami Wielkanoc, na stole nie zabranie święconych jajek i drobnych upominków – mówi dr Paweł Grabowski.

Naszą rolą jest służyć. Sprawić, aby te ostatnie chwile, dni, miesiące, lata były naprawdę dobrym umieraniem, bez bólu, w poczuciu godności i miłości, na jaką zasługują. Nasza praca nie kończy się tylko na uśmierzaniu bólu i fachowej opiece medycznej. Dajemy bliskość, cierpliwość, rozmowę – to, czego najbardziej potrzeba na ostatnim etapie życia.

Hospicjum na wsi

Mieszkańcy wsi mają średnio 2-2,5 razy gorszy dostęp do opieki zdrowotnej niż mieszkańcy miast. Jeszcze kilkanaście lat temu gospodarze mieli po 60 lat. Radzili sobie i byli dumni z dzieci, które wykształcili i które mieszkają i pracują w dużych miastach. Teraz mają 80+, często są już sami i ciężko chorzy. Wieś się wyludnia, starzejące się społeczeństwo, brak sklepów, aptek, komunikacji oraz ograniczony dostęp do opieki medycznej sprawia, że nasi podopieczni pozostawieni są sami sobie. Od ponad 12 lat prowadzimy hospicjum domowe na wiejskich terenach wschodniego Podlasia, a w lipcu 2022 roku otworzyliśmy wiejskie hospicjum w Makówce (gmina Narew).

Jak to robimy?

Objęliśmy bezpłatną opieką hospicyjną ponad 750 osób nieuleczalnie chorych w ich domach. Odwiedzamy naszych podopiecznych, wykonujemy podstawowe badania, zabiegi rehabilitacyjne i medyczne. Dostarczamy leki, sprzęt rehabilitacyjny i środki higieniczne. Służymy im wsparciem psychologicznym i towarzyszymy im do ostatnich chwil. Miesięcznie personel nasz pokonuje około 9 tys. km, aby dotrzeć do wszystkich potrzebujących.

Pobyt w hospicjum stacjonarnym również jest całkowicie bezpłatny dla podopiecznego. Może się wydawać, że skoro budynek stanął, to już po problemie – dalej pobyt pacjenta finansuje system opieki zdrowotnej. Niestety tak różowo nie jest: hospicjum dysponuje 28 łózkami, ale kontrakt z NFZ zabezpiecza finansowo tylko część kosztów. Rachunki za media, transport, nawet leki są poza tym wsparciem. – Dlatego, żeby zapewnić taką pomoc, na którą zasługuje każdy chory, w dodatku przez lata placący składki na opiekę zdrowotną, potrzebujemy więcej – nie ukrywa dr Paweł.

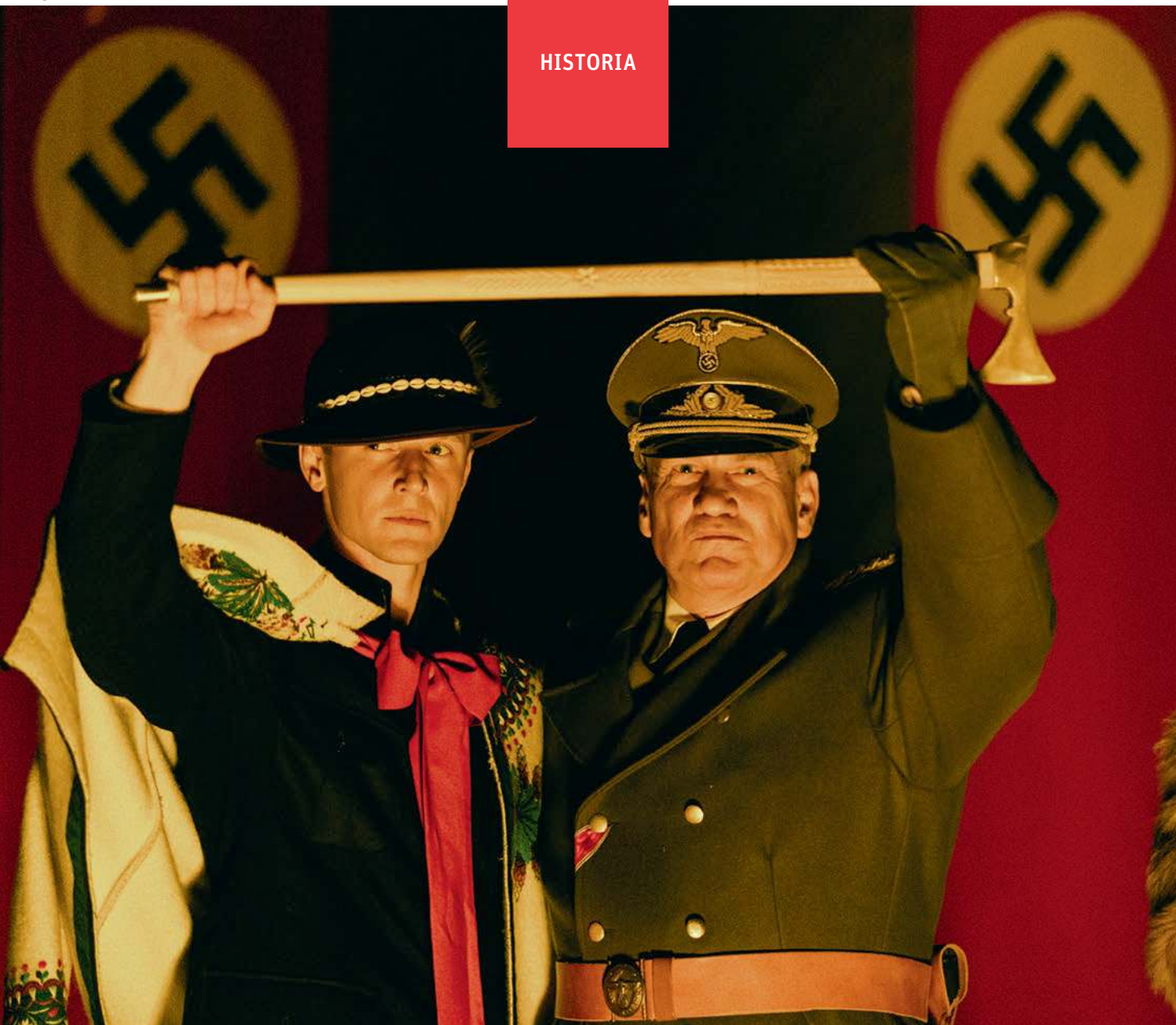
1.5% z miłości do ostatnich chwil

To właśnie dzięki darczyńcom możemy pełnić swoją posługę i zadbać o ostatnie chwile naszych podopiecznych. Dzięki wpłatom płynącym prosto z serca możemy działać, pomagając nie tylko podopiecznym, ale też rodzinom w tym trudnym czasie. Dlatego prosimy, pamiętaj o nas przy przekazywaniu 1,5% swojego podatku z miłości do ostatnich chwil. Ostatnie chwile naszych podopiecznych są tak samo ważne jak każde inne. Pomóż nam o nie zadbać!

PRZekaż 1,5% z miłości do ostatnich chwil!

KRS 0000 328837 www.hospicjumeliasz.pl/1procent/





PODHAŁE W PŁOMIENIACH

Niewiele filmów budziło tyle emocji na długo przed powstaniem. Ale to nie „Biała odwaga” je rozpałała, lecz wyobrażenie o tym filmie – i historia, którą wielu zamiotłoby pod dywan lub zamknęło w pracach historyków.

BARTEK DOBROCH



ADAM GOLEC / MONOLITH

Filip Pławiak, Joachim Paul Assböck
i Katarzyna Zawadzka w filmie
Marcina Koszałki „Biała odwaga”.

z polskich górali, którzy zadeklarowali się jako członkowie Goralenvolku, narodu góralskiego, nigdy nie powstała. Spośród 300 werbowanych do niej górali większość szybko zdezerterowała. Historia zna nazwiska tylko sześciu spośród co najwyżej kilkunastu mieszkańców Podhala przyjętych do Waffen-SS.

Rozbieżność nazwisk

Choć film „Biała odwaga” może sugerować, że Góralski Legion powstał, to w gruncie rzeczy także jego filmowe istnienie jest efemeryczne. Balansuje między prawdą historyczną a legendą, a nawet groteską, ubraną w strój białego niedźwiedzia z Krupówek.

Bo i w całej historii Goralenvolku – kolaboracji górali z III Rzeszą podczas II wojny światowej – wciąż jest sporo nieodpowiedzi. Wiele odpowiedzi zaginęło wraz z dokumentami i ideologami ruchu Henrykiem Szatkowskim i Witalisem Wiederem (ich powojenny los jest niejasny). W przypadku drugiego nieznany jest nawet wizerunek. Na jedynym zachowanym zdjęciu stoi plecami do obiektywu – i wiemy tylko, że ten działający już przed wojną na Podhalu agent Abwehry (niemieckiego wywiadu) był postawny i łysy.

Trudno byłoby więc oczekiwać od filmu fabularnego, by trzymając się ściśle faktów, opowiedział historię zdrady – tak jak w opatrzonej takim podtytułem książce „Goralenvolk” postarał się ją oddać historyk Wojciech Szatkowski. Zbieżność nazwisk nieprzypadkowa: w pracy swojego życia autor zmierzył się też z historią rodzinną, historią swego dziadka.

Jego nazwisko nie pada jednak w „Białej odwadze” – filmie inspirowanym historią Goralenvolku, choć nieskupiającym się na temacie zdrady. Nie pojawiają się w nim też żadne inne nazwiska kolaborantów lub innych uczestników wojennego dramatu na Podhalu.

Kuzyni z Komitetu

Reżyser Marcin Koszałka nie nakręcił filmu, który zadowoliłby wszystkich. Niepocieszeni mogą być zarówno ci, którzy oczekiwali ostrego rozliczenia z góralską kolaboracją, jak i ci, którzy Goralenvolk uważają za ideowo i liczebnie nieistotny

epizod w historii Podhala, w której to historii kino powinno – ich zdaniem – podkreślać bohaterstwo i poczucie polskości górali, przeważające nad zdradą. Zawiedzeni mogą być też ci, którzy oczekiwali po „Białej odwadze” lekcji historii mało znanej czy zgoła nieznannej.

Tymczasem nie ma tu nawet najmocniej kojarzonego z Goralenvolkiem jego lidera Wacława Krzeptowskiego, przedwojennego wiceprzewodniczącego Związku Górali, przemianowanego w zależności od Niemców Goralenverein. Nie pojawiają się w filmie inni znani agitatorzy, jak jego kuzyni Adam, Andrzej i Stefan, ani zastępca Krzeptowskiego w Komitecie Góralskim Józef Cukier (po wojnie skazany za kolaborację). W filmie nie pada nawet nazwisko generalnego gubernatora Hansa Franka, a pierwszego gubernatora okręgu krakowskiego Ottona Wächtera możemy jedynie utożsamiać z esesmanem w czarnym płaszczu od Hugo Bossa o filmowym nazwisku Bruno Berg.

Fabula i historia

Czy zatem „Biała odwaga” to w ogóle film historyczny? I tak, i nie. Jeśli za historyczny film uznamy tylko taki, który dąży do dokumentalnej precyzji – jak „Krwawa niedziela” czy „Lot 93” brytyjskiego reżysera Paula Greengrassa – wówczas odpowiedź będzie przecząca. Inaczej, gdy rozszerzymy to pojęcie o fabułę traktującą przeszłość z większą swobodą, podporządkowującą ją wymogom scenariusza – choć, rzecz jasna, cały czas osadzoną w realiach. Przykładem takiego filmu może być grany aktualnie w kinach „Kos” Pawła Maślony, fikcyjna opowieść o postaci realnej, o Kościusce.

Jeśli na drugim biegunie wobec „dokumentalisty” Greengrassa umieścimy filmy Quentina Tarantino, np. „Bękarty wojny” (nawiązujące do konkretnej epoki, II wojny światowej, ale wykorzystujące kamerę i wizję artystyczną do odwrócenia jej biegu w sposób zupełnie ahistoryczny), wtedy film Marcina Koszałki znajdzie się gdzieś pomiędzy.

Zdarza się mu tworzyć historię całkowicie alternatywną, to powracać na tory tej właściwej, gdy ekranowa wizja zaczyna zaniechać rozbiegać się z prawdą historyczną. W wielu miejscach podąża z kolei za faktami, poruszając się albo po torach historii równoległej, albo z zastosowaniem metody ich syntezy, którą

PLA-KAT BYŁ SUGESTYWNY. TEN PIERWSZY, zapowiadający film. Widoczny na nim mężczyzna bez twarzy ubrany jest w góralskie portki z parzenicami i białą koszulę ze spinką, ale zamiast cuchy – tradycyjnej wełnianej kurtki ze zdobieniami – ma czarny mundur. No i w klapie swastykę, a na ramieniu nawiązujący do niej symbol, złożony ze skrzyżowanych ciupag. Całości dopełnia napis na rękawie: *Goralische Legion, Legion Góralski*.

Symbolika to mocna, ale niewiele mająca wspólnego z rzeczywistością. Planowana jednostka Waffen-SS złożona

→ Koszałka wyraźnie lubi. Choćby w scenie po bankiecie na Wawelu, która koresponduje z faktycznym hołdem złożonym przed Hansem Frankiem przez delegację górali na czele z Krzeptowskim.

Ten hołd miał miejsce dzień po Sonderaktion Krakau, akcji aresztowania wykładowców krakowskich uczelni. Tymczasem filmowa sekwencja łączy go z serią egzekucji Polaków w forcie „Krzesławice”, które faktycznie zaczęły się kilka dni później.

Ulepieni z życiorysów

Podobnie jest z postaciami. – Te autentyczne, jak Szatkowski, Wiedera, inne osoby zaangażowane w Goralenvolk, były dla nas inspiracją – mówi mi Łukasz M. Maciejewski, scenarzysta (wraz z Koszałką). – Wiedzieliśmy, że jest to zbierania, którą trzeba skumulować, co oznaczało, że nie robimy filmu biograficznego czy historycznego odwzorowującego fakty jeden do jednego, ale kreację opartą na prawdziwych wydarzeniach. Zwłaszcza że choć znaleźliśmy dużo ciekawych postaci, to w sensie dramaturgicznym nie udało się znaleźć idealnego układu protagonista-antagonista.

Takiego układu można by doszukiwać się w rodzie Krzeptowskich: w jego losach mocno rysuje się granica między zdradą a bohaterstwem, między kolaboranckim „księciem góralskim” (jakim zwał się Waclaw) a „królem kurierów tatrzańskich”, na które to miano zasłużył jego kuzyn Józef, żołnierz konspiracji.

Analogii do Krzeptowskich można by dopatrywać się w przedwojennych i wojennych losach filmowych braci Zawratów, Jędrka i Maćka. Jednak główny bohater Jędrzek Zawrat ulepiony jest z życiorysów wielu postaci: Henryka Szatkowskiego (ten już przed wojną nawiązał kontakty z hitlerowskimi ideologami pragnącymi zakrzewić na Podhalu ideę Goralenvolku) czy Andrzeja Krzeptowskiego, górala-inteligenta, aktora i narciarza, który po 1939 r. w roli jednego z Führerów Goralenvolku „ze wszystkich wódzów był najsprytniejszy i najinteligentniejszy” (jak pisał Juliusz Zborowski).

Siedem lat w Tatrach

Inaczej jednak niż narciarz Krzeptowski, filmowy Jędrzek Zawrat jest wspinaczem. A nawet wizjonerem tej sztuki – jak niegóral Wiesław Stanisławski, którego od-



Adam Woronowicz i Julian Świeżewski w filmie Marcina Koszałki „Biała odwaga”.

twórca głównej roli Filip Pławiak przypomina fizjonomią (jednak Stanisławski zginął w Tatrach w 1933 r.).

Do wytyczenia nowej drogi wspinaczkowej na Kazałnicy Jędrka Zawrata namawia zaś Wolfram von Kamitz, niby-odpowiednik Wiedera, choć z pasji (ukoronowanej przejściem północnej ściany Eigeru) przypominający raczej Heinricha Harrera – austriackiego alpinistę i gorliwego nazistę, w Tatrach nieobecnego. Grający Kamitza blondwłosy i niebieskooki Jakub Gierszał przypomina Brada Pitta z ekranizacji „Siedmiu lat w Tybecie”. Pokazuje slajdy z Lhasy i prowadzonych tam badań antropologicznych. Faktycznie w 1938 r. Himmler wysłał do Tybetu w poszukiwaniu „ras panów” zespół naukowców.

Pierwowzorem postaci von Kamitza może być także antropolog Anton Plügel, autor opracowania o rasowej odrębności górali i germańskich wpływach w ich kulturze. Potwierdzenia tej tezy Plügel szukał w nazwach wsi, jak Waksmund czy Grywałd (wywodzących się istotnie ze średniowiecznego niemieckiego osadnictwa), w używanej w podhalańskim zdobnictwie (choć na długo przed Hitlerem) swastyce, zwanej tam krzyżkiem niespodzianym, a także w teorii o związku metalowych spinek góralskich z gockimi, a więc germańskimi.

Goralenvolk bowiem – za czym film „Biała odwaga” podąża – miał jako idea czysto niemiecki rodowód. Dopiero do jej zasiewu na Podhalu Niemcy zwerbowali jako swoich agentów wpływu także samych górali.

Podhalański Bergfilm

Marcin Koszałka podporządkował historię również swojemu reżyserskiemu ma-

rzeniu o nakręceniu filmu górskiego nawiązującego do jego przedwojennej tradycji i niemieckiego rodowodu.

Prekursorem filmu górskiego (niem. *Bergfilm*) był w latach 20. XX w. Arnold Fanck, a podążał za nim Luis Trenker, pochodzący z Południowego Tyrolu. W ich filmach aktorzy grali na autentycznych alpejskich ścianach i lodowcach, a wątek wspinaczkowy spletał wysokogórskie plenery, romantyczne motywacje, akcje opartą na legendzie lub surowym życiu miejscowych górali.

Wszystko to Koszałka przeniósł na tatrzański grunt. Tytułowa „Biała odwaga” nawiązuje do używanej przez wspinaczy magnezji (w filmie prezentuje ją Kamitz), choć określenie jej mianem „białej odwagi” i wykorzystanie we wspinaczce to pomysł późniejszy, z lat 50. Także wspinaczka prezentowana w filmie przez głównych bohaterów – z użyciem treningowej sztucznej ścianki, dwóch czekanów itd. – wyprzedza swój czas. Trudności skalne, kiedy filmowy Jędrzek Zawrat wspina się na ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu Wielkiego, Filarze Kazałnicy czy lodospadzie Superściek, były faktycznie pokonywane w podobnym stylu przynajmniej trzy dekady później.

Koncept Niemca przybywającego w Tatry z umiejętnościami zdobytymi w Alpach ma odbicie w historii, a motyw partnerstwa liny między wspinaczami z podzielonych wojną nacji pojawił się już w filmie Luisa Trenkera i Karla Hartla z 1931 r. „Góry w płomieniach” („Berge in Flammen”). Tam jednak austriacki góral-przewodnik i włoski arystokrata wspinają się latem 1914 r. razem w Dolomitach, by rok później walczyć po przeciwnych stronach frontu alpejskiego. W „Bia-



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Gubernator Hans Frank z wizytą w Zakopanem. Listopad 1939 r.

łej odwadze” jednak – odwrotnie do tamtej przyjaźni, która przetrwała wojnę – lina, jaką nazistowski alpinista chce się związać z górskim taternikiem, staje się symbolem kolaboracji.

„Wacusz, bedzies wisioł”

Idźmy dalej tym tropem. Oto naprzeciw scen, które nie mają odzwierciedlenia w źródłach historycznych, stoją słowa niemal dosłownie z nich wyjęte – jak przypięta do drzwi jednego z bohaterów kartka z napisem „Bedzies wisioł za co-sik...” (nawiązująca do przysłówki „Hej, pockoj, Wacusz, bees wisioł za coś”) czy niemal dosłownie użyty cytat z Krzeptowskiego: „Albo bierzecie kenkarty góralskie, albo 20 kilo na plecy i won z Podhala”. To nawiązanie do gróźb ze strony liderów Goralenvolku, pod jakimi odbywała się akcja nakłaniania górali do pobierania okupacyjnych kart rozpoznawczych oznaczonych literą „G”.

Widoczny w góralskiej chałupie portret Hitlera wisiał faktycznie wśród malowanych na szkło świątków w restauracji U Wnuka (w czasie wojny: Zum Goralen), którą prowadziła Karolina Rojowa, uczestniczka hołdu na Wawelu. A żydowskie sklepy rzeczywiście przejmowane były przez górali-kolaborantów, choćby przez Bolesława Krzeptowskiego – brata Wacława, tak jak on straconego w styczniu 1945 r. przez oddział AK.

Film nawiązuje też do przeprowadzanych na mieszkańcach Szaflar i innych podhalańskich wsi niemieckich badań antropologicznych, mających na celu segregację rasową. Ich ślady odnaleziono dopiero w 1997 r. w waszyngtońskim archiwum opisywała potem etnologa Stanisława Trebunia-Staszela.

Wiele scen w tym filmie może budzić opór górali – jak powitanie Franka w Zakopanem. Ale i one mają oparcie w autentycznych zdjęciach górali tańczących przed Niemcami. Także podczas wizyty Heinricha Himmlera. W filmie tańczących polskich górali – przy ognisku, wśród powiewających flag ze swastyką – zagrać musieli jednak Słowacy, bo żaden regionalny zespół taneczny nie zgodził się na występ w „Białej odwadze”.

Temat fabularnie omijany

Produkcję „Białej odwagi” na długo przed jej powstaniem oprotował Związek Podhalań – wcześniej często relatywizujący działalność Goralenvolku. Echa tego słychać w liście skierowanym przez jego Zarząd Główny do ówczesnego ministra kultury Piotra Glińskiego. Wyraża on oburzenie na wywiad z reżyserem, w którym mówił on, że „Goralenlistę podpisało wielu górali, w tym głowy najpotężniejszych góralskich rodów” (jakby nazwiska Krzeptowski, Bachleda-Curuś, Trzebunia czy Cukier brzmiały działaczom obco). Liderzy Związku ubolewali też, że w filmie nie ma bohaterów konspiracyjnej Konfederacji Tatrzańskiej i kurierów, gdy „to ich sylwetki i czyny należałoby tym razem przypomnieć”. Może nie pamiętali filmów, które o tych ostatnich nakręcono.

Tymczasem temat góralskiej kolaboracji był dotąd w filmie fabularnym nieknięty (nie licząc wątku niemieckiej infiltracji środowiska sportowców zimowych w „Zniczu olimpijskim” i wzmianek w niehistorycznych obrazach, jak serial „Forst”).

Wnikliwiej z tematem obchodziła się literatura, zwłaszcza kryminał Małgorzaty i Michała Kuźmińskich „Śleboda”,

obficie bazujący na aktach tzw. procesu góralskiego i poruszający temat powojennej zмовы milczenia wokół tematu. Skutkiem tej zмовы była też rozproszona i fragmentaryczna historiografia – choć temat poruszali związani z Podhalem naukowcy i publicyści Janusz Berghauzen, Henryk Jost, Włodzimierz Wnuk.

Znaczącą zmianę przyniosło dopiero ostatnie piętnastolecie i praca wymienianych już wcześniej historyków, zwłaszcza Wojciecha Szatkowskiego. A także upowszechnienie zdobytej przez nich wiedzy w tekstach i książkach dziennikarzy, jak Bartłomieja Kurasia i Pawła Smoleńskiego.

Postscriptum do obrazu

Czołowi znawcy tematu, choćby zajmujący się naukowo wojennym Podhalem i opiniujący początkowo scenariusz historyk Dawid Golik z IPN, odmówili roli konsultantów filmu.

– To jest dobry film, do wizji artystycznej historyk nie może się przyczepić. Problem w tym, że ktoś, kto nie zna historii okupacji Podhala, może uznać, że film oddaje rzeczywistość – mówi mi Golik. I uzupełnia filmowy obraz o brakujące dane: – Kolaborantami możemy nazwać ok. 250 działaczy Komitetu Góralskiego. Natomiast ci, którzy przyjęli kenkarty góralskie, te 18 procent ludności, takimi kolaborantami nie byli – uważa historyk.

Oprócz fikcyjnego munduru i kulisów powoływania górali do SS, Dawid Golik wskazuje także na inne wątpliwe aspekty filmu: – Prawie nie ma tam podziemia, poza nieokreśloną grupką partyzantów i jednym kurierem tatrzańskim. Jest wprawdzie wpleciony wątek Holocaustu, ale społeczeństwa Podtatrza poprzez kadry tego filmu nie poznamy. Widzimy w kolejnych scenach prawie wyłącznie Niemców i górali, jakby enklawę osobnej kultury. To celowe pokazanie separatyzmu, którego tak naprawdę nigdy nie było.

– Wiedza o tym, że czegoś nie było, nie oznacza, że nie mogło tego być – broni filmowej wizji współscenarzysta Łukasz M. Maciejewski. – Nikt nie rozstrzelał Hitlera w kinie, jak w „Bękartach wojny” Tarantino. Natomiast wszyscy strasznie klaskali, gdy zobaczyli to na ekranie. My jako twórcy możemy to zrobić.

© BARTEK DOBROCH

LAS UTRACONY

Jeszcze 8 tysięcy lat temu wiewiórka mogła,
skacząc z drzewa na drzewo, przejść z terenu dzisiejszej
Lizbony do Moskwy, ani razu nie dotykając ziemi.
Potem pojawili się rolnicy.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

WJEDNEJ Z NARNIJSKICH OPowieści C.S Lewisa książkę Kaspian rozmawia na szczycie Wielkiej Wieży z przedstawicielem rodu karłów o Dawnych Czasach. Chłopiec słyszy od rozmówcy, że ludzie „zawsze żyli w nieprzyjaź-

ni z drzewami. A ponieważ bali się lasu, wyobrażali sobie, że tam straszy”.

Nie wiadomo, czy ten lęk był jednym z powodów, dla których ludzkość prowadziła już w „dawnych czasach” systematyczną wycinkę. Walijski geograf

Michael Williams książkę „Wylesianie Ziemi – od prehistorii do globalnego kryzysu” z 2003 r. zaczyna od słów: „Przerzedzanie, modyfikowanie i eliminowanie lasów – a w szczególności deforestacja – nie jest czymś nowym; jest tak stare jak zamieszkiwanie Ziemi przez ludzi i jest jednym z kluczowych procesów w historii naszej przemiany powierzchni globu”. Dzieje lasów to w każdym razie historia deforestacji. Jednak współczesna nauka, wyposażona w nowe metody, ma o zmianach zachodzących w lasach do powiedzenia znacznie więcej.

Ile lasu w lesie

Najwięcej wiemy o historii lasu w Europie, bo tu najprościej pozyskać dane – ze źródeł pisanych, archeologicznych i palinologicznych. Pierwsze dotyczą etapu, kiedy człowiek był już kronikarzem; relacje w basenie Morza Śródziemnego pochodzą z czasów antycznych. Nie mniej ważnymi repozytoriami informacji są wykopiska z późnego holocenu, świadczące pośrednio o naszym stosunku do lasów. Z kolei dzięki palinologii, czyli badaniu



pyłku roślin w próbkach ziemi, można pozyskać olbrzymią ilość informacji nie tylko o obecności drzew na danym obszarze, ale też o ich zmieniającej się w czasie liczebności, o chorobach, powodziach, suszach czy działalności człowieka – np. pojawienie się w próbkach pyłku roślin pastewnych czy zbóż to dowód obecności hodowców i rolników. W przypadku palinologii zachodnia supremacja jest najwyraźniejsza, bo duże zbiory danych wymagają kosztownych technologii obliczeniowych.

Zanim jednak zaczniemy analizować dane, trzeba ustalić... definicję lasu. Michael Carlowicz, popularyzator nauki z NASA, w tekście „Czy to jest las? Zależy, jak go zdefiniujesz”, omawia mapy Ziemi wykonane z wykorzystaniem danych z orbity. Na jednej zaznaczono teren pokryty drzewami w 10 proc., co zgodne jest z najpopularniejszymi definicjami lasu, na drugiej – w 30 proc. Różnica między tymi obszarami to 6 proc. powierzchni ziemskich lądów – co odpowiada terytorium Chin.

Z problemem tym zderzyły się w USA dwie agencje rządowe. Jedna przyjęła definicję lasu jako terenu pokrytego drzewami

w 10 proc., druga w 25 proc., a rozbieżność była wielkości Białorusi. Wiąza się z tym kwestie prawne czy ekonomiczne (urzędnicy woleliby mniej lasu w lesie – wtedy otrzymają wyższe dofinansowanie od hektara – za to rolnicy, przeciwnie, więcej, żeby *lege artis* poszerzać areale). Ale także badacze historii lasów muszą troszczyć się o te spójności. Są one warunkiem stworzenia modelu analitycznego i najczęściej przyjmuje się, w zgodzie z rozporządzeniem Parlamentu Europejskiego, że las jest wtedy, gdy teren nie mniejszy niż pół hektara pokrywają korony drzew w stopniu większym niż 10 proc.

W każdym razie w europejskich lasach tkwi klucz nie tylko do zrozumienia naszej przeszłości. Ich badanie może nam także pozwolić naszkicować scenariusze przyszłości.

Wiewiórczy szlak

W Centrum Edukacji Przyrodniczej UJ można odbyć wirtualny spacer po lesie rosnącym na obszarze dzisiejszego Krakowa 300 mln lat temu. Karbońska flora nie miała jednak wiele wspólnego z naszą i naukowcy zajmujący się współczesnymi lasami swoją opowieść rozpoczynają pod koniec ostatniego zlodowacenia, kilkanaście tysięcy lat temu. Do niedawna cofano się o 130 tys. lat, do okresu między zlodowaceniami, czyli interglacjału, zwanego eemskim, aby snuć analogie między dzisiejszym ociepleniem klimatu a tamtymi temperaturami. Wówczas Arktyka w okresach letnich była wolna od lodu, a Grenlandię porastała tajga. W 2012 r. zbadano jednak próbki kalcytu ze skorupki otwornic, niewielkich żyłatek, i ustalono, że eemski klimat był mimo wszystko ostrzejszy, a „ciągły transfer ciepła oceanicznego z południa” omijał kontynent i „przegrzewał” biegun północny. Sprzyjało to stepowieniu, lasy spychane były nad Morze Śródziemne.

Interglacjał zakończył się ok. 115 tys. lat temu, gdy nastąpiła epoka lodowa. Europejskie lasy zaczęły się wycofywać i jedynie skupiska ocalały na zboczach gór na Półwyspie Iberyjskim. Gdy co jakiś czas robiło się cieplej, gdzieś tam pojawiały się drzewa iglaste, jednak w epoce lodowej zmarzlina sięgała do połowy dzi-

siejszej Francji, a od Alp przez Karpaty do Skandynawii ciągnął się pas lodu o miąższości do 3 km. Jedynie na zachodzie kontynentu spotkać można było oazy brzoź, karłowatej wierzyby czy jałowca.

Ocieplenie przyszło 14 tys. lat temu i w naszej części Europy pojawiła się tundra, a dalej na południe odrodziły się lasy iglaste. Po kolejnym tysiącu lat klimat znów zrobił wolte, warunki były zimne i suche i w tzw. młodszym dryasie po raz kolejny niemal na całym kontynencie znikły lasy; na południu Francji, w Grecji czy dzisiejszej Hiszpanii ostała się roślinność borealna i tundrowa, na północy wróciły lody. Powodem tych zmian były procesy związane z zasoleniem mórz i oceanów, powodujące zmianę gęstości wody i zaburzące prądy morskie. Minęło kolejne 1,3 tys. lat, gdy zaczęło się wyraźne ocieplenie i nasza „klimatyzacja” – Prąd Zatokowy – przyczyniła się do anomalii trwającej do dziś. Dzięki temu zimą mamy cieplej o 3-4 stopnie niż po drugiej stronie Atlantyku, a lato jest łagodniejsze i nie tak suche.

Drzewa potrzebowały setek lat, żeby znów rozgościć się w Europie. Najpierw wróciły sosny, potem centrum kontynentu zdominowały buki, w górach linia lasów podnosiła się, ostatecznie sięgając w Alpach 2,5 tys. m, czyli o 150 m wyżej niż dziś. Lasy pokryły Skandynawię, pojawiły się na Islandii i ok. 9 tys. lat temu Europa doświadczyła drzewnego apogeum. Od 80 do nawet 100 proc. jej powierzchni pokrywały lasy. – Jak okiem sięgnąć, od nizin francuskich przez środkowo-europejskie po nizinę środkoworosyjską – mówi nam dr Mirosław Stepaniuk, geolog, przewodniczący Stowarzyszenia Dziedzictwo Podlasia i były dyrektor Białowieskiego Parku Narodowego – wszędzie szumiały w swoim bezkresie nieprzebrane bory i lasy.

By to unaocnić, Stepaniuk przywołuje słowa badacza zmienności zalesienia Europy, prof. Neila Robertsa z Uniwersytetu w Plymouth: „Okolo 8 tys. lat temu wiewiórka mogła skakać z drzewa na drzewo od Lizbony do Moskwy, ani razu nie dotykając ziemi”.

Czas katedr i karczowisk

„W życia wędrowce, na połowie czasu, (...) w głębi ciemnego znalazłem się lasu” – pisał Dante, a za nim Gombrowicz i w rzeczy samej człowiek musiał wypracować sobie →



Drewno przygotowane do transportu niedaleko miejscowości Sokol, obwód wołogodzki, Rosja, marzec 2021 r.

→ relację z lasami. Stało się to wcześniej, niż większość z nas przypuszcza. Ok. 4,5 tys. lat p.n.e. w Europie nasi przodkowie wypalali już lasy, aby pozyskać grunty rolne. Na podstawie badań palinologicznych szacuje się, że z początku zniszczenia były niewielkie, ale 2,5 tys. lat p.n.e. przyspieszyły. W artykule „Utracone lasy Europy”, opublikowanym w „Nature” w 2018 r., dostrzeżono korelację między tym procesem a „rozprzestrzenianiem się technik rolniczych”. Wyliczono nawet, że poszczególne rozwiązania agrarne „migrowały” przez kontynent „w tempie 1 km rocznie z południowego wschodu na północny zachód i dotarły nawet do najdalszych wybrzeży Europy do 3000 r. p.n.e.”. Zdaniem naukowców zaangażowanych w REVALS, jak dotąd największego badania zmian pokrycia terenów Europy, deforestacja osiągnęła wtedy olbrzymią skalę. Człowiek wypalił 40 proc. lasów i to nie tylko na obszarach, gdzie sięgała jurysdykcja Cesarstwa Rzymskiego. Podobny spadek lesistości dotyczył także terenów dzisiejszych Niemiec czy Wysp Brytyjskich.

Według geoeologów kolejnym obok rolnictwa czynnikiem wpływającym na wylesianie była bliskość szlaków handlowych, co z kolei wiązało się ze „wzrostem liczby ludności, innowacjami technologicznymi, działaniami wojennymi i kolonizacją sprzyjającą (...) wymianie idei”. Nadrzędną ideą była zaś koncepcja rabunkowej eksploatacji surowców naturalnych i właśnie ok. 3-4 tys. lat temu, a nie w czasach dużo późniejszej rewolucji przemysłowej, zaczęto postrzegać naturę w kategoriach ekonomicznych.

Postępująca deforestacja miała też punkty zwrotne. Pierwszy ok. 600 r. n.e., kiedy załamał się system powiązany z cywilizacją rzymską. Odzwierciedliło się to w badaniach palinologicznych i w mrocznych początkach średniowiecza, kiedy lasy odebrały ludziom część swoich terytoriów. Drugi przypada na koniec XV i pierwszą połowę XVI w., gdy od dżumy zginęła nie mniej niż połowa Europejczyków. Wtedy lasy ponownie upomniały się o swoje arealy.

Drugi z tych momentów, pisał m.in. oksfordzki ekolog Oliver Rackham, poprzedzony został największą w dziejach

uzależnioną od człowieka utratą lasów w historii Ziemi. „Rekonstrukcja dokonana przez Schlütera – a więc niemieckiego geografa z Halle, czytamy w publikacji z „Nature” – wskazuje na spadek lesistości [w całej średniowiecznej Europie] z aż 72 do 34 proc.”. Do tego momentu w dziejach odwoływał się też francuski historyk, specjalista od bastyd, prowansalskich miasteczek-warowni, określając XIV i XV w. „czasem wielkich karczowisk”.

Wycinanie po polsku

Termin *les grands défrichements* stosował też przywoływany wcześniej Williams i uznał, że dotyczy on zwłaszcza Europy Środkowej i Północnej – także dzisiejszej Polski.

Wypaliliśmy i rżnęliśmy na potęgę nasze lasy i nie bez kozery etymologia nazwy Polska odwołuje się, według najpopularniejszej koncepcji, do pola lub polany. Jeszcze mocniej widać to w alternatywnej nazwie Lachowie czy Lachy, jakiej używają w stosunku do nas m.in. Węgrzy i Turcy. Wywodzi się ona od Lędzian, a to słowo związane jest z lędą, czyli słowiańskim określeniem, zapożyczonym ze słownika gospodarki żarowej, na obszar będący przyszłym polem.

Te językoznawcze refleksje znajdują potwierdzenie w palinologii. Z analizy pyłku z próbek polskiej ziemi wiemy, że do ok. 1950 r. obowiązywała u nas zasada „większa gęstość zaludnienia to większe wylesianie”. Na Zachodzie ta prosta reguła przestała być użyteczna do opisu deforestacji już w XVII w. Podobnie jest z powiązaniem dynamiki wylesiania z jakością gruntów. Na wschód od Odry jeszcze w XX w. obowiązywała zasada „im lepsza ziemia, tym mniej lasów”. W Europie Zachodniej ostatecznie zerwano z tą prawidłowością w XIX w. I było to nie tylko świadectwem zmian w tamtejszych gospodarkach, opartych na przemyśle, handlu i wyzysku kolonialnym, ale stanowiło odzwierciedlenie faktu – nie było już czego wycinać; np. Anglicy jeszcze w czasach feudalnych doprowadzili do sześcioprocentowej lesistości (obecnie wynosi ona 10 proc., w Polsce – 30 proc.).

Zapewne więc prawdziwa byłaby konstatacja, zgodnie z którą wpływ na ogólną

kondycję naszych lasów miało zapóźnienie cywilizacyjne tej części kontynentu. Dowodów na to jest wiele, ale my sięgnijmy po uzasadnienie z pogranicza reportażu i literatury. Henryk Sienkiewicz w 1882 r. udał się w podróż po kraju i tak opisał moment zbliżania się do najśłynniejszego polskiego lasu:

„Rzecz dziwna, lasów naokoło puszczy nie ma wcale, a wzrok lecieć może daleko, nim zgubi się w oddaleniu. Łatwość o drzewo z puszczy i niezmierna jego taniość sprawiły zapewne, że okoliczne wioski wycięły swoje bory. Ale okolica, a raczej jej malowniczość, na tem straciła. Jak okiem sięgnąć: rżyska, rżyska, łąny rozległe, smutne. Wsie wielkie, o porządnym zabudowaniach i jaskrawych, nowo-wzniesionych cerkwiach, leżące w środku pól, nie okolone są, jak gdzie indziej, dąbrowami, ni olszyną. Robi to wrażenie pustki, choć kraj tu żyzny, gleba pszeniczna, a osady szlacheckie i chłopskie bogate”.

Ostatni azyl

Trudno kwestionować tę obserwację, jednak w przypadku Puszczy Białowieskiej do dziś funkcjonują stereotypy dotyczące wycinki. Tomasz Samojlik, biolog i popularyzator przyrody, próbuje je odkłamywać i przypomina, że największym dewastatorem byli nie polscy monarchowie czy lokalna ludność, a carowie i to oni traktowali las jako synekurę, którą nagradzali spolegliwych poddanych. Możemy się o tym przekonać naocznie, wystarczy, że w mapie Google wyszukamy Białowieżę i przełączymy na widok satelity. Trójkąt o boku 5 km, który jak klin wbija się w las już po stronie białoruskiej, na wysokości wsi Rowbick, to część puszczy, jaką caryca Katarzyna II sprezentowała generałowi Piotrowi Rumiancewowi w podzięce za podbój Rzeczypospolitej. Ten z podarunkiem zrobił to, co zwykli robić kolonizatorzy – wycisnął jak cytrynę.

Niestety w przypadku polskich lasów ostatnie lata przynoszą więcej analogii z XIX-wieczną industrializacją czy nawet kolonialnym wyzyskiem. A przecież obcując z unikalnym drzewostanem, jesteśmy jak książę Kaspian na szczycie Wielkiej Wieży – oglądamy „coś, czego żaden z żyjących do dziś ludzi jeszcze nie widział i już nie zobaczy”.

© MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI

ELIZA

Kacka: Skreślam Łazarza



AUTOBUS 119, JAZDA KU METRU. TRÓJKA STARSZYCH. Pierwsza: „I końca nie widać. Teraz Pegasus”. Druga: „Boże! A to co?”. Starszy: „Maszyna do podsłuchiwania PiS-u”. Pierwsza: „Nie dość aresztowań, jeszcze to cierpienie”. Pauza. „Ale kto podsłuchiwał?”. Starszy: „Ruskie”. Pierwsza: „A nie liberały?”. Starszy: „Co za różnica? Wszystko agenci”. Druga: „Ja na Pegaza nie wpadłam. Mało wychodzę. Ale policja?”. Starszy: „Co policja?”. Druga: „Trzeba było złapać!”. Starszy: „Eetam, wszystko agenci”. Pierwsza: „Ja się o PiS nie boję. Oni nie mają nic do ukrycia”. Druga: „Tak! Jest Wielki Post. Prezes to cierpienie na pewno ofiaruje. Ja ofiaruję Pegaza za Polskę”.

LIDL, KOLEJKA, PRZED MĄ DWIE SZEŚCZDZIESIĘCIOLETNIE. „Koniec lutego, pani Krysiu”. „Niech mi pani nie przypomina, tragedia”. „U mnie już się cieszą na Wielkanoc”. „Nienawidzę tych świąt”. „Najważniejszych! Tak nie można”. „Są za krótkie. I zawsze mi po nich smutno”. „Krótkie, ale radosne, kolorowe!”. „Nie. Kiedy byliśmy dziećmi, tydzień był jeszcze coś wart. Teraz miesiąc mija szybciej”. „Bo dziecku inaczej się liczy”. „Może, ale ja się upieram, że mamy inflację czasu”. „Y?”. „No co? Złoty może mieć inflację, a czas nie?”.

AUTOBUS 503, MATKA Z DZIECKIEM. „MAM NA JUTRO WALENTYNKĘ dla Pana Jezusa”. „Napisz »Kocham Cię, Panie Boże«”. „Ale to dla Jezusa”. „Też przeczyta, to jedna osoba”. „Książkę ocenia pomysłowość, zobacz”. Daje matce zeszyt. „Dlaczego się podpisałeś »Łazarz«?”. „Było na lekcji, że się kochali”. „Nie kochali się!”. „?”. „To dwaj faceci”. Pauza, mały z zezem zdziwienia. „Ale skąd ci przyszedł ten Łazarz?”. „Bo go Jezus wyciągnął z grobu”. „Wskrzesił”. „Też bym kochał Jezusa, jakby mi to załatwił”. Matka patrzy na mnie przerażona. „Załatwił ci zbawienie”. „Walentynka za zbawienie? Nieee, musi być coś ekstra”. „Boże jedyny”. Mały negocjacyjnie: „Skreślam Łazarza i podpiszę »Maria Magdalena«, żeby było od babki”.

PARK MORSKIE OKO, CZYTAM SOBIE. NA SĄSIEDNIEJ ŁAWCE GOŚC nieco młodszy koczuje z książką. Otwiera, zamyka, kręci się podminowany. Złapał się kontakt wzrokowy. Już prawie się poderwał, ale zwątpił i oklapł. Po chwili słyszę jednak: „Zna się pani na Biblii?”. „Hm, nie wiem, troszkę”. Dosiadł się migiem: „Pomoże mi pani?”. „U, jeśli potrafię”. „Mam na-

rzeczona, od środy”. „Aha”. „Ona jest ogólnie poszukująca”. „Uhm”. „I ja się boję, że ktoś mi ją chce podebrać”. „Nono”. „Przeczyta pani te dedykacje. To jej prezent urodzinowy od kolegi z kancelarii”. „Uhu, Kohelet”. „To się pani zna?”. „Eetam, ma pan tu skrót Ekl przy cytatach. A pan czytał te »Listy zza grobu«?”. „A po co?”. „Nie wiem, może tu jest odpowiedź”. „U Mroza? Nieee. Niech mi pani powie, co to znaczy”. „Matko. Że lepiej nie ślubować niż ślubować...”. „Ha! No więc tu zdjął gacie. Ale ten drugi cytat?”. „Że marność nad marnościami?”. „Aha”. „Nie wiem, jaki w tym może być podryw...”. „Aaa, więc pani też myśli, że to podryw!”. „Pan tak myśli, ja tylko czytam”. „A trzecie?”. „O jedzeniu, picu i zażywaniu szczęścia? Hm”. „No, to jest jasne”. „To po co pan pyta?”. Spojrzał z dziką desperacją: „Bo nie mogę zrozumieć, że można kogoś rwać na Biblię!”.

PORADNIA PSYCHOLOGICZNO-PEDAGOGICZNA. PRZYSZŁO SIĘ DO dokumentację, siedzi się, czeka. Matka pierwsza: „Psycholog mi powiedział, że Antoś robi postępy”. Matka druga: „To najważniejsze”. Ojciec pierwszy: „Agnieszka podobno przystopowała, ale nie panikujemy z żoną. Dostanę za tydzień wyniki testów na inteligencję...”. Matka druga: „Powodzenia”. Ojciec pierwszy: „...liczę na wysoki iloraz. A potem się zajmimy psychologią”. Matka druga: „Nam zlecili sesję rodzinną, ale terminy nie do wzięcia, mąż ciągle w pracy. Ale my się nie kłócimy”. Matka pierwsza: „Antoś mógłby lepiej pracować w grupie. Teraz ćwiczymy koordynację oko-ręka”. Ojciec drugi: „A może dzieci są dla niego niemiłe?”. Matka pierwsza: „Nie, Antoś nawiązuje kontakt tylko wtedy, jak coś potrzebuje. Tak mówi psycholog”. Ojciec drugi: „Aaaa”. Matka pierwsza: „No i teraz zostaje kwestia, czy mu to nie przeszkodzi w dobrym starciu w szkole”. Matka druga: „Jest na to terapia?”. Matka pierwsza: „No właśnie czekam na rozmowę o możliwych oddziaływaniach”.

DWIE W METRZE, WIEK WCZESNOSTUDENCKI. ZACZYNA SIĘ CIEkawie, telefon pod ręką. „Odpisał ci?”. „Nie wiem, zablokowała go”. „Weź, głupia, podobałaś mu się”. „Zaczął mi pisać, że kocha żonę i że nie odejdzie”. „No luz, chciałaś rozvodu?”. „Potem mnie spytał, czy jestem lesbijką”. „E?”. „Dalej, że w sumie szkoda, że nie, bo to podniecające”. „To chyba OK”. „Dopisał, że jego żona jest seksi, i przysłał zdjęcie”. „Ło!”. Raptem się obudził, że nie wie, jakie noszę majtki, i zaczął mnie pouczać, co kręci facetów”. „Koronki?”. „Też. Dodał, że lubi BDSM, a w domu nie ma okazji”. „Haha”. „Ale też bez przesady, bo to grzech. I wkleił modlitwę przebiegłą”. „Co?!”. „Potem pisał, że jednak idzie na spowiedź, by się oczyścić. A potem, że go zwodzę”. „Ta”. „No, a w końcu, że mam chaos w życiu emocjonalnym i jestem toksyczna”. „Bosz, Alka, po co ty z nim wchodziłaś w takie rozmowy?”. „Nie wchodziłam”. „Jak nie?”. „Nie wchodziłam. To był monolog. Godzinę mu to zajęło. Słowa nie napisałam, przysięgam”. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na powszech.net/wspieram

faniMani.pl



Wernisaż wystawy „Daj mi wszystko”, daru Teresy i Andrzeja Starmachów dla muzeów krakowskich. W tle cykle fotograficzne Marty Deskur. Bunkier Sztuki, 29 lutego 2024 r.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 10/2024

Kolekcja Starmachów w krakowskich muzeach

PIOTR KOSIEWSKI

W otwartym po długim remoncie Bunkrze Sztuki można zobaczyć dzieła kilkunastu artystek i artystów, które Teresa i Andrzej Starmachowie przekazali dwóm krakowskim instytucjom: MOCAK-owi oraz Muzeum Fotografii MuFo.

Dar Starmachów wpisuje się w krakowską tradycję donacji i jest już porównywany do darowizny Feliksa „Mangghi” Jasieńskiego, który w 1920 r. ofiarował miastu liczącą blisko 20 tys. kolekcję dzieł, w tym unikalny zbiór sztuki japońskiej. Darowizna Jasieńskiego znacząco zmieniła profil tutejszego Muzeum Narodowego.

Podobnie dzieła ofiarowane przez Starmachów mogą wpłynąć na kształt dwóch młodych muzeów, posiadających nadal dość skromne zbiory. Jednak dużo istotniejsze jest pytanie, czy ta darowizna będzie miała wpływ na postawy innych kolekcjonerów i przyczyni się do tworzenia tradycji przekazywania dzieł do zbiorów publicznych.

Bez wyrobienia takiego obyczaju nasze kolekcje muzealne nadal będą bardzo skromne – dziś największe światowe instytucje nie są w stanie sobie poradzić bez prywatnego wsparcia.

MOCAK otrzymał 79 dzieł lub ich zespołów, MuFo – 344 prace. Znacząca jest jednak nie tylko liczba ofiarowanych obiektów, ale też obecność wśród nich obiektów kluczowych dla naszej sztuki. Są wśród nich wszystkie prace składające się na ważną wystawę Tadeusza Kantora „Wszystko wiśi na włosku”, pokazaną po raz pierwszy w Galerii Foksal w 1973 r. – to osiem niezagruntowanych, surowych płócien, do których artysta dodał wymyki z „realności gotowej”, jak deska, parasol, koło, kwiaty czy

Grzech nie kupić

ANDRZEJ STARMACH, GALERZYSTA I KOLEKCJONER:

Nawet ekonomiści mówią dziś o tzw. efekcie Sasnała. Jego malarstwo było w Polsce punktem zwrotnym zainteresowania młodą sztuką.

PIOTR KOSIEWSKI: Wiele się mówi o boomie na rynku sztuki w Polsce. Wzrosło zainteresowanie sztuką współczesną, poszły do góry jej ceny. Zwiększyła się też liczba osób nabywających dzieła. Czy można mówić o odrodzeniu kolekcjonerstwa?

ANDRZEJ STARMACH: Trudno mówić o odrodzeniu, wcześniej musiałby istnieć u nas obyczaj kolekcjonowania sztuki. Przed II wojną światową, a nawet wcześniej, w domach mieszczańskich pojawiało się malarstwo, jednak ta praktyka miała niewiele wspólnego z konsekwentnym budowaniem kolekcji. Owszem, były wyjątki, jak zbiory Izabeli Czartoryskiej, Stanisława Kostki Potockiego czy Ignacego Korwin-Milewskiego. U nas, w Polsce – inaczej niż w wielu innych krajach – nie było nawyku, aby myśleć o poszczególnych dziełach jak o całości kolekcjonerskiej.

W czasach PRL-u także powstawały różnorodne zbiory, przede wszystkim były to dary od artystów. Nawet słynna niegdyś kolekcja Wojciecha Siemiona w dworku w Petrykozach obejmowała wiele przypadkowych obiektów. Świadomie budowana kolekcja powinna mieć określony program oraz celowo wybrane dzieła konkretnych artystów.

A rynek? Na pewno stał się większy i lepiej zorganizowany. Jeżeli jednak mówimy o boomie na sztukę, to pamiętajmy, że jesteśmy dużym krajem w środku Europy, a cały obrót rynku aukcyjnego w Polsce to zaledwie cena jednego drogiego obrazu sprzedanego na aukcji w świecie. To pokazuje, w jakim miejscu jesteśmy. Wracając do pytania: na podstawie własnej, wieloletniej praktyki twierdzę, że w zdecydowanej większości osoby, które kupują sztukę, nie są kolekcjonerami, tylko inwestorami.

W jaki sposób opisać obie postawy?

Kolekcjoner, nabywając dzieło, nie interesuje się tym, czy ono w przyszłości mogłoby podrożeć, czy stracić na wartości. Dla niego ważny jest sam obiekt. To, czy marzył o jego posiadaniu, czy i w jaki sposób praca pasuje do profilu jego kolekcji. Zdecydowana większość kupujących w Polsce zadaje sobie natomiast pytanie: „Czy ja dobrze inwestuję?”.

Oczywiście, osobami kupującymi sztukę kierują różne motywacje. Niektórzy sądzą, że dzięki sztuce mogliby podnieść swój prestiż, czasami zdarzają się ludzie, którzy mają nadmiar funduszy i chcieliby zainwestować. A jednak do mnie niekiedy przychodzą osoby, które interesują się konkretnym artystą, a do tego poszukują prac pochodzących z wybranego okresu twórczości. Zdaję sobie sprawę, że to są naprawdę bardzo rzadkie przypadki. Ale jest to także najmiłszy rodzaj pracy.

Kim są te osoby?

Najczęściej nie należą do grupy najbogatszych w kraju i często nie myśłą w kategoriach rynkowych. Oczywiście, jeżeli ktoś kupi bardzo wiele prac, to z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że niektóre z nich mogą podrożeć. Jednak na rynku sztuki do pewnego stopnia wszystko bywa niewymierne. Nie jest możliwe aby precyzyjnie określić np. tzw. stopę zwrotu.

A jakie warunki powinien spełniać kolekcjoner?

Uczyć się: chodzić do muzeów, na wystawy, przeglądać albumy, czytać. Musi dookreślić profil swojej kolekcji, bo nie da się zbierać wszystkiego. Spójrzmy na zbiory znaczków: prawdziwy kolekcjoner nie tworzy zestawienia znaczków z całego świata, →



JACEK TARAN

wypchany gołąb. Są też minimalistyczne „Liny” Magdaleny Abakanowicz i jej „Embriologia” składająca się z kilkudziesięciu różnej wielkości miękkich, jajopodobnych brył, pokazywana na Biennale w Wenecji. Jest wreszcie instalacja „Labirynt” Edwarda Krasińskiego z 1987 r.

Przez całe lata w samym centrum zainteresowania założonej przez Starmachów galerii była Grupa Krakowska. Dzieła artystów w niej skupionych stanowią także trzon ich kolekcji.

Ofiarowane prace pokazują również Władysław Hasióra, reprezentowanego przez 17 obiektów. Są tu dzieła Mirosława Bałki, Jadwigi Sawickiej, Mikołaja Smoczyńskiego czy Grzegorza Sztwiertni. Nie zabrakło wreszcie wielkoformatowej instalacji „Nowe Jeruzalem” Marty Deskur z 2007 r. – jednej z najbardziej efektownych prac powstałych w naszym stuleciu, z wizerunkami czternastu apostołów, do których pozowali artyści, pisarze i kuratorzy. ©

DAJ MI WSZYSTKO. WYSTAWA DARU TERESY I ANDRZEJA STARMACHÓW DLA MUZEÓW KRAKOWSKICH, Bunkier Sztuki w Krakowie, wystawa czynna do 1 września 2024 r.

→ ale stara się zebrać najciekawsze obiekty z danego czasu lub pochodzące z konkretnego terenu. Oczywiście, są kolekcjonerzy, którzy muszą dokupić pracę danego artysty, bo go jeszcze nie mają w kolekcji. Jednak te najwspanialsze kolekcje były i są bardzo świadomie sprofilowane. To oznacza świadome zakupy...

...lub pozbywanie się dzieł.

Świadome myślenie o tworzeniu kolekcji musi obejmować niekiedy również kwestię sprzedaży. Znajdujemy dzieło, które staje się dla nas bliższe, pochodzi z okresu, który bardziej nam odpowiada, i wtedy należy dokonywać trudnych wyborów. Można pracę sprzedać, bo zabraknie miejsca w magazynie lub funduszy na inne dzieła.

A jak wytłumaczyć wzrost sprzedaży i cen dzieł w Polsce, zwłaszcza artystów z okresu powojennego oraz tworzących współcześnie?

Przed wszystkim wzbogaciło się społeczeństwo. W latach 70., kiedy zaczynałem myśleć o budowaniu swojej kolekcji, dobry współczesny obraz kosztował około 100 dolarów. Za dodatkowe 100 dolarów można było kupić wybitny. Oczywiście, wtedy zarabiano się 30-40 dolarów miesięcznie – mówię o czarnorynkowym kursie. Sztuka była relatywnie tania, a jednocześnie o przepływach dzieł decydowały prezenty i wymiany. Tworzyły one potem dość przypadkowy zbiór obiektów. Dziś żyjemy w całkowicie innej rzeczywistości.

Dlaczego to sztuka nowoczesna budzi dziś tak duże zainteresowanie?

To trend ogólnoswiatowy. Ocenia się, że dziś 78 proc. obrotu to szeroko rozumiana sztuka nowoczesna: od impresjo-

nizmu po współczesność. W tym miejscu mówimy oczywiście o światowym pozycjonowaniu. Nowy tzw. towar pojawia się poprzez poszukiwanie nowych artystów. My, w Polsce, nadal uczestniczymy w nim w jednak minimalnym stopniu. Do tego światowego rynku udało się wprowadzić zaledwie kilku twórców.

Tymczasem dawnej sztuki nie przybywa.

Obowiązuje jedna zasada: niezależnie od tego, czy mamy do czynienia ze sztuką dawną czy nową, najlepsze obiekty lądują w tzw. mocnych rękach. Prawdopodobieństwo, że te osoby zechcą je sprzedać, jest znikome. Natomiast większość uważa, że zysk jest szybki. Stąd nieustanne szukanie nowych nazwisk. Efektem tego procesu jest przepaść cenowa między sztuką starą a nową. Pomiędzy jednostkowe, bardzo wybitne dzieła dawnych mistrzów, np. wczesnorenansowe obrazy, które są w cenach ry-sunków współczesnego artysty. To jest zresztą dowód na to, że obecnie naprawdę mało kogo interesuje piękno, ale też to, że zdecydowana większość kupujących kieruje się wskazaniem rynku.

Ale też zmieniają się gusty.

Na pewno. Widać na przykład odejście od dawnej sztuki sakralnej.

Zainteresowanie młodą sztuką przekłada się na znaczący wzrost cen dzieł młodych artystek i artystów.

Nawet ekonomiści mówią dziś o tzw. efekcie Sasnala. Jego malarstwo było punktem zwrotnym zainteresowania tzw. młodą sztuką. I wraz z nim pojawiło się marzenie, że kupię dzieło jakiegoś artysty stosunkowo niedrogo, a potem okaże się

on „nowym Sasnałem”. Stąd w każdym większym czy mniejszym domu aukcyjnym są aukcje młodej sztuki, które zaczynają się od tysiąca złotych. Są osoby, które na każdej aukcji kupują po kilka obrazów, a są tacy, którzy już mają po kilkaset dzieł i cały czas liczą, że wśród nich są prace kilku nieodkrytych jeszcze „Sasnali”. Ale są też młodzi artyści, którzy wystawiają w prestiżowych galeriach i uczestniczą w dużych muzealnych wystawach. Ceny ich prac rosną. Dlaczego? Dziś obraz Wojciecha Fangora kosztuje miliony złotych. Zakup prac Tadeusza Kantora czy Jerzego Nowosielskiego to wydatek co najmniej setek tysięcy złotych. Jeżeli nie mam takich pieniędzy, a chcę zainwestować, to kupię dzieło młodego twórcy związanego z ważnymi galeriami.

Przywołał Pan Wojciecha Fangora – ceny, jakie osiągają jego prace, to fenomen.

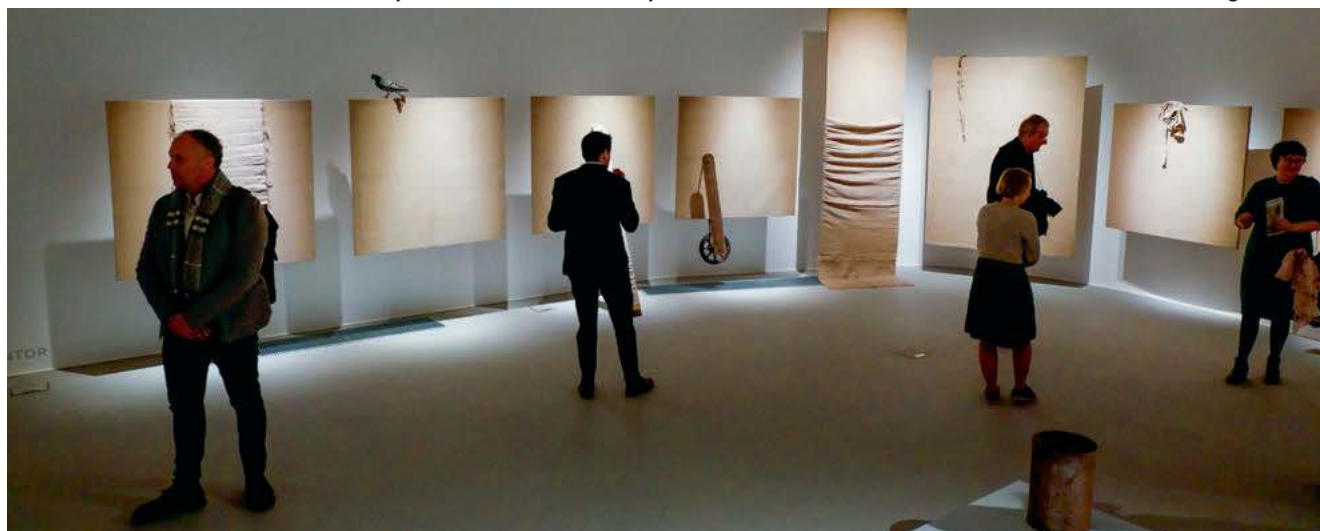
Tak. Na pewno to efektowne prace, jednak jego pozycja w polskiej historii sztuki nie tłumaczy tego zainteresowania. W latach 70. w pewnych kręgach uważano, że należy mieć na ścianie Kossaka. Dziś, również w pewnych kręgach, wypada mieć Fangora.

A co dzisiaj najbardziej pozycjonuje artystów w obiegu publicznym? Instytucje? Galerie?

W odbiorze powszechnym: rynek. Jeżeli w jakimkolwiek kanale telewizyjnym pojawia się wiadomość o sztuce, dotyczy ona zwykle nowego rekordu na aukcji.

Natomiast zarówno instytucje, jak i galerie mają znaczenie, chociaż są artyści bardzo docenieni przez muzea i historyków sztuki, a bardzo słabo obecni na rynku sztuki. Jednym z nich jest Marek

Cykl Tadeusza Kantora „Wszystko wisi na włosku”, 1973 r. Kraków, Bunkier Sztuki, 29 lutego 2024 r.



Chlanda, którego prace często pokazywałem. Jest on obecny we wszystkich ważnych kolekcjach muzealnych, w ostatnich czterdziestu latach uczestniczył w większości ważnych zbiorowych wystaw naszej sztuki w Polsce i za granicą. A jednak jego dzieła bardzo trudno sprzedać.

A co dla Pana było impulsem do zbierania sztuki?

Moja starsza siostra miała beletryzowane biografie artystów. Zaczęłem je czytać i stwierdziłem, że będę studiował historię sztuki. A potem, początkowo półzartem, postanowiłem, że po jej zakończeniu założę galerię. To w latach 70. brzmiało absurdalnie.

Zaprzyjaźniłem się z wieloma artystami. Zaczęło się od Tadeusza Brzozowskiego – studiowałem z jego synem. Potem zaprzyjaźniłem się z Jerzym Nowosielskim. Wreszcie, w latach 70., poznałem artystów z Grupy Krakowskiej. Zarobiłem pierwsze pieniądze na zakupy podczas pracy w Szwecji.

Po jakimś czasie mogłem poszukiwać prac artystów, na których szczególnie mi zależało. W kolekcji zaczęły się pojawiać dzieła Andrzeja Wróblewskiego czy Marii Jaremy. Później przyszła nowa Polska i mieliśmy z żoną nadzieję na spełnienie dawnych marzeń o galerii.

Zaczęliśmy równo z rządem Tadeusza Mazowieckiego – 3 października 1989 r. Początkowo wzięliśmy trochę prac z domu, a potem powstał program wystaw: ekspozycje dzieł artystów, z którymi się zaprzyjaźniliśmy. Nie wiem, czy to wada, czy zaleta, ale ten wybór obowiązuje do dziś.

Chociaż w kolekcji, ale też w programie galerii pojawiły się nowe nazwiska, już niezwiązane z Grupą Krakowską.

Tak, ale zasadniczy trzon się nie zmienił, tylko poszerzał. Pozostaliśmy wierni Grupie Krakowskiej oraz abstrakcji geometrycznej z Henrykiem Stażewskim i Ryszardem Winiarskim na czele. Chcieliśmy jednak rozwijać kolekcję o inne, też awangardowe, prace, takie jak dzieła Władysława Strzemińskiego czy Katarzyny Kobro. Sercem kolekcji pozostaje twórczość Jerzego Nowosielskiego, zwłaszcza jego abstrakcje.

W swych wyborach myśleliśmy jak historycy sztuki, zdając sobie sprawę z war-



BEATA ZAWRZEŁ / REPORTER

ANDRZEJ STARMACH (ur. 1953)

– galerzysta, historyk sztuki i kolekcjoner. Od 1989 r. z żoną Teresą prowadzi w Krakowie Galerię Starmach. W 2002 r. został nagrodzony Paszportem „Polityki” dla kreatora kultury.

tości tych dzieł dla historii polskiej sztuki powojennej. Trudno tego typu dzieła podporządkować komercyjnym regułom. I tak kupiliśmy „Labirynt” Edwarda Krasińskiego z 1987 r., którego żadna prywatna osoba nie zainstaluje, gdyż ów obiekt wymaga powierzchni 120 metrów kwadratowych! Udało się nam też pozyskać całą wystawę „Wszystko wisi na włosku” Tadeusza Kantora, pokazaną po raz pierwszy w Galerii Foksal w 1973 r.

W kolekcji pojawiły się też prace Władysława Hasiora.

Zawsze uważałem go za wybitnego artystę, który jednak zaprzepaścił swoją pozycję poparciem stanu wojennego. W latach 90. był kompletnie na uboczu. W tym czasie oglądałem akurat katalogi domów aukcyjnych ze Skandynawii – Hasior spędził tam trochę czasu. I w tych publikacjach znalazłem nieznane jego prace, oferowane za kwoty od 100 do 300 dolarów. Grzech było tego nie kupić.

Pojawia się też w kolekcji fotografia.

Zaczęło się od Marka Piaseckiego. Miałem tylko jedno jego zdjęcie, kupione w latach 70. za 90 złotych, czyli ówczesnych 90 centów. Dopiero po latach dzięki Jerzemu Turowiczowi poznałem żonę Piaseckiego. Zaczęliśmy rozmawiać, potem zrobiliśmy trzy wystawy. I teraz mamy dużą kolekcję fotografii Piaseckiego.

A jak rozdzieliliście Państwo prowadzenie galerii od tworzenia kolekcji?

To był nasz największy ból. Niejednokrotnie dyskutowaliśmy z żoną, czy

sprzedajemy, czy zostawiamy dla siebie. Najłatwiej było na początku, kiedy wszystko było stosunkowo tanie. Gdybym mógł ponownie wybrać, chciałbym zarabiać dużo pieniędzy na czymś innym i bez tych wszystkich obciążeń kupować dzieła sztuki. Dużo prac musieliśmy sprzedać, budując siedzibę galerii. Potem – przy budowie domu. Jednak kilka z nich udało się nam z czasem odkupić.

Kiedy zaczęliście Państwo myśleć, by podzielić się tym zbiorem?

Mniej więcej dwa lata temu zdaliśmy sobie sprawę, że ta kolekcja zaczyna nas przerastać, także w takich aspektach jak przechowywanie czy konserwacja. A jednocześnie czuliśmy się za nie odpowiedzialni. Tym bardziej że prace były wybitnie unikatowe. Postanowiliśmy część prac ofiarować. A że jesteśmy z dziada pradziada z Krakowa – wybór był oczywisty. Wzięliśmy zatem kartkę papieru i zaczęliśmy zapisywać tytuły dzieł do ofiarowania. Raz na tydzień do niej siadaliśmy. I tak powstała lista.

Wybraliście Państwo do obdarowania nowe instytucje, nie prestiżowe Muzeum Narodowe.

MuFo i MOCAK to jedne z najważniejszych instytucji zajmujących się polską sztuką współczesną i nieustannie poszerzających kolekcje. Niewątpliwie MNK ma bogate zbiory i inne prace po prostu by wśród nich znikły. Tymczasem nasz wybór obejmował dzieła, które powinny być prezentowane w dużej przestrzeni muzealnej, jak „Labirynt” Krasińskiego, „Liny” i „Gry wojenne” Magdaleny Abakanowicz czy ogromna, 6-metrowa praca Tomasza Ciecierskiego z 2002 r. Tego typu prace powinny mieć przestrzeń do prezentowania.

A co pozostawiliście Państwo sobie?

Obrazy Jerzego Nowosielskiego, z którymi jesteśmy emocjonalnie najbardziej związani. Nie ukrywam, że również prace Tadeusza Kantora i Henryka Stażewskiego są nam szczególnie bliskie.

A czy w przyszłości...

...nie, tutaj już żadnych rewolucji nie będzie. Chociaż Marek Świca, dyrektor MuFO, w katalogu sugeruje, że ma nadzieję, że to nie ostatnie nasze słowo.

© Rozmawiał PIOTR KOSIEWSKI



ZMIANA POPRZEZ SZTUKĘ

Małgorzata
Mirga-Tas,
„Siostry”,
2019 r.

Ogólnopolski Program Dotacyjny Artystyczna Podróż Hestii jest skierowany do artystów i instytucji kultury, dzięki którym lepiej rozumiemy wyzwania teraźniejszości i przyszłości. Właśnie poznaliśmy pierwsze wystawy, które otrzymają w tym roku wsparcie.

Program skierowany jest do tych instytucji kultury i osób artystycznych, które planują wystawy wzmocniające poczucie wspólnoty i odpowiedzialności za świat. Działania realizowane w ramach projektu powinny zwiększać wiedzę społeczeństwa na temat zmieniającego się krajobrazu społecznego i środowiskowego, aktywizować społeczności lokalne i budować sieci współpracy w zakresie rozumienia wyzwań współczesności.

W ramach programu dotacyjnego rozdysponowane zostanie 500 000 zł. W tej edycji Programu Dotacyjnego wszystkie nabory zostały już zamknięte. Pod koniec marca poznamy ostatnich laureatów.

Sztuka zawsze odgrywała rolę w rejestrowaniu i odzwierciedlaniu kondycji ludzkiej, stanu społeczeństw i świata przyrody. Obok racjonalnej, praktycznej wiedzy naukowej potrzebujemy również wyjątkowych, osobistych, estetycznych odpowiedzi, których dostarcza sztuka. Nasze

reakcje na te odpowiedzi angażują osobiste wartości i emocje, które są tak istotne w motywowaniu do działania, a co za tym idzie – w prowokowaniu realnych zmian.

Potencjał sztuki do przekształcania społeczeństwa, a także jej zdolność do wspierania sprawczości i inspirowania nadziei, odpowiedzialności i troski znamy od dawna. Praktyki artystyczne mogą przyczynić się do głębokiego, emocjonalnego poszerzenia wiedzy na temat zrównoważonego rozwoju.

ERGO Hestia i Fundacja Artystyczna Podróż Hestii od wielu lat korzystają z języka sztuki, budując platformę dialogu społecznego i jednocześnie wspierając rozwój polskiej sceny artystycznej. Dążąc do kreatywnego, twórczego bycia w świecie, poszukując w działaniach artystycznych umiejętnego stawiania lub odnajdywania pytań o to, w jaki sposób kształtujemy i modelujemy świat, w którym żyjemy. ©



ĆWICZENIA Z UWAGAŃNOŚCI

Teresa Starzec i Alicja Bielawska w swojej wystawie zapraszają do artystycznej podróży dwa pokolenia – na rzeczywistość spojrzą zarówno z perspektywy matek, jak i córek. Będzie to również okazja, żeby zaprezentować wcześniej niepokazywane dzieła obu autorek. W swoich pracach podkreślają one również wagę dziedzictwa kulturowego, sięgając do tradycji i sposobów przekazywania wiedzy. „Ćwiczenia z uważności” to również nieoczywista forma doświadczania, mająca na celu zaktywizowanie wrażliwości, pamięci i wspomnień odbiorców.

25 kwietnia – 24 maja

Galeria Sztuki im. Jana Tarasina w Kaliszu



ŚWIETLISTE BARTERY, WILGOTNE KOALICJE

Indywidualna wystawa Magdaleny Lazar będzie eksplorować relacje międzygatunkowe. Artystka, korzystając z obiektów i prac wideo, zbada związki nieantagonistyczne, czyli alternatywne, nienastawione na konfrontację rodzaje międzyludzkich (i nie tylko) relacji. To punkt wyjścia do refleksji nad zmieniającym się obliczem ludzkości. Projekty artystki skoncentrowane będą na wizji oporu przeciwko wyzyskowi człowieka. Zarówno same prace, jak i aranżacja wystaw podkreślają konieczność przeformułowania naszego sposobu patrzenia na rzeczywistość.

11 maja – 2 czerwca

BWA Krosno



LATAJ! CERUJ! DŁUGIE ŻYCIE UBRAŃ

Wystawa opowiadać będzie o problemie nadprodukcji i konsumpcji w kontekście zjawiska *fast fashion*. Jej celem będzie nie tylko uświadamianie warunków pracy w przemyśle odzieżowym, ale także odniesienie się do tematów dotyczących etyki, ekologii, empatii czy solidarności społecznej. Projekt będzie szerokim, wielowymiarowym spojrzeniem na te problemy.

12 kwietnia – 28 lipca

Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu



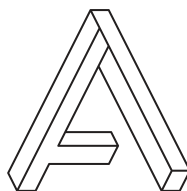
SPLASH: ECO + HYDROSEXUALS UNITE!

Inicjatywa artystyczna, której celem będzie przekraczanie tradycyjnych granic sztuki poprzez zaangażowanie się w społeczny i ekologiczny dialog. Twórczynie: Annie Sprinkle, Beth Stephens, Justyna Górowska i Ewelina Jarosz zaprezentują unikalne spojrzenie na relacje między ludźmi a Ziemią, kładąc nacisk na pozytywne aspekty kontaktu z naturą.

Wystawa będzie nie tylko prezentować prace światowej sławy artystek, ale także tworzyć pomost między kulturami i różnym podejściem do ekoseksualności.

14 czerwca – 31 sierpnia

Galeria lokal_30 w Warszawie



Więcej informacji:

www.artystycznapodrozhestii.pl

Facebook: Artystyczna Podróż Hestii

Instagram: @konkursaph

Prawda czasu, prawda obrazu

WOJCIECH ALBIŃSKI

Książka Chotkowskiego i Libery to niewinny żarcik. Ale pod spodem artystycznego eksperymentu kryje się otchłań manipulacji, z którą żyjemy na co dzień.

Fact-checking to standard: jesteśmy podejrzliwi wobec stron internetowych bez historii, portali udających newsowe, linków bez „s” w adresie „http”. Polegamy natomiast na miejscach i osobach, które dobrze znamy. Darzymy na przykład zaufaniem artystę wizualnego Zbigniewa Libera. Bo komu jak komu, ale nestorowi polskiej sztuki krytycznej, „temu od Oświęcimia i klocków Lego” (Hanna Krall), „jednej z ikonicznych postaci sceny artystycznej, artyście radykalnemu i undergroundowemu” (Joanna Mytkowska), ufać przecież wypada. Tyle że Zbigniew Libera kłamie. A dokładniej – kłamie w książce „Stos zdjęć”, napisanej wspólnie z Łukaszem Chotkowskim.

ALBUM SKŁADA SIĘ Z DWÓCH CZĘŚCI. Zamieszczone w nim fotografie są autorstwa samego Libery – to wybór z bogatej działalności artystycznej i długiego już życia artysty. Druga część książki to komentarze do zdjęć stworzone przez Łukasza Chotkowskiego, dramaturga i pedagoga z warszawskiej Akademii Teatralnej. Tytułowy stos przesłanych przez Libera zdjęć Chotkowski ułożył, a następnie opisał wedle jego wskazówek.

Jeszcze zanim zajrzymy do książki, przypominają się głośne „pozytywy” Libery – serie zdjęć publikowane w najlepszym momencie nowego „Przekroju” (z Piotrem Najstutem jako naczelnym), w których Libera odwracał znaczenie kanonicznych fotografii historii XX w. (uśmiechnięci ludzie za drutami kolczastymi, radosne ofiary bombardowań). To wspomnienie buduje oczekiwanie, że i tym razem oprócz nich w środku albumu znajdzie się więcej, załączek monografii, która artyście się przecież należy. Czas sztuki krytycznej, w tym prace Libery, to był może ostatni moment, kiedy w Polsce interesowało nas to, co artyści mają do powiedzenia.

Zdjęcia ze „Stosu” nie mają wielkich walorów artystycznych, szczególnie cie-



■ Łukasz Chotkowski, Zbigniew Libera, **STOS ZDJĘĆ**, Wydawnictwo Muzeum Sztuki Nowoczesnej 2023.

kawych kompozycji ani kolorów, ale też nie o to w nich chodzi. To z komentarzy wyłania się tu artysta. A komentarze są barwne i nietuzinkowe.

Libera był tu i tam, witał się z królem i żegnał z księżniczką. Mieszkał w Egipcie i na plaży w Grecji, spotykał kolekcjonerów z Senegalu. Nawet w momencie, gdy dociera do nas, że część opisów może być zmyśleniem albo kreacją, a sam Libera w komentarzach Chotkowskiego przypomina skrzyżowanie Żyda Wiecznego Tułacza z baronem Münchhausenem, staramy się mu wierzyć. Opowieści to opowieści, ale obrazy trudniej zaniegować, choć chyba u każdego czytelnika w końcu pojawia się moment, kiedy powie sobie: no nie, to nie może być prawda.

Może będzie to historia o ukrytym przed milicją w Moskwie zdjęciu, które pomogłoby złapać dwie kobiety usiłujące oszustwem doprowadzić cyrkowego osła do masarni? Kobiety stoją tyłem i w tle co prawda widać osła, ale cała historia jest, no cóż, wątpliwa. Albo: Londyn, 2014 r. i proces Dicka Cheney’a, George’a Busha oraz Billa Clintona. Wszyscy odpowiadają za kryzys roku 2008. Nie widać ich twarzy, ale komentarz mówi, że to oni, bo właśnie trwa „ekonomiczna Norymberga”, a zdjęcie zrobił sam Libera. Pod koniec książki jest też kolorowe zdjęcie lekkoatletki Stanisławy Walasiewicz z lat. 80. Kolory? Raczej dzisiejsza cyfra niż stare ORWO. Sprawdzam w sieci. No nie, tak Walasiewicz nigdy nie wyglądała.

O co tu chodzi? Na początku czuję się zmieszany i odrzucony, na szwank zostaje wystawiona relacja czytelnika: z samym Liberą, potem z Muzeum Sztuki Współczesnej, które wydało książkę. Pod znakiem zapytania zostaje postawiony zresztą pakt większy niż ta książka, bo przecież fikcję należy odpowiednio oznaczyć, reportaż nie może być kreacją (do sądu się z takimi rzeczami chodzi), a zdjęcie to już w ogóle muszą być prawdziwe. A tu nie są.

NASTĘPNIE PRZYCHODZI OTRZEŻWIENIE. Zaczynam książkę przeglądać jeszcze raz, z uwagą. Za tym zabiegiem, cienkim jak najcieńsza artystyczna porcelana, stoi coś jeszcze. Bo – jak to z całą sztuką współczesną – największa satysfakcja, a jednocześnie dyskomfort to zająrzeć dzięki niej w siebie. Co to takiego mi, odbiorcy, robi? Ktoś właśnie mnie próbuje, powiedzmy prawdę, oszukać. To jest największa wartość spotkania z tym albumem. I mimo denuncjacji artysty, spoilera, proszę sobie tej przyjemności nie odbierać. Za fantazjami Libery stoją bowiem pytania. O prawdę oczywiście. Bo czy prawda jest jeszcze możliwa?

Na zdjęciach nie powinniśmy już jej szukać, mówią Libera z Chotkowskim. Mimo tego, że w definicjach znaków stworzonych przez semiotyków daje się fotografii charakter indeksu, to jest: ani symbolu (czegoś zupełnie umownego jak litera), ani ikony (naśladownictwa jak obraz), tylko po prostu odbicia rzeczywistości, to zdjęcie nie jest jej odbiciem.

To zresztą ciekawa przygoda fotografii, towarzysząca jej od samego początku. Hipolit Bayard w 1840 r. przebrał mężczyznę za topielca, sfotografował go i całość zatytułował „Topielec”. Trudno nie zestawić tego zdjęcia z innym, słynnym zdjęciem dziecka, które naprawde utonęło u wybrzeży Turcji w 2015 r. Chłopiec po wyłowieniu z wody został ułożony przez służby jeszcze raz przy brzegu, aby

podkreślić dramat uchodźców wstrząsającym obrazem. Od tej pory wszyscy mamy ten obraz przed oczyma. Odkrycie tamtej kreacji zostało nazwane „moralną pornografią” i kłamstwem. Czy nim było?

Czym w ogóle jest fotografia? Bernd Stiegler, francuski humanista, wymienia w jednej ze swoich publikacji, do czego w teorii fotografii porównuje się zdjęcie: „błysku, strzału, morderstwa” – ale wśród wielu haseł nie ma „prawdy”. Dlatego tak bardzo potrzebny jest komentarz. Choć, jak widać z tekstów Chotkowskiego, także on jest w gruncie rzeczy wątpliwy (np. przywołane na początku wypowiedzi Krall i Mytkowskiej są zmyślane). To, co zrobili Chotkowski z Liberą, to zaledwie żarcik, fantazja, coś niewinnego, choć przyciągającego uwagę. Ale pod spodem tych gestów kryje się otchłań manipulacji, z którą żyjemy na co dzień. Konsumujemy dziennie setki komentarzy, obrazów i filmów generowanych przez sztuczną inteligencję. Gdzie

w tym wszystkim jest prawda? Na czym się oprzeć?

Roland Barthes, klasyk semiotyki i teoretyk fotografii, powiedziałby może, że na sobie i to w momencie, kiedy zaczynamy widzieć. Kiedy *studium*, przyzwyczajenie, że rozumie się obraz, znajduje w nim, że rozpoznaje się automatycznie samą jego stylistykę czy temat, zamienia się w *punctum*. Kiedy zaczynamy dostrzegać coś osobistego, co nie pasuje do konwencji, a sprawia, że zaczynamy myśleć samodzielnie. Wszystko, co żywe i własne, zaczyna się od jakiejś niedogodności, niedopasowania. Na szukaniu takich momentów oparty jest pomysł duetu Chotkowski-Libera.

TYLKO W JEDNYM MIEJSCU OBYDWAJ się w albumie odsłaniają. W jednym z komentarzy przyznają (i jest to jasny trop rzucony czytelnikom), że są zaurczeni Witoldem Wirpszą i jego książką poetycką „Komentarze do fotografii”

z 1962 r., zawierającą wiersze i zarazem także uwagi do najgłośniejszej chyba dotąd na świecie wystawy fotografii „Rodzina człowiecza” z lat 50. XX w.

Tak jak kpił z tej wystawy Barthes w „Mitologiach”, tak bez świadomości komentarzy Barthes’a kpił z niej Wirpsza. Obydwaj pokazywali, że nie istnieje coś takiego jak prawda w fotografii. Pamiętam spór z Liberą na jednym z artystycznych pikników. Rozmówca Libery chciał, żeby wszystkie rzeczy miały swoje jedyne i ostateczne nazwy. Żeby stół był stołem, filiżanka filiżanką, łyżka łyżką. Jak z wiersza Miłosza. Libera odparł, że dla niego moment najgłębszego kontaktu z rzeczywistością jest momentem zawieszenia świata, czyli stanem, w którym rzeczy tracą swoje nazwy. Czemu tak mówił? Może z anarchicznej nieufności wobec ludzi, a może właśnie z powodu wiary w to, że wychodząc od takiego braku, można zacząć od nowa. Tak jest z tym albumem. ©

W księgarniach

Polski dizajn

Pięknie wydana, niemal albumowa opowieść o polskim dizajnie, stawia podstawowe pytanie – czym on dzisiaj w ogóle jest. Autorka wprowadzie odpowiada definicją Bruna Monariego, że to projektowanie wszystkiego, co kształtuje nasze otoczenie od kieliszka po miasto, ale pełną, pogłębioną odpowiedź przynoszą dopiero rozmowy z twórcami. W pracy Koperdy skondensowaną historię dizajnu poznajemy poprzez sylwetki najwybitniejszych twórców, jak choćby na długo

zapomnianej Eileen Gray. Jest to też przewodnik po młodej polskiej sztuce projektowej. Autorka zabiera nas do pracowni twórców, gdzie poznajemy ich inspiracje, fascynacje, metody pracy. Projektanci, artyści i rzemieślnicy zdradzają sekrety swojego warsztatu, dzieląc się indywidualnym spojrzeniem na rolę i funkcję dobrych projektów w naszej codzienności. Bo przecież – jak często mówią – dizajn może być wyłącznie dobry albo zły. Ta książka to również opowieść o przedmiotach codziennego użytku, które oprócz tego, że potrzebne, mogą być piękne. © JACEK TARAN



■ Aleksandra Koperda,
POLSKI DIZAJN,
ZNAK Concept,
Kraków 2023

Sztuka świata

Dziś już nie wypada spierać się o to, że feminizm w naukach społecznych ma swoje ważne miejsce. Odczytanie historii sztuki, czy w ogóle kultury, przez pryzmat płci przestało też być prowokacją czy wyzwaniem wymagającym odwagi. I dobrze! Autorka „Histerii sztuki” odkrywa dla nas bogactwo tropów nawiązujących do takich pojęć jak feminizm, gender czy LGBT. Okazuje się, że już średniowieczna sztuka

była genderowo różnorodna i nie stroniła od pokazywania aspektów życia znajdujących się poza obowiązującym obyczajowym mainstreamem. I choć może czyniła to czasami ironicznie, to przez długi czas były to wątki w krytyce zupełnie pomijane. Tym bardziej warto sięgnąć po tę pozycję, by móc odkryć to, co przez stulecia było skrętnie przemilczane. Autorka jest blogerką, na Instagramie prowadzi popularny profil o takiej samej nazwie jak tytuł jej książki.

© JACEK TARAN



■ Sonia Kiszka,
HISTERIA SZTUKI
– NIEMY KRZYK OBRAZÓW,
ZNAK Concept,
Kraków 2024



MARTA ANKIERSTEIN / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

Jan Englert i Ireneusz Czop w spektaklu „Król Lear”, reż. Grzegorz Wiśniewski

Nie tylko klasycy

DARIUSZ KOSIŃSKI

Najsilniejszym powiewem teatralnej wiosny będą przedstawienia znanych duetów i zyskujących coraz większe uznanie młodych reżyserów.

W teatrach już dzieje się wiele: Weronika SzczaWińska i Piotr Wawer Jr. w stołecznym Teatrze Dramatycznym grają autorskie przedstawienie o czasie, a Jędrzej Piaskowski i Hubert Sulima w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu wystawiają autorski projekt o znamiennej przewrotnym tytule „Persona. Ciało Bożeny”. Adaptację książki Emilii Dłużewskiej „Jak płakać w miejscach publicznych” wyreżyserowała w Teatrze im. Osterwy w Lublinie Mira Mańka, zaś Zdenka Pszczołowska w Teatrze im. Gombrowicza w Gdyni przygotowała „Lizystratę” Arystofanesa. Wymienić trzeba też osobną Annę Karasińską, której nowy projekt „Zaproszenie”, pokazany po raz pierwszy w Teatrze Łaźnia Nowa w Krakowie 2 lutego, będzie można zobaczyć tam ponownie 13 i 14 marca.

Ku mojej niekłamanej radości jako jedno z najważniejszych wydarzeń wiosennych zapowiadają się **premieri polskiej klasyki** – przede wszystkim „Wesele” w reż. Mai Kleczewskiej w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Po słynnych „Dziadach” dramat Wyspiańskiego zapowiadany przez tę scenę już wywołuje ogromne zainteresowanie. Równie

sensacyjnie zapowiadają się inscenizacje „Matki” Stanisława Ignacego Witkiewicza w Teatrze Ateneum w Warszawie, w reż. Anny Augustynowicz z Agatą Kulęszą w roli tytułowej, i „Zemsty” Aleksandra Fredry dla Teatru Komedia w Warszawie (reżyseruje Michał Zadara). Sensacją innego rodzaju jest zapowiedź premiery „Do piachu” Tadeusza Różewicza – dramat długo niewystawiany z powodu autorskiego zakazu realizuje w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej Janusz Opryński.

Wśród klasycznych polskich premier uwagę zwraca też nieco zaskakujący powrót Stefana Żeromskiego. To oczywiście zapowiedź jubileuszu stulecia śmierci pisarza, który przypada w roku 2025, ale sięgnięcie przez dwa teatry po „Dzieje grzechu” niesie nadzieję, że i dramaty autora „Sulikowskiego” ktoś wreszcie przeczyta. W tym sezonie losy Ewy Pobratymskiej ze współczesnej perspektywy przedstawiają Teatr Modrzejewskiej w Legnicy (scenariusz Artur Pałyga, reżyseria Daria Kopiec) oraz Narodowy Stary Teatr w Krakowie (dramaturgia Iga Gańczarczyk, reżyseria Wojtek Rodak).

Do listy tytułów klasycznych dopisać trzeba dwie premiery gdańskiego Teatru Wybrzeże: adaptację świetnej, a nieco za-

pomnianej powieści Jerzego Andrzejewskiego „Ciemności kryją ziemię” (dramaturgia Piotr Froń, reżyseria Tomasz Fryzel) i „Iwonę, księżniczkę Burgunda” Wiltolda Gombrowicza, którą wystawi Adam Orzechowski.

A skoro dotarliśmy do Gdańska, trzeba wspomnieć o premierach klasyka, który właśnie tutaj ma swój festiwal. William Szekspir już dawno stał się Polakiem, nic więc dziwnego, że do bogatej historii myślenia jego tekstami o Polsce dołączają kolejne przedstawienia. Jeszcze w lutym w Teatrze Narodowym odbyła się premiera „Króla Leara” Grzegorza Wiśniewskiego z Janem Englertem w roli tytułowej. Tego samego dnia w Teatrze im. Bogusławskiego w Kaliszu po raz pierwszy można było zobaczyć „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” w reż. Szymona Kaczmarka. Ten sam reżyser zakończy sezon w połowie czerwca w Teatrze im. Siemaszkowej w Rzeszowie realizacją innego dramatu stratfordczyka, „Miarka z miarkę”. O wiele wcześniej, bo 23 marca, Paweł Palcat wystawi w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym w Koszalinie „Makbeta”.

Co ciekawe, poza Szekspirem **klasyka obca** to na polskich scenach głównie pozycje nowsze. Choć wśród zapowiedzi są tytuły wręcz wzorcowe, na czele z „Czekając na Godot”, które w Teatrze im. Fredry w Gnieźnie przygotowuje Paweł Łysak, to sporą grupę propozycji stanowią dzieła mniej znane. Zaskoczeń zawsze można się spodziewać po realizacjach Strindberga, więc jego „Gra snów” w reż. Sławomira Narlocha (Teatr Narodowy w Warszawie) zapowiada się frapująco. Podobnie inscenizacja rzadko wystawianych „Krwawych godów” Federika Garcíi Lorki, którą w Teatrze im. Żeromskiego w Kielcach opracowuje dramaturgicznie Małgorzata Maciejewska, a reżyseruje Kuba Kowalski. Premiera zapowiadana jest na 19 kwietnia – dokładnie ten sam dzień, kiedy w krakowskim „Słowaku” ma zostać pokazana po raz pierwszy adaptacja „Wielkiego Gatsby’ego” Francisa Scotta Fitzgeralda, stworzona przez Jakuba Roszkowskiego. Do równie klasycznie teatralnych powieści należy „Mistrz i Małgorzata” Michaiła Bułhakowa, którego nową wersję przygotowuje w Teatrze im. Horzycy w Toruniu Łukasz Czuj.

Klasykiem współczesności jest też Bertolt Brecht. Jego najbardziej kanonicznym dziełem inspirowana jest czę-

ściowo „antyopera na kredyt” – „Człowiek z papieru” wedle pomysłu Jakuba Skrzywanka. Spektakl nawiązujący do filmów Andrzeja Wajdy zostanie pokazany po raz pierwszy w czasie finału Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu, a tydzień później trafi do repertuaru Teatru Powszechnego w Warszawie. Brechta już nie jako inspirację, ale jako autora przypomni Teatr im. Szaniawskiego w Wałbrzychu, gdzie Konrad Imiela wystawi „Życia Galileusza”.

Jak widać, wiosna przyniesie **nowe przedstawienia reżyserów i reżyserów, którzy jaśniejają na teatralnym niebie własnym światłem**, przyciągając uwagę każdym nowym projektem noszącym ich mocne autorskie sygnatury. Taką postacią jest z pewnością Krzysztof Warlikowski, którego nowa kreacja nosi tytuł „Elizabeth Costello. Siedem wykładów i pięć bajek z morałem według Coetzego”. Jej premiera zapowiadana jest w Nowym Teatrze w Warszawie na kwiecień, a w obsadzie cała plejada znakomitości na czele z Mają Komorowską.

Niezależnie od tego, co wystawia, Jan Klata zawsze tworzy przedstawienia niepodrabialnie własne. Tym ciekawiej zapowiada się jego wersja „Folwarku zwierzęcego” George’a Orwella, którą pokaże w Teatrze Śląskim w Katowicach. Potężnym wstrząsem być też może nowy projekt duetu Jolanta Janiczak i Wiktor Rubin. Przygotowywane dla Teatru im. Jaracza w Olsztynie przedstawienie zatytułowane „Nie smućcie się. Ja zawsze będę przy was” opowiada o objawieniach maryjnych w warminskim Gietrzwałdzie.

Autorską, jak zawsze, wersję teatralnie trudnej, ale lubianej przez polskich reżyserów „Czarodziejskiej góry” Tomasza Manna przygotowuje w TR Warszawa Michał Borczuch, który ma zamiar osadzić swoje przedstawienie w erze pandemicznego lockdownu. Oryginalną podróż przez dzieła Stanisława Ignacego Witkiewicza późną wiosną zaproponuje z kolei Paweł Miśkiewicz w spektaklu „Witkacy” (Teatr Polski w Poznaniu).

Mocnym zwieńczeniem sezonu mogą okazać się dwa czerwcowe spektakle, których szczegóły, a nawet tytuły nie są jeszcze do końca ustalone. Pierwsza to premiera dramatu Pawła Demirskiego (roboczy tytuł „Ojciec”), którą w Teatrze Polskim w Bydgoszczy przygotować ma Anna Augustynowicz, natomiast druga to spektakl o roboczym tytule „Śledztwo”, który na podstawie pierwszego sezonu serialu podcastowego Mirosława Wleklego „Śledztwa Pisma” ma w Teatrze Powszechnym w Warszawie przygotować Katarzyna Szyngiera.

a nawet zapytają, czy nie lepiej żyłoby się nam w „psiaństwie”.

Tradycyjnie eksperymentujący Teatr Studio w Warszawie proponuje wiosną kolejny projekt Roba Wasiewicza znanego z poszukiwań łączących różne gatunki sztuk przedstawieniowych. Podstawą „Pięknego początku” mają być sceny z filmów katastroficznych, stanowiące punkt wyjścia do fantazji na temat obrazów niemożliwych.

Z otwartych już dawno możliwości twórczych korzystają też **osoby wchodzące na teatralne niwy**. Autorski



Scena ze spektaklu „Dzieje grzechu”, reż. Daria Kopiec

Choć w teatrze polskim nie widać sygnałów wielkich rewolucji, to trwa w nim prowadzony przez poszczególne jednostki oraz całe kolektywy proces ewolucyjnych zmian i przyzwyczajania publiczności nie do „wystawiania sztuk”, ale do **teatralnych wydarzeń i doświadczeń**. Konsekwentnie idą tą drogą osoby związane z Instytutem Sztuk Performatywnych. I tak Michał Buszewicz w Teatrze Nowym w Łodzi pokaże projekt „Śmiesz cię to?”, w którym zajmie się farsą i dowcipem, a w Teatrze Szaniawskiego w Wałbrzychu w ramach przedstawienia „Za dużo wszystkiego” zmierzy się z jedną z największych bolączek współczesności, czyli nadmiarem aktywności zderzonym z brakiem czasu. Z kolei Agnieszka Jakimiak i Mateusz Atman w przedstawieniu „Dobry piesek” (Teatr Współczesny w Szczecinie) przyjrzą się relacjom ludzko-psim,

projekt dotyczący zjawisk codzienności przygotowują w Teatrze Polskim w Poznaniu reżyser Konrad Cichoń i dramaturg Andrzej Błazewicz, którzy kończą prace nad spektaklem „Delivery Heroes. Bohaterowie na sprzedaż”, stworzonym na podstawie rozmów z kurierami dostarczającymi posiłki do domów. Adaptację niełatwego materiału literackiego, czyli inscenizację „Niewyczerpanego żartu” Davida Fostera Wallace’a opracuje i wystawi w Teatrze Szaniawskiego w Wałbrzychu Krzysztof Popiołek, a oryginalną wersję klasycznego baletowego mitu w autorskim spektaklu „Giselle, tańcz!” zaproponuje Anna Obszańska w Teatrze Współczesnym w Szczecinie. W nowościach dramatycznych specjalizuje się Wrocławski Teatr Współczesny, który 13 kwietnia pokaże trzeci tytuł nagrodzony w konkursie Strefy Kontakt, czyli „Kolejność fal” Filipa Zawady (reż. Daria Kopiec). Inny prapremierowy tekst zamówił u znanego ukraińskiego pisarza Serhija Żadana Teatr Polski w Warszawie. Jego „Charków! Charków!” wyreżyseruje Svitlana Oleshko, wybitna reżyserka, uchodźczyni z tego miasta. ©

Chopin i Metallica

Miłosz Bembinow:

Portale społecznościowe i popularne serwisy udostępniające treści, przede wszystkim muzyczne, cały czas bogacą się dzięki pewnej luce prawnej. Liczę, że wkrótce doczekamy się odpowiedniej ustawy. Właśnie zakończyły się konsultacje społeczne wokół jej projektu.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jakie mamy czasy dla artystów?

MIŁOSZ BEMBINOW: Kultura w Polsce nigdy nie miała łatwo – najpierw w PRL-u artyści byli pod pełną kontrolą władzy, potem cały świat sztuki próbowano na siłę urynkować. Problem w tym, że dobra kultury nie są produktami – są czymś znacznie więcej. Ostatnie 8 lat upłynęło pod znakiem powrotu do politycznego zawłaszczania kultury, co na szczęście w dużej mierze się nie udało.

A zmiany technologiczne są szansą czy zagrożeniem?

Ta dyskusja trwa od przeszło stu lat – gdy powstało radio, mówiono, że ludzie przestaną słuchać muzyki na żywo. Gdy pojawiły się płyty, a potem kasety, twierdzono, że to koniec radia. W przypadku kina, telewizji i serwisów streamingowych było dokładnie tak samo. Prawda jest taka, że odbiorcy kultury chcą jej doświadczać na różne sposoby, a pojawienie się nowego medium rzadko kiedy oznacza koniec innego. Ludzie dalej chodzą na koncerty czy do teatru. Niemniej z pewnością żyjemy w ciekawych czasach, którym trzeba stawiać czoła.

Z czym konkretnie powinniśmy się mierzyć?

Ważnym tematem jest implementacja unijnej dyrektywy o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym, czyli DSM [ang. *Digital Single Market* – red.]. Powinna obowiązywać w Polsce już od przeszło dwóch lat. Niestety, poprzednia władza mocno zaniedbała tę kwestię. Jesteśmy ostatnim krajem unijnym, który jeszcze tego nie zrobił. W praktyce oznacza to, że polscy twórcy są w znacznie gorszej sytuacji niż ich koledzy i koleżanki z innych krajów wspólnoty. Dotyczy to nie tylko artystów, ale wszystkich pracowników sektora kreatywnego.

O co chodzi w dyrektywie DSM?

Ma ona uporządkować relacje między twórcami a innymi podmiotami w skomplikowanym ekosystemie społeczno-ekonomicznym. Portale społecznościowe czy popularne serwisy udostępniające treści, przede wszystkim muzyczne, cały czas bogacą się dzięki pewnej luce prawnej, która powstała na po-



KINGA KARPAT & DANIEL ZAREWICZ / MATERIAL PRASOWY PARTNERA

Miłosz Bembinow

– dyrygent i kompozytor, prezes Stowarzyszenia Autorów ZAiKS.

czątku XXI wieku. Chodziło o wsparcie raczkujących podówcza firm internetowych. Zrodził się z tego patologiczny system, w którym z roku na rok powiększa się dysproporcja między tym, ile zarabiają artyści na klasycznych formach dystrybucji, jak choćby sprzedaż płyt, a ile czerpią z dystrybucji cyfrowej. Na szczęście Unia Europejska w pewnym momencie oprzytomniała i teraz próbuje wprowadzać regulacje.

Europa różni się pod tym względem od Ameryki?

Na naszym kontynencie fakt, że ktoś korzysta z czyjegoś dorobku artystycznego za darmo i bez pozwolenia, nawet jeżeli system prawny do pewnego stopnia na to przyzwala, wzbudza znacznie większy opór niż za oceanem.

Po zmianie władzy w Polsce sprawa ruszyła z miejsca?

Zdecydowanie. Proces wdrażania przyspieszył znacząco, co należy przyjąć za dobrą monetę. Nie mam wątpliwości, że wkrótce doczekamy się odpowiedniej ustawy. Moja troska dziś dotyczy jedynie jej jakości. Do końca lutego trwały konsultacje społeczne wokół projektu ustawy. My, jako duże stowarzyszenie twórców, wniosiliśmy do niej sporo poprawek, uwag i komentarzy. W przeszłości zdarzało się, że w podobnych sytuacjach prawo nadmiernie regulowało niektóre kwestie, dużo bardziej niż wynikało to z podstawowych założeń tego typu dyrektyw.

Co gorsza, na całym świecie istnieje potężne lobby, któremu zależy, aby te mechanizmy regulacyjne działały jak najgorzej – nie mówię tylko o Polsce. Przodują w tym Stany, lecz również i Chiny, gdzie wielkie koncerny technologiczne tworzące zarówno sprzęt, jak i oprogramowanie do niego czerpią duże korzyści z archaicznego *status quo*. Niemniej nie widzę powodów, dla których w Polsce miałyby funkcjonować gorsze dla artystów prawo niż w Niemczech czy na Litwie.

Polacy, ale również obywatele innych krajów Unii, chyba nie doceniają osiągnięć unijnej administracji w tej kwestii.

Nawet sami przedstawiciele środowiska twórców nie zawsze dostrzegają korzyści, jakie czerpią z unijnych regulacji.

Tylko państwa wspólnoty mówiące jednym głosem dysponują odpowiednią siłą przebicia, aby negocjować z wielkimi międzynarodowymi korporacjami. To oczywiście skomplikowany, powolny proces, ale nie ma innej drogi. Podobnie wygląda sytuacja w takich obszarach jak ekologia, prawa pracownicze czy ochrona danych osobowych.

Proszę podać przykład konkretnego narzędzia, które może pomóc polskim artystom.

Kluczowa w nowym prawie powinna być kategoria godziwego wynagrodzenia, z angielskiego *fair remuneration*, czyli stałe, proporcjonalne powiązanie zysków, jakie rozmaite podmioty osiągają dzięki twórczości danego artysty, z wypłacanymi mu tantiemami. To podstawa, na której można budować kolejne elementy nowego, bardziej uczciwego i etycznego systemu.

Sam jestem kompozytorem i wiem od moich kolegów z innych krajów, że od momentu implementacji tej dyrektywy poprawiły się warunki rozliczeń. Zazwyczaj zyski zwiększały się przeszło dwukrotnie, co oczywiście wciąż nie znosi nieuczciwej dysproporcji, ale zdecydowanie jest krokiem w dobrą stronę. Zwiększa się też powszechna świadomość problemu, co z kolei daje większe możliwości nacisku.

Co więcej, dzięki wprowadzeniu konkretnych rozwiązań prawnych coraz rzadziej mamy do czynienia z sytuacją, w której duże podmioty działają bez umowy. ZAiKS ma je podpisane z większością serwisów działających na terenie Polski, choć ubolewam, że niektóre polskie podmioty wciąż odmawiają współpracy, najczęściej zasłaniając się właśnie brakiem odpowiednich regulacji. Mam nadzieję, że to się wkrótce zmieni.

Z jakimi jeszcze problemami zmagają się dziś twórcy?

Bardzo niekorzystny dla całego środowiska jest tzw. *buy out*, czyli nieetyczny wykup pełni praw autorskich przez podmioty korzystające z pracy twórców. I znowu, nie chodzi tu wyłącznie o artystów, ale również pisarzy, dziennikarzy czy grafików. To praktyka, która również przyszła do nas z USA.

Co w niej złego?

Autor dostaje jednorazowe wynagrodzenie, odstępując w ten sposób od czerpania dalszych zysków ze swojego dzieła. Jest to sprzeczne z duchem europejskiego systemu praw autorskich, bo w większości wypadków to sytuacja niekorzystna dla twórcy. Taka umowa jest sporządzona na prawie spoza Europy, co w praktyce pozbawia autorki i autorów możliwości skutecznego odwołania się od niej. W praktyce oznacza to, że twórca pozbawia się udziału w komercyjnym sukcesie na przykład filmu czy serialu, do którego stworzył scenariusz czy skomponował muzykę.

Ale jeśli jest to czyjś świadomy wybór?

To w porządku, ale zazwyczaj ludzie są w taki czy inny sposób do tego zmuszani. Dotyczy to szczególnie początkujących twórców, którzy mają niewielkie możliwości negocjacyjne względem wielkich podmiotów. W dodatku honoraria w takich sytuacjach bywają rażąco niskie. W USA zdarza się nawet, że w ramach tego typu umów twórcy są pozbawiani samego autorstwa, co na szczęście nie jest możliwe w Europie.

Czyli brutalna logika zysku nie zawsze wygrywa.

W Polsce od jakiegoś czasu sporo mówi się o zrównoważonym rozwoju, choć ja wolę angielskie słowo *sustainability*, bo lepiej w nim słychać ideę odnawialności. Nie da się wyłącznie brać – żyjemy w zamkniętym, złożonym systemie, w którym trzeba też czasem coś dać od siebie, żeby nie doszło do katastrofy. Dobrze widać to w ekologii, ale równie ważne jest to w przestrzeni kultury. O wynagrodzeniach autorskich można myśleć jak o energii powracającej do systemu, która pozwala mu dalej działać. Jeśli odpowiednio o niego nie zadamy, nasz świat stanie się znacznie mniej różnorodnym, a przez to nieciekawym miejscem do życia.

Przykład?

Choćby zalew anglosaskiej muzyki popowej, która dominuje w radiu od dekad. Jednak dzięki istnieniu odpowiednich zapisów prawnych nadawcy są zobowiązani puszczać także polskich wykonawców, co znacząco poprawia kondycję naszej rodzimej sceny muzycznej. W Polsce ten minimalny zakres to 33 proc., w niektórych krajach jest to nawet 50 proc. Argument, że jeżeli coś jest dobre, to samo się obroni, nie sprawdza się w dzisiejszych czasach z bardzo wielu powodów, a logika rynkowa zdecydowanie nie sprzyja zachowaniu różnorodności kulturowej.

A sztuczna inteligencja? Mamy tu jakieś narzędzia kontroli praw autorskich?

Niestety, tu mleko już się rozlało i to dawno temu. W debacie publicznej temat pojawił się niedawno, ale proces tworzenia olbrzymich baz danych opartych na cyfrowych zasobach całej ludzkości trwa już od wielu lat. Najpopularniejsze wyszukiwarki internetowe od lat przeczesujące internet należą przecież do podmiotów, które teraz rozwijają technologie związane ze sztuczną inteligencją. Żeby te zjawiska kontrolować, należało działać pod koniec XX w.

To co możemy dziś zrobić?

Przede wszystkim potrzebna nam porządna edukacja. Dziś w dyskusjach o sztucznej inteligencji dominuje chaos. Nawet poważnym dziennikarzom zdarza się mylić podstawowe pojęcia, a do większości ludzi docierają jedynie strzępki informacji, często pozbawione kontekstu, czasem wręcz zupełnie fałszywe. W takich warunkach trudno o jakieś sensowne, długofalowe działania. Co gorsza, tę panikę przeplatana euforią wiele osób cynicznie wykorzystuje do własnych celów.

Co jeszcze?

Musimy wypracować krytyczne narzędzia do opisu tej sytuacji. Na przykład to, co powstanie dzięki sztucznej inteligencji, nie powinno być nazywane utworem, bo to pojęcie, zgodnie z prawem, zarezerwowane jest wyłącznie dla ludzkiej działalności. Ja na przykład wolę mówić o „tworach”. Do tego elementy, z których dany twór powstaje, powinny być wyraźnie zaznaczone. Jeśli ktoś ma fantazję, by przy pomocy algorytmów połączyć Chopina i Metallicę, to musi pamiętać, że bez pracy konkretnych ludzi nie byłoby to możliwe. © © Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

DWA ZŁOTE DO SZCZĘŚCIA

MACIEJ JAKUBOWIAK, PISARZ:

Czy istnieje jakieś lepsze życie i jakieś gorsze życie? Jedni są godni szacunku, a drudzy nie? Chyba nie jestem człowiekiem awansu.

Nie chcę, żeby ktokolwiek musiał awansować.

ZDJĘCIE JACEK TARAN

URSZULA HONEK: Właśnie wydałeś „Hanke. Opowieść o awansie”. Wyobrażałeś sobie, co powiedziałyby bohaterki Twojej książki – mama Hanka i babcia Albina – gdyby żyły i mogły ją przeczytać?

MACIEJ JAKUBOWIAK: Z Albiną poszłoby łątwiej. Pewnie powiedziałyby coś takiego: „Maciuś, to jest wielkie osiągnięcie, bardzo jestem z ciebie dumna, ale czy ktoś będzie chciał czytać taką książkę? Czy to jest naprawdę interesujące? I może lepiej, żebyś jednak nie mówił takich rzeczy o swojej mamie?”. A co powiedziałyby Hanka? Nie wiem. Nie napisałbym tej książki, gdyby żyła.

Dlaczego?

Hanka nie żyje od jedenastu lat, to prawie jedna trzecia mojego życia. Na bliskich często patrzymy z perspektywy ich końca, a gdyby nowotwór nie zjadł Hanki tak szybko, to starzałyby się, była coraz mniej sprawna fizycznie i intelektualnie, musiałbym się o nią przez wiele lat troszczyć i pewnie patrzyłbym na jej życie zupełnie inaczej, z innej perspektywy. Może mielibyśmy szansę odbyć rozmowy, które sprawiłoby, że nie musiałbym o niej pisać.

Masz poczucie, że nie znałeś Hanki?

Sporo wiedziałem, jasne, ale wielu rzeczy nie. Najmniej znałem tę wersję jej życia, kiedy jeszcze nie była mamą. Hanka, jak na tamte czasy, późno wyszła za mąż, urodziła pierwsze dziecko po trzydziestce. To chyba było najsilniejsze cięcie, które oddzieliło ją od sfery marzeń. Prawdę

mówiąc, po urodzeniu dzieci zaczął się chyba najgorszy etap w jej życiu, co oczywiście zbiegło się też z latami 80. i transformacją. Kiedy po jej śmierci porządkowałem z rodzeństwem mieszkanie, zdałem sobie sprawę, że była jakaś Hanka, która nie była mamą, miała swoje życie i o coś w tym życiu chodziło. To był pierwszy moment, gdy pomyślałem, że muszę się temu przyjrzeć.

Jakaś rzecz po niej szczególnie to sprawiła?

Zdjęcia z młodości. Byli na nich ludzie, których nie znałem, jacyś mężczyźni ją obejmowali, a ona wydawała się zadowolona. Nie znałem jej z tej strony, miałem jedynie szczątkową wiedzę o tym etapie jej życia. Nie opowiadała o swoich byłych chłopakach. Trochę mówiła o sporcie, że trenowała, ale też oględnie. A kiedy zrobiłem kwerendę, okazało się, że skakała znacznie dłużej, niż sądziłem. Choć najwyżej mogła skoczyć metr pięćdziesiąt pięć.

I przez całe życie Hanka obwiniata o to Albinę – swoją matkę.

Miała do niej żal, że Albina nie chciała się zgodzić na przeprowadzkę do innego miasta, kiedy Hanke chcieli zwerbować działacze klubu Górnik Zabrze. Pewnie Hanka myślała, że sama też odpowiada za swoje niepowodzenie, bo zwyczajnie nie może skoczyć wyżej? To nie była prawda. Pisano o tym sążniste artykuły w prasie: całe pokolenie dziewczyn nie potrafiło przekroczyć pewnego pułapu ze względu na błędy szkoleniowe na wczesnym etapie.





MACIEJ JAKUBOWIAK (ur. 1987) jest eseistą, redaktorem wicenaczelnym magazynu „Dwutygodnik”. Autor książek „Ostatni ludzie. Wymyślanie końca świata” oraz „Nieuchronny plagiat”. Publikuje również w „Tygodniku Powszechnym”.

Kraków, 28 lutego 2024 r.

Zawodniczkom po prostu brakowało odpowiedniej techniki. Po 1964 roku żadna polska zawodniczka nie skakała wzwyż na igrzyskach olimpijskich aż do roku 1980.

Może podobnie było z innymi rzeczami, które Hance nie wychodziły? Myślała sobie, że chodzi o jej wady, a to nie były jej wady. Nie poszła na studia, ale dzieci z rodzin takich, jak jej rodzina, rzadko zdobywały wyższe wykształcenie. Nie radziła sobie z pieniędzmi, kiedy samotnie wychowywała trójkę dzieci, ale przecież nie miała sobie z czym radzić, i to polskie państwo trzeba by raczej obwiniać, że nie zapewniało jej wsparcia.

Mamy dwa obrazy Hanki: zrekonstruowany przez Ciebie obraz ambitnej sportowczyni i Hanki leżącej na kanapie. Gdyby nie książka, być może zostałby Ci tylko ten drugi obraz.

Rzeczywiście, najlepiej zapamiętałem to leżenie na kanapie, z jej ostatniego etapu życia. Kiedy przeszła na emeryturę, próbowała łapać się różnych rzeczy, ale nic z tego nie wychodziło. Jasne, miała co robić, bo najpierw pomagała przy wnuczce, potem umarł jej ojciec, później matka, a na końcu sama zachorowała. Ale kiedy nie mogła już pracować, nic już właściwie nie trzymało jej w ryzach, leżała przed telewizorem, najpierw masowo czytała harlequiny, później przerzuciła się na seriale i w kółko oglądała „CSI: Kryminalne zagadki”.

Przecież to nie mogła być tylko kanapa.

Kiedy pracowałem nad książką, moja siostra przekazała mi listy od Hanki. To niesamowity dokument. Hanka była urzędniczką i produkowała różne dokumenty, ale chyba nigdy nie pisała nic swojego. Te listy to jedyne pisane świadectwo, jakie po niej zostało. Podczas ich lektury przypomniałem sobie rzeczy, o których wolałbym zapomnieć. Hanka potrafiła być okropną osobą: nierozumiejącą, niecierpliwą, nieustannie denerwowała się na bliskich, →

→ też na swoje dzieci. Kibicowała różnym moim ambicjom, a jednocześnie je krytykowała. Robiła wszystko, żebym mógł się uczyć, i pomagała mi w najróżniejszych rzeczach, ale jak robiłem te najróżniejsze rzeczy, to mi wyrzucała, że całymi dniami siedzi sama w domu, że z nią nie rozmawiam albo że łapię wszystkie sroki za ogon. A potem zaczęła jeszcze powtarzać swoje: „Wyżej srasz, niż dupę masz”. To wszystko bywało bolesne.

Może zacząłeś być dla niej z innego świata. Awansu właśnie. Ale najpierw w Waszej rodzinie awansowała Albina, matka Hanki.

To był awans znacznie bardziej spektakularny niż mój czy Hanki. To Albina była prawdziwą kobietą awansu. Wyszła ze skrajnej biedy w małopolskiej wsi i dotarła do stabilnego drobnomieszczańskiego życia w górnośląskim miasteczku. Albina pewnie wyobrażała sobie, że w dużej mierze to jej zasługa, bo była pracowita i oszczędna. A tak naprawdę była po prostu uczestniczką wielkiego procesu toczonego się w latach 50. i 60., czyli industrializacji i ściągania siły roboczej ze wsi. Nie było w tym nic wyjątkowego, tego samego doświadczyły wtedy miliony osób. W końcu zamieszkała w Żorach, gdzie powstały nowe bloki dla pracowników kopalni, w której pracował jej mąż, Marian. Ale pewnie, że była oszczędna, tego jej nie można odmówić. Chowała pieniądze w szafie.

Jak ją jeszcze pamiętasz?

Miała taki tik: bez przerwy nerwowo ruszała zuchwą, nie umiała usiedzieć w jednym miejscu, przebierała nogami. Cały czas była w ruchu. Podawała jedzenie, herbatki, mandarynki z puszki, kanapeczki. Jak skończyła serwować obiad, zaczynała podawać kolację. Jako dziecko od najwcześniejszych lat musiała ciężko pracować i to jej zostało na całe życie.

Kiedy ona miałaby się zastanowić nad tym, co się właściwie wydarzyło w jej życiu? Oczywiście wtedy było sporo opowieści awansowych, ale w gruncie rzeczy one wszystkie były inteligenckie. Albinę nie za bardzo interesowało, co warszawskie elity kulturalne miały do powiedzenia o takich ludziach jak ona.

Potem przyszły lata 90., w których dorastałeś, a wraz z nimi bieda:

Towarzyszy mi permanentne poczucie niepewności.

Bo jeżeli kiedyś czegoś nie miałem, a potem udało mi się to zdobyć, to czemu los nie miałby się znowu odwrócić?

doświadczenie wielu osób w tamtym czasie.

Tak. Nagle nikt już nie mówił o żadnych klasach społecznych, o ludziach z awansu. To jest niesamowite, jak Hanka i Albina gładko weszły w tę indywidualistyczną narrację lat 90. Pewnie uważały, że są kowalkami swojego losu, a przecież miały wszelkie powody, by uznać, że jednak nie. O tym właśnie piszę w książce: o tych wszystkich procesach, które ukształtowały ich – i nie tylko ich – życie, choć rzadko zdawały sobie z tego sprawę. W ten sposób chciałem też w pewnym sensie usprawiedliwić Hankę. To taki najprostszy społeczny odruch, że gdy ktoś, z kim się przyjaźnimy, zrobi coś niefajnego, to opowiadamy o wszystkich trudnych uwarunkowaniach, które do tego doprowadziły. Ale jeżeli kogoś nie lubimy, jeżeli jest poza granicami naszej wspólnoty, wtedy łatwiej go potępiamy.

Wiele było takich matek jak Twoja.

Może nie zawsze sobie radziły, ale się starały. Może było biednie, ale robiły wszystko, żebyśmy nie chodzili głodni. Wierzę, że ludzie raczej są dobrzy i w odpowiednich warunkach robią najlepsze rzeczy. Hanka na pewno nie chciała być matką, która nieustannie na nas krzyczy. Widziałem ją jako choleryczkę, która sama nie wie, czego chce, ale ona siebie jako rozumiejącą, opiekuńczą matkę. I kiedy chciała po prostu pogadać ze swoimi dziećmi, ale znowu zaczynała się z nimi kłócić, to pewnie sama nie wiedziała, dlaczego tak często wybucha. W książce spróbowałem więc ją usprawiedliwić i opowiedzieć o wszystkim, co jej nie wychodziło, ale też o tym, co jej się udawało.

Poruszasz w książce wiele trudnych wątków. Przyznajesz, że byłeś biedni. Wstydiłeś się tego? I kiedy poczułeś, że to, co macie, jest niewystarczające?

Kiedyś pewnie się wstydziłem. Teraz nie sędzę, że ktokolwiek powinien się wstydić własnej biedy. I ja bardzo długo nie chciałem dopuścić do siebie myśli, że jesteśmy biedni. Choć czasem się z nią zderzałem. Pamiętam takie zdarzenie: kiedy skończyłem gimnazjum i miałem iść do liceum, przeholowałem z internetem, Hanka nie miała jak zapłacić za rachunek, więc nam odcięli telefon. Czasem więc chodziłem do kafejki i przez internet poznałem dziewczynę, która też zaczynała naukę w tym samym liceum. Dużo gadaliśmy i chyba zacząłem się trochę zakochiwać. Pewnego dnia sięgnąłem po drobne, które zawsze leżały na lodówce, i powiedziałem mamie, że wychodzę. Musiała mieć je policzone, bo wstała, zapytała, gdzie są dwa złote, i kazała mi je zwrócić, bo inaczej nie będziemy mieli co zjeść na kolację.

Oddałeś?

Oddałem, pobiegłem do pokoju i się rozplakałem. Właśnie przede wszystkim dlatego, że bardzo nie chciałem przyznać, że jesteśmy biedni. Hanka w końcu przyniosła mi te dwa złote i powiedziała, żebym poszedł do kafejki, że ona jakoś to załatwi. Nie myślałem wtedy, co właściwie robiła, żeby mieć pieniądze na kolację. Pewnie poszła do sąsiadów albo do babci pożyczyć, albo zastawiła coś w lombardzie. Myślę, że mama nieraz miała z tyłu głowy myśl, skąd weźmie na kolejny obiad i czy wystarczy jej do końca miesiąca. Myślała o tym wszystkim, o czym ja nie musiałem.

Kiedy pisałem książkę, trafiłem na raport dotyczący ubóstwa i jego skutków. Z badań wynikało, że kiedy w obecności osób, które doświadczają ubóstwa, wspomina się o jakichś nieplanowanych wydatkach, ich współczynnik inteligencji momentalnie spada o 13-14 punktów. Hanka nieustannie musiała się martwić o pieniądze i nie miała nawet czasu, by być lepszą wersją siebie.

Czujesz się człowiekiem awansu?

Niewątpliwie prowadzę zupełnie inne życie niż moja mama i babcia. Może gdyby żyły, trudno byłoby nam się dogadać – to częsty motyw opowieści o awansie. Doświadczyłem niedostatku i niepewności. Bardzo ciężko pracowałem, żeby pokonać trudne uwarunkowania, a one pozostawiły we mnie różne nerwice. Towarzyszy mi na przykład perma-

nentne poczucie niepewności. Bo jeżeli kiedyś czegoś nie miałem, a potem udało mi się to zdobyć, to czemu los nie miałby się znowu odwrócić?

A teraz co myślisz?

Cały ten mój niby awans sprawił, że w ogóle mi się nie podoba hierarchia społeczna, która sprawia, że jest on konieczny. Bo co: istnieje jakieś lepsze życie i jakieś gorsze życie? Jedni są godni szacunku, a drudzy nie? O jednych się pisze książki, a o innych się nie pisze książek? Chyba jednak nie jestem człowiekiem awansu. Nie chcę już awansować, nie chcę, żeby ktokolwiek musiał awansować. Chciałbym za to, żeby do radia zapraszano czasem po prostu matkę samotnie wychowującą dzieci, żebyśmy zaczęli bardziej szanować sprawy i ludzi niewidocznych. Za takie rzeczy nie dostaje się nagród literackich, a ja bym chciał, żeby każdy człowiek mógł dostawać nagrody.

Ale na studia poszedłeś, zrobiłeś doktorat. W dzieciństwie ciągnęło Cię do czytania i inteligenckiej prasy.

Jasne, sporo czytałem, bo książki po prostu były w domu, to nie było nic nadzwyczajnego. Pamiętam, jak czytałem „Władcę Pierścieni”, równoległe z kolegą z mieszkania wyżej. Jak chcieliśmy pogadać, stukaliśmy w kaloryfery, i jak czytaliśmy Tolkiena, to co chwilę coś omawialiśmy. Pukam więc raz do niego, wychyliamy się przez okna, i ja krzyczę: „Czytałeś już ten kawałek? Frodo nie żyje!”. Już w liceum zacząłem regularnie czytać prasę. W „Polityce” przeczytałem felieton Jerzego Pilcha, który wspominał swoje czasy w „Tygodniku Powszechnym”, więc zacząłem kupować „Tygodnik Powszechny”. Matko! Stałem z tymi wielkimi płachtami na przystanku w Rybniku, wiatr wiał, nie dało się tego czytać! Wtedy jeszcze sięgałem do działu Wiara, bo przeżywałem zwrot religijny i chciałem zostać księdzem, ale na szczęście po paru latach mi przeszło. Marzyłem wtedy, żeby pisać do „Tygodnika Powszechnego” erudycyjne eseje. I widzisz – to się akurat udało.

Niedawno wróciłem do gry w hokeja. Trenowałem przez chwilę, kiedy byłem dzieciakiem, ale teraz z jakiegoś powodu znowu to pokochałem. I odkryłem, że wielką frajdę może sprawiać mi coś, w czym nigdy nie będę już dobry.

Autoprezentacja



■ **NIEUCHRONNY PLAGIAT. PRAWO AUTORSKIE W NOWOCZESNYM DYSKURSIE LITERACKIM** to opowieść (akademicka, ale nie hermetyczna)

o tym, jak oryginalność stała się prawem. Literackim, estetycznym, ale przede wszystkim tym najdosłowniejszym, skodyfikowanym w ustawach i konwencjach. A jednocześnie to historia nieustannych wątpliwości, czy oryginalność w ogóle jest możliwa.



■ **OSTATNI LUDZIE. WYMYŚLANIE KOŃCA ŚWIATA** to próba zrozumienia, dlaczego apokaliptyczne opowieści, tyle razy niesprawdzone,

nie tracą mocy przekonywania. Gęsty splot tekstów literackich i filozoficznych, filmów, seriali, gier komputerowych układa się w opowieść o tym, co się dzieje z nowoczesnym marzeniem o postępie, kiedy wywraca się ono na nice.



■ **HANKA. OPOWIEŚĆ O AWANSIE** to historia jednej zwyczajnej rodziny, babki, matki i syna, splatająca się z wielkimi procesami historycznymi

i społecznymi, które radykalnie zmieniają ludzkie życie. Przez tę mieszaną eseju, (auto)biografii i literackiej fikcji nieustannie przeplata się pytanie o to, co właściwie znaczy „lepsze życie”? © MJ

Jeździsz czasami do rodzinnych Żor? Pamiętam, że po żorskim festiwalu literackim, z którego wracaliśmy razem, pokazałeś mi rodzinny blok. Twoja książka nie była jeszcze wydana. Bardzo mnie to wtedy wzruszyło.

Po śmierci mamy sprzedaliśmy mieszkanie, ale czasem odwiedzam jej sąsiadów. Chciałbym wejść do mieszkania, w którym się wychowałem, ale to już niemożliwe. Nie odwiedzę też mieszkania dziadków. I właściwie nie ma już tamtych Żor, które pamiętam. Miasto bardzo się zmieniło. Kiedy mama zachorowała, często u niej bywałem. Nauczyłem się

wtedy dzwonić do niej codziennie, a nigdy wcześniej to mi się nie zdarzało. Zrobiłem prawo jazdy i kupiłem samochód, żeby bywać u niej możliwie często. Robiłem mamie zakupy i gotowałem, ale ona była w trakcie chemioterapii i wybrzydzała jak małe dziecko. Nic jej nie smakowało. Bardzo się wtedy na nią wkurzałem. Nikt mi nie powiedział, że to jest najczęstszy skutek chemioterapii i że są na to jakieś sposoby.

Pamiętasz ostatnie dni Hanki?

Kiedy mama trafiła do szpitala po raz ostatni i już było wiadomo, że umiera, to przez tydzień siedzieliśmy w jej mieszkaniu: ja, moja żona i brat. Odwiedzaliśmy ją dwa lub trzy razy dziennie. Dbaliśmy o wszystko. Chcieliśmy być przy niej w chwili śmierci, ale nikt ze szpitala do nas nie zadzwonił na czas. Dopiero o siódmej rano dostałem telefon, że mama zmarła trzy godziny wcześniej. Żałuję i nie umiem sobie wybaczyć, że mnie nie było przy niej. Byliśmy tuż obok, mogliśmy w każdej chwili tam pójść, ale nie dostaliśmy tej szansy.

Masz jakąś najważniejszą scenę z Waszego wspólnego życia?

Mam jeden obraz w głowie: siedzę na fotelu w dużym pokoju, nogi trzymam wyciągnięte na drugim fotelu, na prawo ode mnie stoi ława, a za tą ławą jest kanapa, na której leży Hanka. Na ławie dwa talerze kanapek. Jeden z najtańszą pasztetową, a drugi z serem, rzodkiewką i ogórkiem. Oglądamy jakiś serial. Tak to wyglądało. Oglądaliśmy telewizję i gadaliśmy o różnych rzeczach.

Pooglądałbyś sobie jeszcze, prawda?

Pooglądałbym, no pewnie. Zapytałbym Hankę o wiele rzeczy. Ale jestem ateistą i wiem, że już sobie nie pogadamy. Nawet sobie nie wyobrażam, że kiedyś się jeszcze spotkamy. Choć może nie jestem jednak taki zupełnie konsekwentny, bo przecież odwiedzam jej grób. Leży z Albiną i Marianem w jednej mogile. Nie mam tam żadnego dobrego rytuału do odprawiania, więc stoję nad grobem i coś tam do nich mówię. Potem stukam obłączką w nagrobek i odchodzę. Tyle mi pozostało. Hanka z jakiegoś dziwnego powodu uwielbiała cmentarze i bardzo dbała o groby bliskich. Teraz moja kolej.

© Rozmawiała URSZULA HONEK

Zniewolona przez biografię

MACIEJ MIŁKOWSKI

Kronikarka rodzinnych katastrof i długodystansowa alkoholiczka. Spod powikłanego życiorysu Lucii Berlin czas wydobyć jej dzieło.

NAWET NAJCIĘKAWSZY I NAJBARDZIEJ powikłany życiorys jest dla pisarza tylko surowym materiałem, wymagającym daleko idącej obróbki. I nawet pisarka tak wyraźnie autobiografizująca jak Lucia Berlin sporo w swoich doświadczeniach „przerabiała”, zanim przelała je na papier. Potencjał literacki życiorysu nie zależy bowiem od atrakcyjności czy wyjątkowości samych życiowych zdarzeń, a raczej od talentu opracowującego go pisarza. „Nieważne, jak było – mawiał Jerzy Pilch – ważne, jak się napisało”.

Wydawcy książek Berlin najwyraźniej uważają jednak inaczej, bo każda z nich opatrzona jest wstępem, często autorstwa któregoś z synów Berlin (to osobne zagadnienie, czy dziecko jest najlepszym komentatorem artystycznego dzieła swego ojca lub matki), a także rozbudowaną notą biograficzną. Powstaje w ten sposób złudzenie, że te opowiadania są warte uwagi, bo napisała je osoba o wyjątkowo ciekawym życiorysie. To zresztą chyba szersza tendencja: coraz częściej wmawia się nam, że czyjeś dzieło należy poznać dlatego, że stworzył je człowiek o niepospolitej biografii. W istocie zaś bywa odwrotnie: jeśli w ogóle biografia jakiegoś twórcy może być interesująca, to głównie dlatego, że jest to biografia autorki czy autora wybitnych dzieł.

Czy biografia Lucii Berlin jest interesująca? Jeśli tak, to z pewnością nie z racji swojej niezwykłości, ale raczej z powodu daleko idącej przeciętności. Biografia Berlin jest umiarkowanie „literacka” i jej głównym osiągnięciem jest właśnie to, jak wiele z tego niezbyt wyszukanego losu zdołała literacko wycisnąć. Jej najlepsze opowiadania są kroniką przeciętnych (choć nieraz przerażających) wydarzeń, będących udziałem przeciętnych (choć nieraz odrażających) ludzi. Być może zresztą stąd ich spóźniona popularność. Żaden pisarz nie może przecież serio ocze-

kiwać, że jakkolwiek czytelnik zainteresuje się jego życiem. Pisarz może jedynie liczyć na to, że czytelnik zainteresuje się swoim własnym życiem i zechce je za pośrednictwem dzieł pisarza badać.

Dziesięć lat później

Lucia Berlin urodziła się w 1936 r. na Alasce. Pierwsze lata życia upłynęły jej pod znakiem nieustannych przeprowadzek. Jej ojciec był pracującym w górnictwie inżynierem i jego krótkoterminowe kontrakty rzucały rodzinę w coraz to nowe miejsca. Mała Lucia zaliczyła w ten sposób Kentucky, Montanę, Idaho, Teksas, Arizone, a nawet Chile. W dorosłości utrzymała ten koczowniczy tryb życia – mieszkała w Nowym Jorku, Meksyku, Kalifornii, regularnie zmieniając adresy. Jak czytamy w książce „Witaj w domu”, „w swoim życiu nazywała domem osiemnaście różnych miejsc” (wyliczanka kolejnych adresów porządkuje zawarte w książce wspomnienia).

Jej życie uczuciowe charakteryzowało się taką samą mobilnością. Trzy razy wychodziła za mąż, wchodziła w niezliczone inne, mniej lub bardziej trwałe związki. Miała czterech synów, których ciągnęła za sobą z domu do domu, ze związku do związku. Całe życie zmagająca się z alkoholizmem. Cierpiała z powodu poważnej wady kręgosłupa, pod koniec życia nieumożliwiającej jej swobodne funkcjonowanie. W ostatnich latach chorowała onkologicznie. Paradoksalnie jednak te ostatnie lata były najstabilniejsze. Berlin zdołała bowiem stłumić nałóg, wykonywała też stabilniejsze i bardziej satysfakcjonujące prace: wykładała, uczyła twórczego pisania. Wcześniej przez długie lata często pracowała poniżej kwalifikacji za niskie wynagrodzenie. Bywała telefonistką, rejestratorką w szpitalu, sprzątaczką. „Lepsze” prace (na przykład nauczycielki) szybko traciła – często z powodu picia.

Pisać zaczęła stosunkowo późno. Debiutowała dobrze po czterdziestce i pisywała właściwie wyłącznie opowiadania. Za życia osiągnęła kawałek uznania – głównie środowiskowego – i otrzymała nieliczne nagrody. Masowy rozgłos jej pisarstwo zdobyło dopiero dekadę po jej śmierci. Berlin zmarła w roku 2004. „Instrukcję dla pań sprząających” uznano za jedną z najważniejszych książek roku 2015.

Elementy jej biografii łatwo odnaleźć w opowiadaniach. Niemal w każdym główna bohaterka stylizowana jest na samą Lucię. Jej bohaterki uczą, sprzątają, pracują w szpitalach. Mają synów, którymi nieraz się opiekują, a innym razem ich zaniedbują. Często się przeprowadzają. Rozwodzą się, porzucają i są porzucane. Niekiedy mają skoliozę. Zawsze piją. Nie dogadują się z matką. Nie dogadują się z siostrą. Tracą pracę. Piją. Muszą się wyprowadzić. Zabierają dzieci i uciekają. Gdzieś jadą, skądś wracają. Piją.

Prawda zmyślona

Jeśli czyta się wspomnienia z „Witaj w domu”, znając już dwa zbiory opowiadań, to z łatwością odnajduje się te same sceny i motywy. Ojciec Berlin jest inżynierem górnictwa, tak jak i ojciec bohaterki niektórych opowiadań. Dziadek jest dentystą – i u Berlin, i w opowiadaniach. Jeden z mężów Berlin jest muzykiem jazzowym, tak jak mąż bohaterki niektórych jej opowiadań. Jeden z mężów jest narkomanem – tak w życiu, jak i w opowiadaniach.

Ciekawe jednak, że te same sceny w prozie autobiograficznej nie działają tak silnie jak w opowiadaniach. Jest np. w „Witaj w domu” scena, w której mąż wychodzi z domu (najpewniej porzucając Berlin na stałe), ale po dwudziestu minutach wraca, bo czegoś zapomniał. Przez te dwadzieścia minut Berlin przebiera się, całkowicie zmienia swój wygląd, przemeblowuje dom, oddaje coś sąsiadom, coś wyrzuca. Zmienia dekoracje, tak jak całkowicie zmienia swoje życie. Dwadzieścia minut później mąż patrzy na nią osłupiały. Ta scena nie przekonuje, prawda? Niemożliwe, żeby w dwadzieścia minut przemeblowała przestrzeń, przebrała się i poszła do sąsiadów – myśli czytelnik. Nieprawdopodobne, nawet jeśli tak właśnie było. Niemal dokładnie taka sama scena pojawia się w opowiadaniu „Lead Street, Albuquerque” – i tam jest ona niezwykle przekonująca, poru-



MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA CZARNE

Lucia Berlin z synami, Markiem i Jeffem, w nowojorskim zoo, 1963 r.

szająca, symboliczna, ale też jakoś po prostu... prawdziwa. Okazuje się, że zmyślenie literatury pięknej bywa nieraz prawdziwsze niż prawda literatury faktu.

W opowiadaniach Berlin jest też wobec samej siebie i swoich bliskich znacznie bardziej bezlitosna. Portrety rodziców i siostry w tomie „Witaj w domu” są w dużej mierze uładzone. Matka wielu bohaterów opowiadań Berlin jest zaś skrajnie toksycznym potworem. Relacja z siostrą – we wspomnieniach wyszlifowana – w opowiadaniach bywa bardzo powikłana, pełna wzajemnej złości, oskarżeń i pretensji. We wspomnieniach Berlin przedstawia się jako dość troskliwa, nawet jeśli nieco rozproszona matka. Gdzieś te swoje dzieci zabiera, coś im pokazuje. Z kolei w opowiadaniach jej narratorki skrajnie zaniedbują swoje dzieci, krzywdzą je, zapominają o nich, nie mają dla nich czasu, bo właśnie z kimś romansują, a przede wszystkim – piją.

We wspomnieniach Berlin pisze o dziadku, że „nawet latem nosił wykrochmalone białe koszule oraz eleganckie garnitury z kamizelkami”. I tylko z jednego aluzyjnego zdania – „Czasem łapał mnie i kołysał na kolanach, nawet gdy płakałam” – można wyczytać to, co jest dobrze widoczne w kilku opowiadaniach: koszmarnego wykorzystywania seksualnego. Czy pisze o sobie, czy o swoich bliskich, Berlin

zawsze działa wedle tej samej zasady: gdy pisze prawdę, wygląda i łagodzi; gdy pisze zmyślenia, mówi całą prawdę.

Taka praca

Niezależnie od tego, w jak dużym stopniu opowiadania z „Instrukcji dla pań sprzątających” i „Wieczoru w raju” są zakorzenione w życiu Lucii Berlin, to z pewnością są zakorzenione w życiu jako takim. W codziennym życiu, w zwyczajnym, powtarzalnym życiu, w poniedziałkach i wtorkach. Opowiadania Berlin nie zajmują się samymi sobą, nie zajmują się literaturą, nie ma w nich wewnętrznej świadomości, autotematyzmu, metapoziomów. To nie są opowiadania o opowiadaniach, to nie są opowiadania o literaturze.

Odniesienia literackie są u Berlin rzadkie (jedynym nawracającym jest Proust), jej bohaterki nie są pisarkami, niekiedy, owszem, uczą pisanie, ale raczej więźniów niż studentów – samo pisanie rzadko zresztą bywa kluczowe tak dla fabuły, jak i budowy opowiadania. To są raczej opowiadania o praniu czy sprzątaniu, a nie o czytaniu i pisaniu – i pewnie przez to są znacznie ciekawsze.

Zresztą sama Berlin przez większość życia – mimo znajomości i kontaktów ze środowiskiem artystycznym – raczej jako pisarka nie funkcjonowała, pisarką na co dzień nie była. Z tego funkcjono-

wania poza głównym obiegiem, z tego braku najprościej rozumianego sukcesu również potrafiła zrobić swój atut. Jest w którejś z jej książek obraz umęczonego codziennym życiem Chucka, wrzucającego do skrzynki pocztowej przesyłki z jakimś swoim opowiadaniem. Chuck wrzuca i nie ma specjalnej nadziei na odpowiedź, na druk, na jakąkolwiek reakcję świata. Zresztą nawet jeśli wydrukują, to co to właściwie zmieni? I tak następnego dnia trzeba będzie pójść do pracy. Podobnie pewnie musiało to wyglądać u Lucii Berlin. Ciekawe zresztą, że w jej opowiadaniach nie widać ani śladu frustracji, pretensji do losu, żalu z racji niedoceny, niedostatecznego uznania. Nie wiem, czy Berlin miała w ogóle jakiejkolwiek ambicje literackie – w sensie sukcesu czy pozycji w życiu literackim. Z pewnością szukała literatury poza samą literaturą – uwydatniała potencjał codziennego życia, opowieść kryjącą się nie na kartach uczonych książek, ale w poczekalniach, pralniach, gabinetach, stacjach benzynowych, sklepach.

Pisarstwo Berlin jest tym samym mimowolnie głosem w toczącej się od pewnego czasu dyskusji na temat pracy pisarza. Czy pisanie to w ogóle jest praca? Czy to jest praca taka sama jak wszystkie inne? Jeszcze niedawno częściej usłyszałoby się odpowiedź negatywną niż ➔

→ pozytywną. Dziś jednak coraz częściej słyszy się, że pisanie jest pracą, a w związku z tym pisarzowi należą się takie same korzyści jak wszystkim innym pracownikom – wynagrodzenie, ubezpieczenie, emerytura.

Nawet jeśli jednak uznamy za zasadne rozmaite postulaty dotyczące sytuacji bytowej artystów – bo przecież nie tylko pisarzy – to samo twierdzenie, że pisanie jest po prostu pracą może budzić pewne zastrzeżenia. Po pierwsze, pisarz nie ma pracodawcy, dla nikogo konkretnego nie pracuje. Pracodawcą pisarza nie jest ani wydawca, ani czytelnik. Po drugie bowiem, to efekt artystyczny jest jedynym, co powinno przyswiecać każdemu piszącemu. Pisanie nie owocuje żadnymi produktami, nie ma immanentnej wartości rynkowej, nie da się przełożyć na wskaźniki ekonomiczne. Próba potraktowania twórczości literackiej jako zwyczajnej pracy zarobkowej wiąże się z ryzykiem artystycznej zapaści. „Piszę od ósmej do szesnastej”, wyznał kiedyś pewien polski pisarz. Złośliwi mogliby odpowiedzieć, że to, owszem, u niego widać. Lucia Berlin z pewnością nie pisała od ósmej do szesnastej. To również wyrażnie widać.

Przeszłość nie szkodzi

Czy gdyby Lucia Berlin nie musiała sprzątać, opiekować się pacjentami i odbierać telefonów – gdyby mogła tylko pisać – to jej pisarstwo było lepsze? Być może obfitsze. Ale czy jako stypendystka, rezydentka i laureatka Berlin napisałaby rzeczy lepsze niż jako sprzątaczką i recepcjonistką? Mało prawdopodobne.

Niezliczone są przykłady pisarzy, którzy napisali świetne pierwsze książki jako kelnerzy czy portierzy, a o wiele słabsze książki kolejne jako „pisarze”. Lucia Berlin całe życie pisała jako „kelnerka”, nie jako „pisarka” – i przypuszczalnie jej pisarstwo na tym zyskało, choć nie jest to oczywiście uniwersalna recepta na arcydzieło. Warto się jednak zastanowić, czy zwalniając pisarzy z konieczności zarabiania na życie nie odbierzemy im tym samym źródła doświadczeń ważniejszych niż czysto literackie – i czy z tego właśnie źródła nie wypływa niekiedy coś więcej niż tylko pieniądze na czynsz i rachunki.

W tym kontekście Marcel Proust – człowiek, który właściwie nigdy nie musiał pracować – wydaje się antytezą Lucii Berlin, tak jak i jego monumentalny cykl powieściowy wydaje się antytezą rwanych i migawkowych opowiadań Berlin. A jednak to on jest pisarzem najczęściej w opowiadaniach Berlin przywoływanym. W opowiadaniu „Zagubiona w Luwrze” pojawia się motyw niemożności przypomnienia sobie najwykleszych rzeczy – narratorka bezskutecznie próbuje sobie przypomnieć jakieś swoje łóżko z dzieciństwa. Ten motyw nieudanego porządkowania wspomnień łączy Berlin z Proustem. Bo przecież ostatecznie „W poszukiwaniu straconego czasu” opowiada raczej o niepamięci, niż pamięci. Jest też w opowiadaniach Berlin proustowska nostalgia. W pierwszej chwili bywa ona szokująca, zwłaszcza jeśli sobie uzmyslowimy, że „kraj lat dziecińczych”, za którym narratorka tęskni, jest obiektywnie dość koszmarny. Kłótnie, alkohol, wykorzystywanie seksualne, konflikty, rozstania, kosmary... Nie szkodzi. Nasza przeszłość – zwłaszcza ta odległa, ta legendarna – uruchamia w nas nostalgiczne tropy, nawet jeśli obiektywnie nie jest godna tęsknoty, nawet jeśli jest przyziemna i ponura.

W tym kryje się największa wartość twórczości Lucii Berlin. We wspaniale skrojonych i nieprzegadanych opowiadaniach Berlin potrafi pokazać, że zwyczajne – i niewolne od cierpienia – życie też może być polem, na którym kwitnie tęsknota, na którym kwitnie literatura. To tam, w sali szpitalnej podrzędnej i zaniedbanej kliniki, pośród ludzi zdławionych zwyczajnym i rozczarującym życiem, w monotonii marnych i wykańczających prac – również czai się na nas wielka literatura.

© MACIEJ MIŁKOWSKI



Lucia Berlin,
**INSTRUKCJA
DLA PAŃ SPRZĄTAJĄCYCH**,
przeł. Dobromiła Jankowska,
Czarne, Wołowiec 2023

Lucia Berlin,
WITAJ W DOMU,
przeł. Dobromiła Jankowska,
Czarne, Wołowiec 2024



Rola życia

MONIKA OCHĘDOWSKA

Kiedy świat zobaczył ją w „Taksówkarzu”, trzynastolatka miała już na koncie więcej filmów niż Robert de Niro i Martin Scorsese. Dwa pierwsze Oscary zdobywa przed trzydziestką. W tym tygodniu ma szansę na trzecią statuetkę, może najważniejszą w karierze.



KIMBERLEY FRENCH / NETFLIX / BE&W

Jodie Foster jako Bonnie Stoll i Annette Bening jako Diana Nyad w filmie „Nyad”, 2023 r.

WYSTĘPOWAŁA PONAD 80 RAZY. Teraz maraton z filmami Jodie Foster pozwala widzowi odkryć zaskakującą prawidłowość – przez wiele lat aktorka obsadzana była w roli niemal romantycznej. Być może to po prostu przepis na dobre kino stawiające w centrum bohatera, ale warto zwrócić uwagę, że jej postaci często wylaniają się z mroku, by samotnie walczyć ze światem, oczywiście po stronie prawa, dobra i prawdy.

Bez koleżanek

Weźmy „Oskarżonych” w reżyserii Jonathana Kaplana (1988) – produkcję, która przyniosła jej pierwszego Oscara oraz Złoty Glob. Foster – jako Sarah Tobias – ucieka w środku nocy z przydrożnego baru, rozpaczliwie próbując ratować życie. To jeden z pierwszych hollywoodzkich filmów, który tak mocno pokazywał

przemoc seksualną z punktu widzenia ofiary – od poniżającego przesłuchania i obdukcji aż po proces, w którym Tobias, walcząc o swoje prawa, podlega wtórnej wiktymizacji.

W finałowej, legendarnej scenie „Milczenia owiec” Jonathana Demme’a (1991), w której seryjny morderca obserwuje ją przez noktowizor, kandydatka na agentkę FBI Clarice Starling także uparcie przebija się przez mrok. Rola, która przyniosła jej drugą statuetkę amerykańskiej Akademii, to – mimo upływu lat – wciąż jeden z najbardziej feministycznych obrazów, w którym dobitnie przedstawiony zostaje drapieżny męski świat bez skrupułów pożerający kobiety.

Zresztą w samym Hollywood, jak w filmowym FBI, nie ma w tamtym czasie wielu koleżanek. Foster otoczona jest

wyłącznie facetami, którzy – tak było w „Taksówkarzu” – nieustannie wydają jej polecenia, poprawiają sposób, w jaki gra, wymuszają powtarzanie kwestii (Robert de Niro) albo wstydliwie chichoczą, nie wiedząc, jak rozmawiać z młodą aktorką (Martin Scorsese). To im zapamiętała.

W fantastycznonaukowym „Kontakcie” Roberta Zemeckisa (1997), który Foster uważa za jeden ze swoich najważniejszych filmów, dostaje rolę astrofizyczki Ellie Arroway, nasłuchującej przez skomplikowaną aparaturę, co kryje się w mroku wszechświata. Lekcje ciemności pobiera także w najnowszym sezonie kryminalnego serialu „Detektyw” w reżyserii Issy López (2024), którego akcja rozgrywa się podczas jednej z polarnych nocy na Alasce.

Słowem: naprawdę wyluzowanej dziewczyny nie było jej dane zagrać od czasu Disneyowskiego „Zwariowanego piątku” (1976). Tym większe jest wrażenie, jakie robi w swojej najnowszej produkcji, pełnej humoru opowieści o przyjaźni między dwiema dojrzałymi kobietami. „Nyad” (reż. Jimmy Chin i Elizabeth Vasarhelyi, 2023) to historia oparta na biografii pływaczki, która już jako emerytowana sportsmenka w wieku 64 lat przeplęnęła dystans 177 km z Kuby na Florydę. Diana Nyad dokonała tego (pierwsza na świecie!), spędzając w wodzie 53 godziny, zabezpieczona specjalną kłatką chroniącą ją przed rekinami. Foster – bez makijażu, w luzackich koralikach, krótkich spodenkach i trampkach – gra tutaj przyjaciółkę i trenerkę Diany (w tej roli Annette Bening). Obie aktorki otrzymały za swoje kreacje nominacje do tegorocznych Oscarów (ceremonia wręczenia Nagród Akademii Filmowej odbędzie się w nocy z 10 na 11 marca).

Nie bez znaczenia jest z pewnością fakt, że pokazana przez Foster z taką lekkością Bonnie Stoll jest lesbijką. Swoich dorosłych dziś synów aktorka wychowywała z producentką filmową Cydney Bernard, przez wiele lat nie zdradzając wielu szczegółów na temat prywatnego życia. Mimo że od dekady jest w związku z fotografką Alexandrą Hedison, dopiero trzy lata temu na Festiwalu Filmowym w Cannes, odbierając Złotą Palmę za całokształt twórczości, po raz pierwszy przeszła po czerwonym dywanie trzymając za rękę kogoś naprawdę bliskiego.



Jodie Foster jako Iris w filmie „Taksówkarz”, 1976 r.

Życie jest gdzie indziej

→ Wróćmy na moment do czasów między jej słynną rolą w „Taksówkarzu” a zdobyciem pierwszych ważnych nagród. W czerwcu 1980 r. nastoletnia Jodie Foster razem z mamą Brandy zjawiają się w nowojorskim studio Andy’ego Warhola, by udzielić mu wywiadu do miesięcznika „Interview”, a następnie zjeść kolację z ludźmi jego Fabryki.

Rozmowy Warhola różniły się od reszty prasowych wywiadów – z zasady dotyczyły bowiem wyłącznie błahych spraw, pozwalając czytelnikom uchwycić specyfikę chwili spędzanej z gwiazdami, a także – pośrednio – ich charakter: grymasy, niezręczności, pozy. Dzięki temu zawierają mnóstwo interesujących didaskaliów, które przeciętny redaktor wyrzuciłby podczas redago-

wania. Już z pierwszych zdań dowiadujemy się więc (poza tym, jak bubkowaty potrafił być Warhol), że Brandy, najwyraźniej reagując na nerwowe zachowanie córki, dopytuje: „Czy to makijaż tak Ci dokucza, Jodie?”. „Tak – przyznaje nastolatka – nie mogę się doczekać, aż wrócę do domu”.

Nic dziwnego, że jest zmęczona: gra od trzeciego roku życia – najpierw w reklamach przeróżnych produktów. Jej mama, samotnie wychowująca czwórkę dzieci mieszkanka Los Angeles (rodzice rozwodzą się, zanim Jodie pojawi się na świecie), szuka pomysłu na podreperowanie domowego budżetu. Trudno o lepszą fuchę niż role w reklamówkach czy filmach, szczególnie gdy mieszka się w latach 70. przy Hollywood Boulevard i ma znajomości w show-biznesie.

„Siedzę na krześle w jakiejś przyczepie, jest 4:30 rano, przenikliwie zimno. Ktoś nakłada mi na twarz gruby naleśnik – wspomina swoje dzieciństwo Jodie Foster. – Kiedy wracasz do domu wieczorem po 10 godzinach pracy, naleśnik dosłownie spływa z ciebie do zlewu”. Dlaczego się nie buntuje? Utrzymuje rodzinę, więc ma poczucie, że nie może popełnić błędu. Do tego nieustannie znajduje się w centrum uwagi mediów. Ale nie narzeka. „Jesteśmy zespolem” – mówi o sobie i matce.

Bierze zlecenie za zleceniem. W wieku 17 lat ma na koncie role w 16 filmach i choć wydaje się, że nie kocha tej roboty („To tylko biznes – powtarza Warholowi – nie mam zamiaru zostać gwiazdą, prawdziwe życie toczy się gdzie indziej”), jest zafascynowana wszystkim, co dzieje się na planie, nieustannie chodzi też do kina, nawet na kiepskie filmy. Mama wybiera dla niej liceum z wykładowym francuskim, Foster od grania ucieka więc w książki i zanim zagra o Oscara, skończy z wyróżnieniem literaturoznawstwo na Uniwersytecie Yale, pisząc pracę końcową o „Pieśni Salomonowej” Toni Morrison – powieści, będącej historią awansu społecznego Afroamerykanów.

Kiedy ktoś z ekipy Warhola dopytuje, jak wczuwa się w postać, bez zastanowienia odpowiada, że w ogóle tego nie robi. Po prostu uczy się kwestii i próbuje odwoływać do swojego instynktu. Po latach przyzna, że aby wykrzesać z siebie emocje, powtarza czasem w myślach wybrane wiersze. To nie tak, że nie ma kontaktu ze swoimi uczuciami, po prostu nie ma scenicznej osobowości ani wykształcenia. Czy byłaby lepszą prawniczką niż jest aktorką? Sądzi, że to prawdopodobne. Ponieważ mimo wszystko zna się wyłącznie na filmowym języku, chce się rozliczyć z czasem dorastania, samodzielnie stając za kamerą. Gdy tylko pojawia się odpowiedni scenariusz Scotta Franka (tego samego, który po latach napisze „Raport mniejszości” i „Gambit królowej”), zakłada firmę producencką i reżyseruje obraz „Tate – mały geniusz” (1991). Ma wtedy 29 lat.

Zamach

Dokładnie w tym samym czasie, gdy Jodie i Brandy Foster podczas pobytu w Nowym Jorku rozmawiają z Andym Warholem, prawie 3 tys. kilometrów na zachód,

w miejscowości Evergreen w Kolorado, dwudziestopięcioletni John Hinckley jr po raz piętnasty ogląda „Taksówkarza”. Pod wpływem postaci granej przez Roberta de Niro – weterana wojny w Wietnamie pragnącego samodzielnie wymierzać sprawiedliwość – zaczyna nosić wojskową kurtkę i buty z demobilu. Tak jak Travis Bickle popija też brzoskwinową brandy i ćwiczy przed lustrem jego słynne kwestie.

Scenarzysta Paul Schrader tworząc postać Bickle’a wzoruje się na Arthurze Bremerze, który w 1972 r. dokonuje zamachu na gubernatora Alabamy George’a Wallace’a. Ponieważ Bremer chce tym czynem zaimponować dziewczynie, Hinckley postanawia powtórzyć tę historię. Aby zwrócić na siebie uwagę Jodie Foster, 31 marca 1981 r. w Waszyngtonie strzela do niedawno zaprzysiężonego Ronalda Reagana, raniąc także jego rzecznika prasowego i dwóch innych mężczyzn. Zanim kupi broń, prześladowuje też samą aktorkę, raz po raz nachodząc ją w akademiku i wysyłając listy, które Foster skrupulatnie przekazuje ochronie kampusu.

Gdy media ujawniają motywację Hinckleya, zaczyna się niezwykle trudny dla Foster czas, uwaga opinii publicznej skupia się na niej dużo bardziej niż zwykle. Aktorka sprawę komentuje tylko raz, w kilku zdaniach, niecałe dwa lata po incydencie, przyznając, jak bardzo odchorowała to zdarzenie i że zawsze będzie się czuła jedną z ofiar Hinckleya. Od tamtego czasu nie godzi się na rozmowy o marcu 1981 r., wielokrotnie zdarza jej się kończyć wywiady, gdy dziennikarz próbuje zadać pytanie o zamachowca.

Jak wczuwa się w postać?

Kiedyś twierdziła, że po prostu uczy się kwestii i próbuje odwoływać do instynktu.

Teraz przyznaje, że aby wykrzesać z siebie emocje, powtarza w myślach wybrane wiersze.

Być może najlepszym podsumowaniem tego niezwykle trudnego czasu jest sposób i klasa, z jaką wraca do gry, wcielając się w swoje dwie oscarowe role. Zwykłej dziewczyny, która odważnie staje naprzeciw swoich oprawców (w „Oskarżonych”) oraz strażniczki prawa, która ratuje przed przemocą inne kobiety (w „Milczeniu owiec”). Finał tegorocznego serialu „Detektyw” – w którym rdzenne mieszkanki Alaski, niczym chór bachantek, krzyczą głośno swoje „Nie!” krzywdzącym je mężczyznom – może mieć z tymi wątkami wiele wspólnego.

Przebudzenia

W jednym z wywiadów, w którym Foster otwiera się chyba najbardziej, pewnie dlatego, że rozmawia z dawnym kolegą ze studiów literaturoznawczych, wśród ulubionych książek młodości wymienia „Franny i Zooey” J. D. Salinger. To opowiadanie o losach rodzeństwa Glassów, które dorastało, występując w radiowym programie dla dzieci – trudno nie zauważyć podobieństwa do losów samej aktorki.

Ale ja lubię myśleć, że mówiącej biegle po francusku Jodie Foster blisko do narratora „Młodości” Sartre’a, samotnika Antoine’a Roquentina. Bohater klasycznej pozycji francuskiego egzystencjalizmu relacjonuje tu czytelniczkom i czytelnikom, w jaki sposób życie posyłało mu przez lata sprzeczne sygnały. Roquentin, jak twierdzi, często wychwytywał z tego wszystkiego tylko męczące, mdłące „brzęczenie”. Jak nieznosne bywa takie brzęczenie, doskonale wiemy z „Kontaktu” Zemeckisa. Świat zdaje się nic nie znaczyć. Życie nie ma sensu, trudno z przekonaniem zbudować jakąkolwiek trwałą relację. To dlatego samotna astrofizyczka Ellie, rezygnując z prywatności, tak nieustannie, uparcie nasłuchuje.

Pewnego dnia Roquentin, mając wątpliwości, czy świat istnieje naprawdę, czy jest tylko dziełem jego wyobraźni – zupełnie jak Ellie w finałowej scenie „Kontaktu” – zdaje sobie sprawę, że ostatecznie to opowieść o doświadczeniu poszukiwania znaków wyprowadza nas z mroku. Dzielenie się tym doświadczeniem z innymi posiada moc nadawania sensu życiu.

Tak jest również w pierwszych scenach filmu „Nyad”, kiedy Diana, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, dopytuje Bonnie, czy nie dostrzega, że świat śpi i należy prędko zrobić coś, by go obudzić. Pod wpływem lektury jednego z wierszy Mary Oliver („powiedz kobiecie, co zamierzasz wreszcie zrobić z twoim jedynym zwiariowanym i cennym życiem”) postanawia przepłynąć pod prąd 177 kilometrów. Co robi postać grana przez Jodie Foster? Pakuje plecak i wyrusza w podróż – tym razem nie w ciemność, a na słoneczną Florydę.

©© MONIKA OCHEŃDOWSKA

REKLAMA

Kraków

teatrkto.pl

PREMIERA
22 i 23 MARCA 2024

KTO TEATR

JAK SPIEPRZYLIŚMY WSZYSTKO

Występują: Katarzyna Chlebny i Grzegorz Łukawski
Tekst i reżyseria: Paweł Szumiec

TEATR KTO – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Na chłopski rozum

ANITA PIOTROWSKA

Film Grzegorza Dębowskiego pokazuje nam, że wbrew pozorom nie wszystko bywa czarno-białe. A już z pewnością na polskiej wsi, którą w naszym kinie przeświecił jak mało kto.



CZY BOHATER „TYLE CO NIC”, WIEJSKI idealista i obrońca rolniczych interesów, dołączyłby dziś do protestów zbożowych z ukraińską wojną w tle? Jedno jest pewne: świetny film Grzegorza Dębowskiego pokazuje nam, że wbrew pozorom nie wszystko bywa czarno-białe. A już z pewnością na polskiej wsi, którą w naszym kinie Dębowski przeświecił jak mało kto. Zrobił to bez miastowo-klasowego paternalizmu, który zazwyczaj przybiera formę albo chłopomańskiej mitologizacji, albo naturalistycznej karykatury. Opowiedział historię o tym, jak bezkompromisowa postawa rozmija się z rzeczywistością.

Nie przypadkiem filmowe dzieciaki bawią się na gumnie w Indian i kowbojów. Jarek, w ciągłym ruchu i w charakterystycznej czerwonej kurtce, od początku przypomina współczesnego rewolwerowca, osamotnionego w swojej walce. I jedynego sprawiedliwego – przynajmniej we własnych oczach. Kiedy kumpłowi spali się dom, to on urządza zrzutkę i natychmiast uderza do księdza, żeby z ambony zaapelował do parafian o wsparcie. Ale proboszcz nie chce pomóc Waldkowi, bo ten nie chodził do kościoła

(„pomodłę się za niego”), a osławiona samopomoc chłopska też czasem zawodzi.

Jarek jest także nieformalnym liderem akcji przeciwko miejscowemu politykowi, który po wyborach zdradził swoją wieś, toteż wieczorem pod jego dworopodobną willę zajeżdża wywrotka z obornikiem. W tym momencie gniewny film o rolniczym buncie zamienia się w kryminał: oto w zrzuconym nawozie zostaje znalezione ciało Waldka, a głównym podejrzanym okazuje się Jarek. I nie będzie to dla niego jedyny powód, by na własną rękę dochodzić sprawiedliwości.

Dębowski napisał postać arcyciekawą. Kibicujemy jej w tej samotniczej krucjacie o prawdę i godność, a równocześnie na każdym kroku widzimy, jak bohater niechcący strzela sobie w kolano. Z jednej strony mamy dobrego, a nawet czułego gospodarza oraz solidarnego sąsiada, który przyjmuje rodzinę pogrzelców pod swój dach i z szacunku dla pamięci o zmarłym koledze prawie wywraca, istic chrystusowym gestem, weselne stoły. Lec w swoim przywiązaniu do ojcowizny i wierności chłopskiemu etosowi wiele potrafi prześlepić. Na przykład fakt, iż wieś dynamicznie się zmienia i nie każdy chciałby – lub za chwilę nie będzie mógł – pozwolić sobie na kultywowanie tradycyjnego modelu życia. Albowiem dla wielu, zwłaszcza młodych, oznacza to jedynie codzienny znój i gnój. Tymczasem Jarek ma wrodzoną szlachetność i zarazem nieustępliwą pryncypialność, coraz mniej przystającą do realiów. Jest ofiarą arogancji władzy, jednocześnie

będąc ofiarą własnego idealizmu. Poczucie winy i „chłopski rozum” bywają czasami złym doradcą.

„Tyle co nic” umiejscawia tę walkę z wiatrakami na niezwykle wiarygodnym tle. Dzisiejsza polska wieś jeszcze nie była na ekranie tak prawdziwa. Mamy więc portret środowiskowy, złożony oczywiście z „samych swoich”, bo przecież wszyscy się tutaj dobrze znają albo wręcz są ze sobą spokrewnieni. Dlatego inaczej się wszystko załatwia. I lepiej za bardzo się nie wyróżniać – wie coś o tym bratanek Jarka, obecnie jego obrońca w wiadomej sprawie, który przed laty opuścił podolsztyńską wieś.

Co nie oznacza, że Dębowski demonizuje tamtejsze układy czy przesady. Nawet jego spojrzenie na miejscową elitę kryje wiele niuansów. W osobie nieuczciwego posła pobrzmiwa co prawda dawna relacja folwarczna, aczkolwiek Lesław, choć sam zdążył się dobrze ustawić, doskonale wie, skąd przyszedł, zna swoje miejsce w hierarchii i nie jest w tej opowieści typowym „złym panem”. Panująca w filmie przednówka pora nie sprzyja sielskim obrazkom, ale zdjęcia Oлександра Поздника unikają wódczano-turpistycznych przerysowań, znanych nam z kina Wojciecha Smarzowskiego. Mimo to w powietrzu czuje się mocno te wszystkie organiczne zapachy, które czasem przeszkadzają mieszcuchom marzącym o wiejskim ustroniu.

Przed nami kolejna, po filmach „Cicha noc” (2017) Piotra Domalewskiego, „Supernova” (2019) Bartosza Kruhlaka czy

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE FORUM FILM POLAND

TYLE CO NIC

– reż. Grzegorz Dębowski. Prod. Polska 2023. Dystryb. Forum Film Poland. W kinach od 8 marca.

Grzegorz Dębowski to reżyser i scenarzysta, który wcześniej kręcił etiudy, pracował przy serialach, był też asystentem Pawła Pawlikowskiego przy „Idzie”. „Tyle co nic” jest jego pierwszym filmem pełnometrażowym, nagrodzonym na festiwalu w Gdyni jako najlepszy debiut, a także za scenariusz, rolę Artura Paczesnego i Agnieszki Kwiecińskiej oraz w kategorii Inne Spojrzenie.

Na zdjęciu: Artur Paczesny jako Jarek w filmie „Tyle co nic”

„Chleb i sól” (2022) Damiana Kocura, bardzo dobra produkcja Studia Munka. Od lat zapewnia ono finansowe i fachowe wsparcie młodym twórcom, promując kino świadome społecznie, z niewielkim budżetem. Tej surowo opowiedzianej historii nie towarzyszą wielkie wybuchy ani muzyka Chopina, za to główny bohater nosi (przypadkiem?) nazwisko Martyniuk i posiada zatroskaną twarz Artura Paczesnego z Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu.

Jest tu zresztą na drugim czy dalszym planie wiele innych znakomitych ról i, jak na razie, mało znanych twarzy (stąd apel do polskich filmowców: bywajcie częściej w teatrach i nie tylko w stolicy!). Agnieszka Kwiecińska jako żona Jarka i Monika Kwiatkowska, czyli wdowa po Waldku, swoją skupioną, intensywną obecnością sprawiają, że oglądamy tę historię pod jeszcze innym kątem. Bo chociaż zagadka związana ze śmiercią z grubsza się rozwiązuje, najważniejsze są międzyludzkie uwikłania, jakie budują postać Jarka. Pod tym względem „Tyle co nic”, wbrew swojemu wybitnie antykomercyjnemu tytułowi, ma w sobie dużą siłę ciężkości.

Tytuł ten – na szczęście – okazuje się wieloznaczny. Co prawda słychać go dwukrotnie w dialogach i to w zupełnie różnych sytuacjach, zostawia jednak pole do innych interpretacji. Podobnie jak osoba głównego bohatera, którą łatwo dałoby się ubrać w polityczne konteksty, poręczne stereotypy, w modne obecnie teorie socjologiczne czy kulturowe. Takie odczytania również są uprawnione, jakkolwiek dobrze, iż opowiedziana przez Dębowskiego historia nabiera uniwersalności. Że możemy w niej zobaczyć, niezależnie od realistycznego „mięsa”, nie tyle wściekłego wiejskiego antysystemowca, co człowieka, który po prostu chciał być do bry i zachować własną podmiotowość.

Film Dębowskiego traktuje o osobistej cenie, jaką przyszło zapłacić za to jemu, lecz także jego najbliższym, w konkretnych okolicznościach, miejscu i czasie. „Chciałem opowiedzieć, jak z pozoru drobne rzeczy z naszego otoczenia stają się tak naprawdę »nami« – to, ile zarabiamy, o której wstajemy, czy jeździmy na wakacje, czy mamy dostęp do komunikacji miejskiej, jakie mamy relacje z sąsiadami i jak to wszystko wpływa na nasz związek, rodzinę czy w końcu poczucie sensu życia” – to słowa samego reżysera. Cytuję je tylko dlatego, że w przeciwieństwie do wielu podobnych deklaracji tę akurat udało się spełnić. ©

Lektor: Król i malarz



■ STALE OBAWIAM SIĘ JAKIEJŚ KATASTROFY...

KORRESPONDENCJA STANISŁAWA AUGUSTA Z MARCELLEM BACCIARELLEM

Przekład z rękopisu Jan Maria Kłoczowski.
Opracowanie tekstu, wstęp i komentarze
Konrad Niemira. Muzeum Łazienki Królewskie, Warszawa 2023, ss. 532

PIERWSZY LIST BACCIARELLEGO PISANY JEST W 1764 R., wkrótce po elekcji Poniatowskiego na króla Polski. Ostatni nosi datę 19 lutego 1798 – przebywający w Warszawie artysta nie wiedział, że były władca (abdykował w listopadzie 1795) od kilku dni już nie żyje. Stanisław August umarł w Petersburgu; od wyjazdu do Grodna w styczniu 1795 r. nigdy już nie odwiedził Warszawy. Nie mógł też, o czym marzył, osiedlić się w Rzymie.

Bacciarellego (1731-1818) pamiętamy jako królewskiego portrecistę, ale był on też królewskim urzędnikiem, dyrektorem Budowli Królewskich dbającym o mocną pozycję na dworze. Jednak, jak zauważa Konrad Niemira, „mimo administracyjnego charakteru korespondencji pojawiają się dość liczne gatunkowe pęknięcia. (...) Dlatego niekiedy trudno się zorientować, z kim właściwie rozmawia król. Z urzędnikiem, malarzem czy może z przyjacielem?”. To nie tylko bezcenne źródło dla historyków sztuki i badaczy królewskiego mecenatu. 30 lipca 1793 r. król pisze z Grodna, gdzie obraduje ostatni sejm Rzeczypospolitej: „Tylko myśl o Łazienkach jest mi osłodą i jedyną rozrywką, na jaką mogę sobie pozwolić pośród udręk, które znosić muszę w tym czyszcju, by nie powiedzieć – w owym piekle grodzieńskim”.

Gdy dziś czytamy listy króla, mając w pamięci ich tło polityczne, którym jest katastrofa naszej państwowości, możemy się oczywiście zżymać na jego pedanterię w sprawach błahych, jak odłamanie ucho marmurowej wazy w bibliotece czy kwestia zarybiania stawów (Bacciarellemu powiedziano, że szczupaki mogą żyć tylko w Wiśle, Stanisław August przekonuje go, że niekoniecznie). Można jednak również zapytać: czy Łazienki, o które ostatni król tak dbał, nie są najlepszym, co nam pozostało po tamtej epoce?

Podziw dla Jana Marii Kłoczowskiego, który znalazł odpowiedni styl dla swobodnej, jak pisze, francuszczyzny króla i sztywnawej – Włocha, a najpierw rozczytał rękopisy. I podziękowanie dla Konrada Niemiry, którego świetną książkę o Janie Piotrze Norblinie warto tu przypomnieć. Podobnie jak dokonany niedawno przez Kłoczowskiego przekład wielkiego dzieła Jeana Fabre’a „Stanisław August Poniatowski i Europa wieku światła”. © ©

OLGA

Drenda:

Temat rzeka



OSTATNIO, SZUKAJĄC CZEGOŚ ZUPEŁNIE innego, natrafiłam na zdjęcia niedawno zmarłej artystki Margaret Raspé, dokumentujące jej performance z 1990 roku „Woda nie jest już wodą”. Odwiedzała wtedy

Polskę i Włochy, by zobaczyć rzeki zanieczyszczone przez przemysł, wówczas lekceważący zagrożenia dla środowiska. Kto pamięta kadry ze słynnej „Czerwonej pustyni” Antonioniego, ten wie, jak przerażająco, a zarazem malowniczo wyglądał taki krajobraz. W Polsce Raspé zanurzyła się w Bzurze, która od ścieków z fabryki zmieniała regularnie kolor – zależnie od tego, jaki produkowano akurat barwnik. Przez to jej ubranie po wyjściu z wody przypominało fartuch używany w pracowni malarskiej.

Było to przedsięwzięcie zapewne dość ryzykowne dla zdrowia, ale nie chodziło o ryzykancki gest. Performance bywa, owszem, sztuką hermetyczną i nieprzystępną dla kogoś, kto nie uczestniczy w samym wydarzeniu (stąd opinia, że to niezrozumiałe dla tzw. zwyczajnego zjadacza chleba), jednak w tych zdjęciach, zapisujących ulotne wydarzenie, odkryłam coś hipnotyzującego. Raspé poruszała się jak przedwojenna awangardowa tancerka, a do tego weszła do rzeki w berecie. Ten beret był szczególnie pomysłowy. Tkwiła w tym jakaś przyciągająca zagadka. Oczywiście na próbę przełączyłam sobie tryb myślenia na świadomie ignorancki: „jakaś baba wchodzi w berecie do zatrutej rzeki,

po co?”, lecz nawet wtedy miałam ochotę prowadzić śledztwo, dowiadywać się, jaka historia stała za tym wydarzeniem.

Tak powstała przestrzeń do namysłu. Bezwiednie weszłam w tok myślenia artystki. Po co, dlaczego, jak coś robimy – to właśnie, jak się okazało, znajdowało się w centrum jej zainteresowań. W latach 70. zbudowała samoróbkowy prototyp małej kamery na kask, podobnej do tych stosowanych dzisiaj w sporcie. Tyle że zamiast wyczynów rejestrowała nią zwykłe, nudne czynności, takie jak mycie naczyń. Pochłonięty powtarzalnymi, automatycznymi czynnościami człowiek sam zmieniał się w działający bezrefleksyjnie automat, jednak oko kamery pozwalało przyjrzeć się temu z dystansu i zyskać właśnie przestrzeń do namysłu. Chodziło o to, żeby nie dać się zautomatyzować całkowicie, lecz móc obserwować proces, w którym samemu się uczestniczy (jeśli czytelnikom wydaje się to nieco podobne do myśli Jolanty Brach-Czajny, to wydaje mi się, że to słuszny trop).

Dla Margaret Raspé filmowanie błahej surówki życia stało się ratunkiem przed bezmyślnym działaniem, dało jej miejsce na własne myśli. Jak na ironię, dzisiaj rejestrowanie obrazu częściowo dołączyło do tych odruchowych, bezrefleksyjnych działań, którymi czuła się wtedy przyduszona. W końcu produkujemy niesamowite ilości obrazów i nagrań wideo każdego dnia, czasem odruchowo kojarząc jakąś czynność ze zrobieniem jej zdjęcia. Niekoniecznie jestem temu wroga, bo smutne jest uświadomienie sobie, jak wiele ze świata – i ze spraw ważnych, i błahych – umyka bez żadnej dokumentacji, bez wspomnienia.

Może zdjęcia Raspé z 1990 r. to jedyne wizualne świadectwo tego, co działo się w Bzurze, w jakim stanie były ówczesne rzeki. Ale też przypadkowe zetknięcie z zapisem pewnego krótkiego wydarzenia pod Łodzią przyjemnie odświeżyło w mojej głowie obecne tam od dawna przekonanie, jakie korzyści można mieć ze sztuki. Od chwili odnalezienia tych zdjęć, czyli już kilka dobrych dni, w mojej głowie płynie nieustannie rzeka swobodnych skojarzeń, sprowokowanych przez obrazy i stojące za nimi historie. Każdy zjadacz chleba – a ja np. bardzo lubię chleb – może skorzystać z obejrzanego dzieła (które nawet nie musi nam się podobać), żeby posłużyć się nim jak Margaret Raspé swoim kaskiem z kamerą Super-8. Takie spotkanie wycina między nami a naszymi automatycznymi, odruchowymi czynnościami, skojarzeniami, wnioskami mały pasek, w którym może popłynąć mały, niezależny strumyk. Oczywiście nie wszystko musi być po coś czy dla czegoś, ale w świecie, w którym najchętniej przerobiono by wszystkie nasze myśli i działania na rentowny strumień policzalnych danych, postulat obrony przed przemianą w automat wydaje mi się wcale nie mniej ważny niż kiedyś. ©

Możnaby
rzec – rzeka
(nie Bzura).



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Indeks klopsa



ŁADY, STRATEGIE, USTAWY, BLOKADY, KAMPANIE, obce geny w naszym zbożu i obce zboże na naszych torach. Śniadania, obiady, kolacje i nocne pokątne przekąski znalazły się w polu działania niezrozumiałych sił. Tyle naszego wpływu, ile

da się zmieścić na skromnej karteluszcze wyborczej. Trudno się rozeznąć w tym galimatiasie, zazwyczaj bowiem codzienny nasz kontakt z rynkiem ma tylko jednego pośrednika – portfel i konto. Podstawową głoską w tym języku, jakim się z nim porozumiewamy, jest cena.

Nie mam dość kompetencji ekonomicznych, a te skromne, które jednak mam – w dawnych, przedfoliowych czasach zawijali mi włoszczyznę w zielone strony „Rzeczpospolitej” – każą mi być ostrożnym w rozmowie o cenach żywności. Od wielkich uogólnień wolę mały konkret. Dlatego dwa razy do roku zaglądam do tzw. indeksu Big Maki publikowanego przez „The Economist”. Robią to także bardzo poważni ludzie pod nienagannie zapętlonym krawatem, bo dobrze zbudowany dowcip sięga nieraz istoty rzeczy celniej niż zbyt dorosła konwersacja.

Sieć McDonald's ma znaczną wartość dla ekonomistów, antropologów i historyków obyczaju – odwrotnie proporcjonalną do wartości proponowanej tam, obłej smakowo, paszy. Kanapka Big Mac dobrze nadaje się, zdaniem „Economista”, do porównań: we wszystkich liczących się krajach (poza Indiami) jest mniej więcej taka sama, robi się ją lokalnie i nie eksportuje. Na jej cenę mają zatem wpływ czynniki miejscowe – cena wołowiny (tylko co oni potem z nią robią?) i innych dziwnych składników, płace, koszty prowadzenia restauracji oraz poziom zamożności i aspiracje klienteli. Redaktorzy wyszli z założenia, że pół żartem pół serio, da się Big Makiem zastąpić koszyk około 3 tys. dóbr i usług, który poważnym instytucjom służy do wyliczania tzw. parytetu siły nabywczej. Czyli z grubsza parametru, który „życiowo” relatywizuje kurs walut: ocenia on, czy w porównywanych krajach możemy kupić mniej więcej to samo za tyle samo.

Otóż według najnowszej edycji dolar powinien kosztować 3,50 zł – a nie około 4 zł, jak obecnie, a zatem złotówka jest niedowartościowana. Ale żeby porównywać nie gołe liczby, a realne siły nabywcze, trzeba uwzględnić choćby różnice w ogólnej zamożności. Redakcja bierze przybliżoną jej miarę, czyli PKB na głowę mieszkańca, by przeliczyć indeks raz jeszcze. I wtedy się okazuje, że Big Mac kosztuje w Polsce 12,7 proc. taniej niż w Ameryce, a powinien kosztować 16 proc. taniej. Czyli złotówka przy oficjalnym kursie jest lekko przewartościowana. Zatem: jeśli cierpicie na nadmiar gotówki, kupujcie dolary! Bądźcie przy tym czujni, można te wyliczenia podważyć na wiele sposobów. Choćby dlatego, że cena wcale nie jest taka

stała w danym kraju. Choćby z powodu łączenia w zestawy i różnych promocji – teraz np. zamiast 20 zł za kanapkę solo można dodać do niej frytki i wydać tylko 15 zł (jak wysoka musi być marża, skoro mogą tak zejść z ceną?).

Ale czy ceny produktów i usług z niby „poważnego” koszyka, np. wyliczanego przez banki czy fundusze, też są bardzo płynne i zależą także od niemierzalnych kwestii kulturowych? Np. piwo w Czechach jest artykułem najpierwszej potrzeby, dlatego jego cena jest znacznie bardziej sztywna niż w kraju bez takich tradycji, jak np. Włochy. Może zatem lepiej wziąć jeden produkt z dającym się ogarnąć rozumowo marginesem błędu, niż tysiące krzyżujących się porównań o niejasnym zakresie nieścisłości.

Głupio tak rozprawiać o właściwej cenie czegoś, co wydaje się z gruntu niewłaściwe jako pożywienie. Na taką *soft power* nas skazano, lud skolonizowany nie wybiera sobie symboli podległości. Ale przynajmniej nie trzeba tego jeść. Oczywiście zdarza się każdemu – kto nigdy nie wchodzi do Maki, np. w podróży, niech zamilknie i nie drażni nas swoją głodną świętością. A my, następnym razem w takiej sytuacji, poczućmy, że to wcale nie wata, trociny i guma – tylko smak parytetu. ©P

Nawet w czasach, gdy marmolada potomstwa, nie robiłem często hamburgerów. Nie lubię zwłaszcza tej nijakiej, spulchnionej bułki. Dopiero niedawno w krakowskich 100 Bochenkach z Jaskółczej przekonałem się, że taka bułka może być warta swoich kalorii. Ale często sięgam po mielone mięso wołowe, takie kleiste, z dużą ilością tkanki łącznej. Lubię z niego robić proste i szybkie **klopsiki** dające spore pole do kombinowania smaków. **Pół kilo mielonej wołowiny** doprowadzamy np. **szczodrą garścią siekanej natki, łyżeczką kuminu i łyżeczką czarnuszki**, dodajemy **sól** oraz **jedno jajko**, mieszamy, dosypujemy nieco **bułki tartej** (lub zdrowiej: **płatków owsianych błyskawicznych**), żeby masa stała się na tyle zwarta, by dało się utoczyć kulki wielkości orzecha. Kulki obsmażamy krótko na gorącym oleju, przekładamy do rondla, gdzie na dnie bulgocze sobie ok. **400 ml czerwonego wina** (wcześniej na moment ostro zagotowanego, by odparował alkohol) z **dwiema łyżkami koncentratu pomidorowego**.

Warstwa płynu powinna sięgać do ok. 1/3 wysokości kulek. Dusimy pod przykryciem co najmniej 45 minut, co jakiś czas delikatnie mieszając – chodzi o to, żeby mięso było miękkie, a kolagen i tłuszcz przeszły do sosu.

Tygodnik Smaków – co piątek
w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



ZMYSŁY



CHIRURŻKI ZE SZCZEBRZESZYNA

MACIEJ MAKSELON, JĘZYKOZNAWCA:

Dzieci naturalnie korzystają z feminatywów, bo podążają za logiką języka.
Nikt nie uważa, że ulegają wpływom feministek i lewaków.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Absolwentki Wydziału Lekarskiego Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, lipiec 2015 r.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jak Pan reaguje na słowo „ministra”?

MACIEJ MAKSELON: Ambivalentnie. To słowo oczywiście już funkcjonuje w języku, nie możemy więc powiedzieć, że to niepoprawna forma. Ale sam chętniej sięgam po formę utworzoną zgodnie z rodzimą tradycją słowotwórczą, czyli po tę „ministerkę”. Premierka, ministerka, magisterka. Tak samo jak dziennikarka, aktorka, piosenkarka. Nie mówimy przecież dziennikara, aktora i piosenkara. Zatem: ministerka, nie ministra. Ale oczywiście nie mam żadnej mocy narzucać komuś tę formę.

To dlaczego feminatywy utworzone zgodnie z prawidłami języka budzą tyle skrajnych emocji?

Przed wszystkim dlatego, że są uznawane za demonstrację polityczną. Feministyczną, genderową, lewacką. Dla mnie to jest o tyle absurdałne, że jeżeli chcemy znaleźć najwięcej lewaków i lewaczek, to powinniśmy się udać do przedszkola. Dzieci naturalnie korzystają z feminatywów, bo podążają za logiką języka. Skoro jest nauczycielka i nauczyciel, skoro jest pielęgniarka i pielęgniarz, do których dopasowujemy formy czasowników, to dlaczego ta symetria nagle ma zanikać w przypadku form związanych z zawodami o wysokim prestiżu? I jeśli pięciolatkę zapytamy, kim chce być, to ona najpewniej powie, że kosmonautką, a nie kosmonautą. Ale dla niej trudne do zrozumienia jest to, że – by wykonywać jakiś zawód – na poziomie gramatycznym musiałaby zmienić płęć.

Feminatywy są więc dla polszczyzny naturalne?

Tak, a upolitycznianie ich oddolnego powrotu jest po prostu szkodliwe. Inną kwestią jest to, że do części z nich nie jesteśmy przyzwyczajeni, słabo osłuchani. A jest w nas tendencja do tego, by własne doświadczenie traktować jak ostateczny punkt odniesienia: „jeśli ja czegoś nie znam, to znaczy, że tego nie powinno być”. I przed tym się bronimy.

Przed czym jeszcze?

Często słyszę argument, który sprawia, że opadają mi ręce, tj. że feminatywy wprowadzają językowy zamęt. Bo reżyserka to jest już takie pomieszczenie, marynarka to element garderoby, więc te wyrazy zostały „zarezerwowane”. W przypadku maskulatywów dziwnym trafem homonimia nam w niczym nie przeszkadza. Grafik może przygotowywać nam plakat, ale możemy w grafik również coś wpisywać, adwokat może bronić nas w sądzie, a po rozprawie możemy sięgnąć po butelkę z adwokatem. Nagle, gdy sprawa ma dotyczyć kobiet, to „o matko, pogubimy się w tym skomplikowanym świecie”. Ale jak? Jak się pogubimy? Przecież słowa osadzamy w kontekście. Jeśli kobieta mówi, że jest pilotką, to jakie jest prawdopodobieństwo, że zawodowo zamienia się w wyrób skórzany? Takiego zagrożenia nie ma. Kiedy mówimy, że idziemy zwiedzać zamek, to raczej nie chodzi o zamek w drzwiach lub zamek w spodniach, prawda? Skoro nie mamy problemu z pilotem, który służy do zmieniania kanałów, to jaki mamy mieć z pilotką?

Inny argument: niektóre słowa – np. architektka czy chirurżka – są trudne do wymówienia.

Jeżeli jesteśmy w stanie powiedzieć żdźbło, dżdżownica, furtka, to jesteśmy też w stanie powiedzieć architektka i chirurżka. W 2022 r. w Lublinie zostały przeprowadzone badania empiryczne, które miały sprawdzić, czy faktycznie istnieje realny problem z wymową tych słów. I wyszło, że 97,3 procent badanych (tu trzeba zaznaczyć, że bez wady wymowy) chirurżkę i architektkę wypowiedziało bezbłędnie za pierwszym razem. Pozostałe 2,7 procent poradziło sobie z tym słowem po chwili wahania lub autokorekcie. Polki i Polacy są dumni z tego, jak trudny jest nasz język, z tych łamańców. „Grzegorz Brzęczyszczkiewicz, Chrzęszczyszczyszczycze, powiat Łękołody”, „w Szczębrzeszynie chrząszcz brzmi w trzcinie”. Chęlpimy się nimi, popisujemy. No, chyba



→ że trzeba powiedzieć „chirurgka”, to wtedy nagle język nam staje w gardle okoniem.

Jak przekonać ludzi, by język okoniem nie stawał?

Nie chodzi teraz o to, by nakłaniać do używania feminatywów. Ta sprawa powinna być bardzo prosta i opierać się na indywidualnych decyzjach. Chcesz używać feminatywów? Używaj. Nie chcesz ich używać? Nie używasz. Ale przede wszystkim szanuj wolę drugiej osoby! To jest absolutna podstawa. Jeżeli twoja koleżanka chce, byś zwracał się do niej przy pomocy feminatywu, zrób to. Tak samo jak ona szanuje twoje prawo do językowego samostanowienia i mówi do ciebie Darku, nie Dareczku, jeśli wolisz tę pierwszą formę.

Czyli Elżbieta Witek ma prawo w czasie wywiadu zwrócić uwagę dziennikarce, że chciaaby być nazywana marszałkiem, a nie marszałkinią?

Przecież to jest kwestia kultury osobistej. To Elżbiety Witek miałyby potencjalnie dotyczyć ta forma. Dlaczego mielibyśmy nazywać kogoś tak, by źle się z tym czuł? Pani Witek nie lubi feminatywów? To ich wobec niej nie stosujemy.

Bardzo Pan wyrozumiały.

Ale warto też zwrócić uwagę na szerszy kontekst. W poprzedniej kadencji Sejmu pani Witek, która pełniła funkcję marszałka Sejmu, nie respektowała woli posłanek, które – no właśnie – chciały być posłankami, nie zaś posłami. Zwracam na to uwagę z kronikarskiego obowiązku, bo nie uważam, że powinniśmy stosować zasadę „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Ku bańczykom”. Zawsze powinniśmy szanować wolę osoby, której dana forma dotyczy. Elementarne.

Samostanowienie kontra narzucanie?

Słynne „narzucanie feminatywów” to jest coś, co zwykle wprawia mnie w zdumienie. Bo gdy zapytamy ludzi, którzy się na to skarżą, na czym polega wspomniane narzucanie, zazwyczaj odpowiadają, że są one wszędzie „wciskane na siłę”. Czyli jak? Czyli tak, że na przykład ktoś w tekście użyje słowa „chirurgka”. I to jest to wciskanie na siłę, narzucanie? Podjęcie suwerennej decyzji językowej, sięgnięcie po poprawną formę, po którą po prostu ma się ochotę sięgnąć, jest narzucaniem? Ale wypisywanie, że to jest niszczenie języka, że wydziwianie, że tak nie wolno – czyli podejmowanie próby ośmieszenia i odmówienia komuś prawa do korzystania z tego słowa – to już nie ma nic wspólnego z narzucaniem? Coś tutaj nie gra.

Jak zadziałał ten eksperyment, kiedy przed występem publicznym został Pan przedstawiony jako redaktorka, polonistka i nauczycielka akademicka?

On miał sprawić, by ludzie się zastanowili, dlaczego przedstawianie mężczyzny jako kobiety budzi w nas sprzeciw, a przedstawianie kobiety jako mężczyzny już nie. W swo-

Chcesz używać feminatywów?

Używaj. Nie chcesz ich używać?

Nie używaj.

Ale przede wszystkim szanuj wolę drugiej osoby!

ich social mediach czasami zwracam się zresztą do ludzi za pomocą form „widziałyście”, „zrobiłyście” lub „widzieliśmy” i „zrobiliśmy”, bo większość obserwujących to kobiety właśnie. I w każdym tygodniu dostaję – a kiedyś dostawałem codziennie – oburzone wiadomości od panów, którzy piszą, że skoro nie zwracam się do nich, to oni nie będą słuchać. A wtedy ja zwracam się zapytaniem: „A jak czują się kobiety, kiedy

całe życie zwracamy się tylko do mężczyzn?”.

Bo do stu kobiet powiem: przybyłyście tutaj. Ale jak już pojawi się wśród nich jeden mężczyzna, to zmienimy na „przybyłście tutaj”. I wszystkie panie na poziomie językowym stają się od razu niewidoczne.

Żeby była jasność: rodzaj męskoosobowy jest generyczny, tj. w teorii obejmuje obie płci, zdaje sobie z tego sprawę. Chodzi o to, by zauważyć inną perspektywę.

Językoznawców ze starszego pokolenia feminatywy jednak drażnią, np. profesora Jerzego Bralczyka.

Mnie może razić słowo „jesieniara”. Mam do tego prawo. Problematyczne byłoby jednak, gdybym zaczął wykorzystywać autorytet, by wmawiać ludziom, że to słowo jest „be”, tylko dlatego, że nie jestem do niego przyzwyczajony, że godzi w moje subiektywne odczucia estetyczne.

Ale już profesor Jan Miodek zmienił zdanie: początkowo wobec feminatywów sceptyczny, z czasem je zaakceptował.

Kiedy człowiek o takiej pozycji i z takim autorytetem jest w stanie publicznie zmienić do czegoś stosunek, to dla mnie tylko świadczy o jego wielkości. Sam obawiam się, że gdy będę miał lat pięćdziesiąt, góra sześćdziesiąt, to nie zachoruję na paskudną przypadłość noszącą nazwę: „Moje zdanie ma wagę równą faktom”. To jest choroba, która dotyczy najczęściej białych, heteroseksualnych, uprzywilejowanych mężczyzn z określoną pozycją.

Najstarsze polskie feminatywy?

One są nawet starsze niż sam język polski. Na przykład prasłowiańska dłużnica, czyli żeńska odpowiedniczka dłużnika. A polszczyzna narodziła się właśnie z języka prasłowiańskiego. Znajdziemy je również w Biblii Jakuba Wujka z 1593 r. – i każdym kolejnym tłumaczeniu Biblii – gdzie jest „prorokini Anna”. Feminatywy są również obecne w innych językach słowiańskich – chorwackim, słowackim, ukraińskim. Nikt w Czechach nie powie o kobiecie, że jest doktorem, bo jest przecież doktorką. W „Lilijach” Mickiewicza natrafimy na zbójczynię, w archiwach miejskich Krakowa na hersztkę bandy, i tak dalej, i tak dalej.

Czas przyznania kobiecie praw wyborczych to urodzaj feminatywów?

Kiedy kobiety wywalczyły sobie dostęp do funkcji, których wcześniej nie mogły pełnić, to naturalnie zaczęły powstawać nazwy żeńskie, bo – cytując „Poradnik Językowy” z roku 1901 – tego różnica płci wymagała od logiki językowej. Nie znaczy to oczywiście, że nagle feminatywy stały się zupełnie powszechne. Tak samo, jak udział kobiet w radach nadzorczych czy na wysokich stanowiskach nie stał się nagle powszechny. Ale widzimy zdecydowany wzrost liczby feminatywów, nie tylko w prasie feministycznej, bo też w konserwatywnym „ABC”, które było mocno związane z Obozem Narodowo-Radykalnym. Jednocześnie w dwudziestoleciu przeciw feminatywom występowała radykalna grupa feministek, która stwierdziła, że prawdziwa emancypacja nastąpi wtedy, kiedy w języku w ogóle nie będzie płci, a zamiast tego jedno określenie na wszystkich.

Feminatywy za PRL-u?

Powoli zanikały. Popularność zyskują formy typu: „pani doktor” czy „doktor powiedziała”. Które też – żeby była jasność – nie są wytworem czasów komunizmu. One pojawiły się właśnie w dwudziestoleciu międzywojennym. Wtedy zresztą językoznawcy walczyli z nimi z pełną zaciętością, określając je na przykład mianem „potworków językowych”. Bo skoro „doktor” to „powiedział”. A jeżeli „powiedziała”, to przecież kobieta, czyli „doktorka”.

No, a to zanikanie feminatywów?

Pokażę to na przykładzie wspianego słowa istniejącego w języku polskim: „kierowczyni”. Ono narodziło się w grudniu roku 1912 – dokładnie w tym samym czasie, co słowo „kierowca”, co wiemy dzięki umiejętnościom szperaczom Jacka Dehnela. Właśnie w grudniu 1912 r. magazyn „Lotnik i automobilista” rozstrzygnął konkurs na polski odpowiednik zapożyczenia francuskiego: „szofer”. I ta kierowczyni ładnie w języku się osadziła, funkcjonowała w prasie codziennej, w prasie fachowej i tak dalej. Ale zaczęła zanikać, kiedy w 1951 r. wydano rozporządzenie o pracach zabronionych kobietom. Zakazano im wykonywania ponad 100 zawodów.

Bo?

Dla „dobra” kobiet. Wiadomo, takie rzeczy zawsze są „dla dobra” grupy, której się czegoś zabrania. Tu chodziło o ochronę macierzyństwa. A jeżeli zmniejszyła się liczba kobiet zajmujących się kierowaniem pojazdami, górnictwem czy hutnictwem, to słowa na ich określenie miały mniejszą rację bytu, bo przecież język służy nam do opisywania rzeczywistości. Z kolei sześć lat później Zenon Klemensiewicz pisał, że stosowanie feminatywów to brak postępu językowego. Należy więc zaprzestać korzystania z odwiecznej tradycji języka polskiego, tj. tworzenia form żeńskich, ale wy-



MACIEJ MAKSELO (ur. 1990) jest redaktorem literackim, nauczycielem akademickim, popularyzatorem wiedzy na temat języka polskiego.

MIROSLAW STELMACH / REPORTER

łącznie w stosunku do... zawodów uznawanych za prestiżowe. Po feminatywy sięgać można, a nawet należy, ale tylko do opisanie zawodów uznawanych za niższe: sprzątaczką, pielęgniarką, kosmetyczką, fryzjerka.

Los feminatywów po 1989 r.?

Obserwujemy wykładniczy wzrost ich obecności. W 2019 r. również Rada Języka Polskiego zweryfikowała swoje wcześniejsze – dość sceptyczne – stanowisko i zaczęła zalecać korzystanie z feminatywów twierdząc, że jak największa symetria rodzajowa jest pożądana w języku. Teraz już możemy powiedzieć, że proces używania feminatywów nie zostanie zatrzymany.

Czy powoływanie się na tradycję językową jest jedynym argumentem za używaniem feminatywów?

Ja w ogóle nie postrzegam tego jako argumentu za używaniem feminatywów. To,

że coś w języku było, nie znaczy, że koniecznie trzeba do tego wracać. Jednak w dyskusjach, które się toczą, tradycja nie jest przywoływana zwykle jako argument, lecz jako kontrargument dla tych, którzy twierdzą, że to nowomoda, że to wymysł współczesnych feministek. Tradycję przywołuje się tu więc raczej w ramach sprostowania nieprawdziwych informacji.

Ba, niektórzy nawet mówią, że to nie tylko „nowomoda”, ale i „nowomowa”, co jest już kompletną bzdurą. Nowomowa to przecież nie są nowe słowa, tylko język systemów totalitarnych, który służy manipulacji.

To czemu właściwie służą feminatywy?

Chociażby oddawaniu w języku różnorodności świata. Jacek Wasilewski, wspianą językoznawcą, przytaczał kiedyś zagadkę. Ojciec i syn jadą autem, mają wypadek, na miejscu ginie ojciec, a syn w stanie ciężkim trafia do szpitala. Na salę wchodzi chirurg, by przeprowadzić operację, patrzy i mówi: „Nie mogę operować, to jest mój syn”. No i pojawiają się pytania. Czy syn miał dwóch ojców? A może był adoptowany? Otóż nie. Chirurg była kobietą. Kiedy słyszymy formę męską, która rzekomo jest uniwersalna, to w naszej głowie pojawia się zwykle obraz mężczyzny. Potwierdzają to wszystkie badania psycholingwistyczne. I tutaj, żeby zagadka była zagadką, to się przydaje. Ale czy obecność kobiet w języku, który przecież ma oddawać rzeczywistość, zawsze powinna być zagadkowa?

© P Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



RADIO 357

Najciekawsze tematy nowego numeru „Tygodnika” w prasówce Radio 357 – środy o 8.30. Słuchaj na żywo lub w podkastach na [Radio357.pl](https://radio357.pl)

STANISŁAW

Mancewicz:

Tir płynu



RZEC TRZEBA, A ROBIMY TO Z ŻALEM, ŻE ŚWIAT wokół staje się zbyt oczywisty. Oto nasze umiłowanie wątpliwości zaczyna być skłonnością osobliwie rzadką. Jesteśmy co rusz odzierani z życiowej atrakcji, jaką jest błędzenie i szukanie odpowiedzi innych niż jednoznaczne. Jesteśmy więc coraz bardziej rozczarowani.

Weźmy sprawę pierwszą z brzegu, czyli nadawanie kryptonimów akcjom organizowanym przez pracowników Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Wiele razy żeśmy sobie wyobrażali, że udało nam się dostać do korpusu oficerskiego tej elitarnej formacji, do komórki literackiej, w której wymyśla się kryptonimy i nadaje pseudonimy agentkom i agentom. Że tamże – za przeproszeniem – popuszczamy sobie przez osiem godzin dziennie wodze fantazji za średnią krajową brutto. Że sobie po prostu pracujemy twórczo, ku chwale ojczyzny, ale nie za friko, i za to czeka na nas zasłużona emerytura mundurowa oraz szereg odznaczeń resortowych.

Wydawało nam się, że w formacjach w typie CBA zewnięctwo akcji specjalnych nie może być zbyt ilustracyjne i dosłowne. Że dosłowność źle służy tajemnicy państwowej. Dla przykładu, uważamy, że np. akcja przeciw koniokrądom nie może nosić kryptonimu „Koniokrądz”, że zakrojona na szeroką skalę batalia mająca na celu likwidację band kłusujących w wodach polskich prądem nie może się nazywać „Pod prąd”. Tego typu przedsięwzięcia, siłą rzeczy opracowane i realizowane w największej dyskrecji, muszą mieć przecież nazwy mylące. Wróg nie śpi. Tymczasem, jak czytamy w prasie, akcji rozpracowania najbliższych protegowanych b. Gospodarza nadano kryptonim „Vampiryna”. Doprawdy, nie można się było wysilić? Dlaczego, do stu tysięcy przekopów Mierzei, tak właśnie

nazwano tę brutalną akcję? Dla hecy? Podejrzewamy, że nie, a z umiłowania dosłowności panującej wśród pisowskiej soldateski. Z akcji, którą można by się pochwalić wśród eleganckich oficerów na szpiegowskich salonach Europy, została „Vampiryna”. Wstyd i niedowierzanie.

Idźmyż dalej. Pochylmy nasze siwe głowy nad zawartością podsłuchów z akcji o tej nazwie. Zewsząd słyhać komentarzy, że podsłuchiwanie niemilośnie klną. Że to nieładnie. Że to bardzo niekulturalnie. Że szok. Powiada się, że podsłuchiwanie są wulgarni. Już kiedyś, podczas poprzednich wycieków przeróżnych nagrań, gorąco apelowaliśmy o umiar i rozsądek. O namysł. Otóż sformułowaliśmy ongiś opinię, że im bardziej ktoś jest w Polsce podsłuchiwany, tym bardziej przeklina, a im bardziej przeklina, tym go gruntowniej podsłuchują. Dlaczego? Ano dlatego, że w tych wszystkich nagranych zdaniach tylko wulgaryzmy były i są czytelne, mają jako taką tłustość, a więc są przydatne do smażenia delikwenta. A więc sens leży w ogłaszaniu, jak klną. Dlaczego? Po prostu, w Polsce tylko to ludzi gorszy. Wszystko inne, na przykład snucie planów grabieży państwowych pieniędzy, intrygi, zamiar złamania komuś życia, cudzołóstwo, spółkowanie za pieniądze, wyuzdane propozycje, korupcja i inne czyny w tym guście – napawają polską opinię publiczną wyłącznie wesołością. Ale zaiste, wystarczy jedno brzydkie słowo, by spaść z dowolnego szczebla w polityce na dno pohańbienia, nędzy i wykluczenia.

Tak było, zobaczymy, czy tak będzie. Oczywiście, najbliższy protegowany p. Kaczyńskiego wyłącznie klnie i tylko owe przekleństwa są jako tako zrozumiałe, bo reszta to lity bełkot. Bo owe ogromne fragmenty o wysłce „tira płynu” do papieża na polecenie prezydenta Dudy to komunikaty kompletnie niezrozumiałe, pełne chrząknięć i wołaczy, wypowiedziane chyba w grypsersce, a może w slangu czy gwarze. Chciałoby się poprosić kogoś z tego środowiska, kogoś z bliskich p. Obajtka, by nam zgrabnie spolszczyli jego frazę. Można by się zwrócić – to oczywiście – do kogoś od kultury, do profesorów, np. p. Głińskiego, może p. Krasnodebskiego albo p. Legutki. Można by też poprosić o wsparcie p.p. Wąsika i Kamińskiego, bowiem to oni utrwalili pogwarki p. Obajtka podczas akcji „Vampiryna”. Każdy przyzna, że bez „tira płynu” tego *nie razbieriesz*. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK
POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Mateusz
Chmielowski w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi” od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo macie pewność, że publikacje „Tygodnika” są niezależne,

redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika”

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość

z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważny jest dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzimy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY

SALESi|manago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



JEDZENIE W SZTUCE FOOD IN ART

WYSTAWA CZYNNA OD 12.4.2024
WT. – ND. 11:00 – 19:00

THE EXHIBITION IS OPEN
TUE. – SUN. 11:00 – 19:00

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOC AK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA | MOC AK THE MUSEUM OF CONTEMPORARY ART IN KRAKOW – A CULTURAL INSTITUTION OF THE CITY OF KRAKOW

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOC AK
MOC AK THE MUSEUM OF CONTEMPORARY ART IN KRAKOW
UL. LIPOWA 4, WWW.MOC AK.PL

REBECCA RÜTTEN, Z CYKLU | FROM THE SERIES CONTEMPORARY PIECES, 2013,
FOTOGRAFIA | PHOTOGRAPHY, 60 × 80 CM, COURTESY R. RÜTTEN

MECENAS MUZEUM
MUSEUM PATRON



PATRON MEDIALNY
MEDIA PARTNER



PARTNER MOC AK-U
MOC AK PARTNER



PATRON GALERII RE
RE GALLERY PATRON

